

The background of the book cover is a close-up photograph of a cobblestone path. The stones are dark grey and rectangular, arranged in a grid pattern. Scattered across the stones are several autumn leaves in various shades of red, orange, and brown. The text is overlaid on the top half of the image.

EWA CIELESZ

SŁOŃCE  
UMIERA  
I TAŃCZY

SŁOŃCE  
UMIERA  
I TAŃCZY  
CZĘŚĆ 1

EWA CIELESZ



## DYMITR

Krzesło było twarde jak głos kobiety siedzącej naprzeciwko.

– Przykro mi. Pani sytuacja jest nietypowa. Nie jesteśmy w stanie pani pomóc. Minęło sporo czasu.

– Szybko. Za szybko. Jakby to było wczoraj – powiedziałam cicho. – Kobieta milczała wymownie.

Kiedy wstałam z miejsca, pociemniało mi w oczach. Zachwiałam się i przytrzymałam biurka.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała i po raz pierwszy dostrzegłam w jej oczach coś w rodzaju współczucia.

– Nic mi nie jest – odparłam. – Proszę, niech ktoś to jeszcze sprawdzi – dodałam. – Do widzenia.

Szłam wąską uliczką, po której obydwu stronach wyrastały mury czynszowych kamienic. Nisko osadzone małe okna uwodziły bielą firanek, przez które prześwitywały rozkwitłe pelargonie chroniące wnętrza przed ciekawskim wzrokiem przechodniów. Potykałam się o kocie łby, pamiętające jeszcze lata dwudzieste. Tylko ten fragment miasta zachował dawny klimat, emanował spokojem. Samotne wdowy wynajmowały tu tanio pokoje, by załatać dziury w domowym budżecie. Z uwagą czytałam przybite do murów tabliczki z numerami.

Ostatnim razem się zgubiłam. Mieszkałam tu zaledwie kilka dni i wszystkie domy nadal wydawały mi się jednakowe. Weszłam na ciemną, pachnącą wilgocią klatkę schodową. Wspięłam się na drugie piętro, trzymając się wyslizganej tysiędem rąk poręczy. Wyjęłam z torebki duży klucz i włożyłam go do zamka. Od wewnątrz drzwi blokowała zasuwka, co świadczyło o tym, że gospodyni jest w domu.

– Już otwieram – usłyszałam przez zamknięte drzwi. Coś zgrzytnęło. – Wróciła pani... – Właścicielka mieszkania westchnęła i odsunęła się, bym mogła wejść do długiego, zagraconego przedpokoju. – Wywietrzyłam tam u pani, zaduch był – dodała takim tonem, jakby informowała mnie, że doliczy do czynszu za dodatkową usługę.

– Wolałabym, żeby nikt nie wchodził do mojego pokoju – burknęłam, unikając jej wzroku.

– Jak pani chce – mruknęła. – Przecież i tak pani tam nic nie ma – dodała z ironią.

Zbyłam tę złośliwą uwagę milczeniem, minęłam gospodynię i zamknęłam się w swoim pokoju.

Stłoczona w małym pomieszczeniu zbieranina niepasujących do siebie

gratów działała destrukcyjnie, otepiała. Skuliłam się na łóżku, w odpowiedzi jęknęło garbatymi sprężynami. Ostrożnie naciągnęłam na plecy kraciasty pled i zamknęłam oczy. Chciałam odgrodzić się od wszystkiego, co doprowadziło mnie w to miejsce. Ale wspomnienia były silniejsze i zawsze wracały, gdy okazywałam słabość.

W przedpokoju poniewierały się eleganckie czerwone pantofle mamy. Gdy otwierałam drzwi, przesunęłam je i zostawiłam rzucone obok pedantycznie ustawionych czarnych butów ojca. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Ten kontrast w położeniu obuwia znakomicie obrazował ich charakter. Ojciec był zdyscyplinowany, skrupulatny, obowiązkowy, a matka roztargniona, porywcza i działająca zawsze pod wpływem emocji. Stanowiłam swoistą kombinację tych cech, przez co wyrosłam na pełną sprzeczności osobę. Wyjęłam z kieszeni zapinkę do włosów i, nie patrząc w ogóle w lustro, spięłam niedbale jasny węzełek nad karkiem. Mama, zwolenniczka krótkiej fryzury, nie lubiła, gdy wokół mojej głowy zwisały, jak to określała, długie strąki. Ale poza tym nie wtrącała się do mojego wyglądu, zostawiała mi zupełną swobodę w donaszaniu starych, rozwleczonych swetrów, czarnych długich kiecek i płaskich butów. Sama zaś była perfekcjonistką w doborze strojów. Preferowała ciepłe barwy, szczególnie czerwień. Kolor ten zresztą znakomicie określał jej charakter. Można by powiedzieć, że jej głowa płonęła od pomysłów. Matka tryskała młodzieńczą energią. Wprawdzie kąciki jej ust ostatnio nieco opadły, a we włosach pojawiły się srebrzyste akcenty, jednak zachowała nienaganną sylwetkę. Ojciec niemal nosił ją na rękach. Nie miał wprawdzie ku temu zbyt wielu okazji, ponieważ zazwyczaj przebywał w podróży. Ten poważny, niezwykle spokojny naukowiec-przyrodnik jeździł po świecie, gdzie prowadził badania geologiczne i zbierał przyrodnicze okazy dla instytucji w całej Europie. Ostatnio gromadził materiały do kolejnej naukowej książki. Mama zajmowała się architekturą i dekoracją wnętrz, prowadzona przez nią firma odnosiła sukcesy. Wolne chwile, których nie miała zbyt wiele, poświęcała natomiast na tworzenie pięknej biżuterii z minerałów, co było jej hobby. Odkąd pamiętam rodzice mieli nieodpartą potrzebę poznawania nowych miast, dlatego nigdzie nie zagraliśmy miejsca. W Krakowie zatrzymaliśmy się na dłużej tylko dlatego, że stara i mocno schorowana matka mojego ojca wymagała opieki. Zajmowała niewielkie mieszkanie w zabytkowej kamienicy niedaleko Rynku. Z jego okien można było obserwować mieszkańców dokarmiających szare stadko gołębi w studni podwórka. Lubiłam te jej staroświeckie pokoiki, pełne pamiątek i bibelotów pamiętających jeszcze czasy międzywojnia. Babcia pożegnała się z tym światem niespełna rok temu i ojciec zaczął już przebąkiwać o sprzedaży naszego domu i wyjeździe na Wybrzeże. Mój sposób na życie również daleki był od mieszczańskiej stabilizacji. Ukończyłam Wydział Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych i utrzymywałam się z różnego rodzaju zleceń. Właśnie kopiowałam obrazy Edwarda Muncha na potrzeby jakiegoś klubu. W Krakowie miałam sporo pracy i kontaktów, dlatego kręciłam nosem na kolejną przeprowadzkę. Oczywiście mogłam zostać w przekazanym mi mieszkaniu po babci, to jednak wymagało

porządnego remontu. Lubiłam zresztą nasz dom. Kupiony kilka lat temu, oddalony nieco od centrum miasta, znacznie różnił się od pozostałych budynków tej dzielnicy. Nie fascynował wprawdzie bryłą, która przypominała ułamaną podkowę, ale nosił w sobie wojenne piętno i pachniał tajemnicą. Nie był duży. Na dole niewielki salon, kuchnia, łazienka, dwie sypialnie. Po obydwu stronach, jakby w skrzydłach domu, znajdowały się gabinety: po prawej stronie ojca, po lewej matki. Na górze zaś przestronny strych, który zaanektowałam na pracownię. Miał tę zaletę, że większą część wszystkich czterech ścian stanowiły niespotykane długie, pionowe okna.

Odstawiłam do kąta za szafą wielką rysunkową teczkę i zajrzałam do salonu. Rodzice prowadzili ożywioną rozmowę. Na mój widok zamilkli, jak na komendę. Ojciec spojrział spłoszony, mama zaś uśmiechem starała się zamaskować zakłopotanie.

– Już po pracy? – zapytała, zawijając za ucho kosmyk włosów.

– Tak, skończyłam dzisiaj drugi obraz. Udało się wcześniej. A wy...

– Chodź, odgrzeję ci obiad. Myśmy już jedli – wstała, nie dając mi dokończyć zdania.

– Nie trzeba, jadłam na mieście. Nad czym tak...

– I jak ten obraz? Udał się? – uśmiechnął się życzliwie ojciec. Dzielnie sekundował matce. Wyrażnie chcieli coś przede mną ukryć.

– Udał się. Jasne, że się udał. Zresztą Konrad mi trochę pomagał. Możecie mi powiedzieć...

– Ten Konrad chyba jest tobą zainteresowany, co? Coraz częściej o nim mówisz. Mogłabyś go kiedyś przyprowadzić, chętnie byśmy go poznali, prawda, Jasiu? – zwróciła się do ojca.

– To tylko kolega z pracy. Zresztą ma żonę. Daj spokój, mamó. Zachowujesz się, jakbyś na siłę chciała mi wcisnąć kogoś w ramiona i przywiązać węzłem małżeńskim.

– Byłabym spokojniejsza... – przerwała nagle, zakrywając dłonią usta. Ojciec spojrział na nią karcąco.

– Śmiało, mamó. Skończ, skoro już zaczęłaś – roześmiałam się nieszczercze. Zakiełkowało we mnie ziarenko niepokoju.

– Masz rację, nie ma co tego ukrywać – skwitował ojciec. – W końcu jesteś dorosła i masz prawo o sobie decydować. Otóż...

– To może ja powiem – przerwała mu mama. – Ja to zrobię bardziej... No, z większą finezją, czy jakoś tak...

– No, mówcie wreszcie! – zniecierpliwiłam się.

– Bo wiesz, Jagódko, ojciec... – zaczęła i spojrzała bezradnie na męża, który podniósł do góry brwi i rozłożył ręce, dając jej do zrozumienia, że przed chwilą właśnie odebrała mu prawo głosu. – Ojciec w połowie października musi wyjechać.

- To żadna nowość – wzruszyłam ramionami.
- Tyle że tym razem na dłużej. Na dwa lata.
- Dwa lata? – zdziwiłam się.
- No właśnie, dlatego postanowiłam, że ja pojedę z nim. Gdybyś chciała...
- Powodzenia. Ja się stąd nie ruszam – powiedziałam stanowczo. – Najwyżej czasem do was wpadnę – popatrzyłam na ojca, który zrobił niewyraźną minę.
- To nie takie proste. Jadę do Gujany Francuskiej. To dość daleko.
- Gujana Francuska? To gdzieś we Francji? – zapytałam ostrożnie. Lekcje geografii nie za bardzo zapadły mi w pamięć.
- W północno-wschodniej części Ameryki Południowej – wyjaśnił z charakterystyczną dla siebie skrupulatnością.
- Nad Oceanem Atlantyckim – dodała rozmarzona mama, przymykając powieki, pod którymi zapewne widziała już siebie na piaszczystej plaży.
- A twoja praca, mamó? – przywróciłam ją do rzeczywistości. – Co z twoją firmą?
- Firma poczeka. Zawieszę działalność na ten czas. Wreszcie będę mogła zająć się biżuterią – powiedziała, a jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech. Podbiegła do komody i otworzyła szufladę. – Spójrz, co na mnie czeka!
- Nie musiałam patrzeć. Doskonale znałam każdy kamyk, który tam spoczywał. Mama z upodobaniem demonstrowała swoje skarby każdemu, kto okazał choćby cień zainteresowania.
- Gdybyś chciała... – zaczęła znowu mama, zerkając na ojca, jakby oczekiwała od niego wsparcia.
- Nie chcę jechać, powiedziałam już – wpadłam jej w słowo.
- Nie to miałam na myśli – zmieszała się. – Prawdę mówiąc chcieliśmy pojechać sami, wiesz... Czasem warto odświeżyć uczucie, prawda? Gdybyś jednak chciała przenieść się do cioci Weroni na ten czas...
- Do tej nudziary? Mamó, nie jestem małą dziewczynką. Czy ty nie przesadzasz? Zobaczysz, świetnie sobie poradzę.
- Dajmy temu spokój – powiedział ugodowo ojciec. – Do wyjazdu mamy jeszcze cztery i pół miesiąca. Przez ten czas Jagoda się zastanowi, prawda?
- Nie mam zamiaru się zastanawiać. Nigdzie nie jadę i już. Dwa lata miną jak z bicia trzasnął. Nawet się nie obejrzymy, kiedy będziecie z powrotem.
- Jak chcesz – powiedziała mama. W jej głosie brzmiało rozczarowanie. Byłaby spokojniejsza, pakując mnie pod klosz którejś z ciotek. Wciąż chciała traktować mnie jak małe dziecko. Widocznie nie zauważyła, kiedy dorosłam. Na szczęście nie naciskała, a nawet odniosłam wrażenie, że zgodziła się na tę moją samodzielność nad wyraz szybko. Sprawiała wrażenie roztargnionej i pomyślałam, że bardzo już pragnie tego sam na sam z ojcem.
- Ale w takim razie trzeba będzie wyremontować mieszkanie po babci.

Wolę, żebyś mieszkała wśród ludzi. Tam przynajmniej będziesz miała sąsiadów.

– Mam w nosie sąsiadów. Tutaj mam pracownię.

– Nie martw się. Zaprojektuję ci miejsce do pracy. Czekaj... – zapaliła się mama i już złapała leżącą na stole kartkę papieru, rozglądając się za ołówkiem.

– Małgosiu, nie teraz – zaprotestował ojciec. – Napijmy się spokojnie kawy. Mamy jeszcze czas.

Czas jednak płynął szybko. Mama zabrała się za projekt mojego przyszłego gniazdko. Nie byłam zachwycona perspektywą opuszczenia domu, ale w końcu postanowiłam tu zaglądać choćby po to, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, podlać ukochane rośliny ojca, a zimą przepalić w kominku. Zresztą w ciągu dnia będą też mogła korzystać z pracowni.

– Jagoda, co myślisz o wyburzeniu tej ściany? To działowa ścianka, można ją zlikwidować. Spójrz, przeniesiemy ją o metr w głąb kuchni. Po co ci taka wielka kuchnia? – pytała mama znad deski kreślarskiej, a ja rzucałam wszystko i biegłam do niej, żeby jej ostatecznie przytakiwać. Myślę, że babcia nie raz przewróciła się w grobie, gdy do mieszkania wkroczyła ekipa remontowa. Efekt jednak był niesamowity. Długi dotąd przedpokój stracił pół metra na rzecz salonu, to samo stało się z kuchnią. Część salonu natomiast odgradzono ceglanym murem od strony okien. Tutaj uzyskałam coś w rodzaju atelier. Murek nie sięgał do samego sufitu, dzięki temu światło, wpadające przez duże okna, docierało do salonu. Tam wprawdzie panował lekki półmrok, ale nadawał temu pomieszczeniu wyjątkowy klimat. Biurko musiało zostać wstawione do sypialni, ale mimo to uważałam ją za najprzytulniejsze miejsce na świecie. Pograżony w przyjemnym świetle padającym z okna osłoniętego kotarą w kolorze brzoskwini pokój, w którym miałam spać, zapraszał miękkością i ciepłem. W połowie września meble stały już na swoich miejscach, a w oknach zawisły rolety. W kącie nowego salonu stanęło ulubione cytrynowe drzewko ojca, które wyhodował samodzielnie od pestki, a teraz mi podarował. Pod koniec września upiekłam w nowej kuchni koślawy tort i zaprosiłam rodziców na pierwszą kawę.

– Jaka ty jesteś dorosła! – zawołał ojciec, przygarniając mnie do siebie. Pachniał lawendowym mydłem, które kojarzyłam z nim od dzieciństwa.

– I pomyśleć, że wystarczyło ją nieco usamodzielnic, by zaczęła zachowywać się jak kobieta – śmiała się mama, rozglądając się jednocześnie po wnętrzu, które było jej dziełem. W oczach miała tyle samo dumy co zadowolenia. Ale też i spokoju, że zdołała umieścić mnie w złotej klatce, w której bezpiecznie doczekam ich powrotu. Marzenia o powtórnej podróży poślubnej, jak lubiła powtarzać, na szczęście trochę stonowały jej troskliwość.

Do domu wracaliśmy razem. Do dnia ich wyjazdu nie chciałam rozstawać się z rodzicami. Kiedy minęliśmy zakręt, dostrzeżliśmy przed furtką naszego domu dwóch mężczyzn, rozglądających się niecierpliwie. Sprawiali wrażenie, że na coś



lub kogoś czekają. Jeden z nich, młodszy, zaglądał ciekawie przez płot do ogrodu. Staruszek przestępował z nogi na nogę i patrzył w kierunku, z którego nadjechaliśmy.

– Widzisz? – odezwała się do mnie mama z niejaką satysfakcją – Już obcy się kręcą. Jeszcze nie wyjechaliśmy. Może to włamywacze? – zwróciła się do ojca.

– Jacy włamywacze, Małgosiu – odparł pobłaźliwie. – Włamywacze nie czekaliby na właścicieli. Nie strasz Jagody, kochanie. Poza tym spójrz na tego starowinkę. Jaki tam z niego włamywacz?

Ojciec zatrzymał samochód i wysiadł pierwszy. Przez szyby obserwowałyśmy, jak wita się z przybyszami, podając im rękę. Potem otworzył furtkę i gestem zaprosił ich do środka. Zaciekawione opuściliśmy auto.

– Panowie chcą zamienić z nami kilka słów – wyjaśnił ojciec.

Mama wskazała im drzwi do salonu. Młodszy mężczyzna rozglądał się ciekawie, starszy zachowywał się, jakby znał tu każdy kąt.

– Proszę wybaczyć to nagłe najście – zaczął ten młodszy, gdy już usiedliśmy przy stole. – Przepraszam, powinienem się przedstawić. Nazywam się Zygmunt Kowalski, a to mój wuj, Wiesław Kowalski. Ja wiem, że to, co powiem, zaskoczy państwa, ale mój wuj bardzo pragnie kupić ten dom. Czy państwo byliby skłonni go sprzedać?

Zapadła cisza. Ojciec długą chwilę patrzył na mężczyznę, po czym wymienił szybkie spojrzenia z matką. W jej oczach zapaliły się dobrze mi znane isierki. Zawsze je miała, gdy wpadał jej do głowy jakiś absurdalny pomysł. Zacisnęłam palce na krawędzi stołu i w napięciu czekałam na bieg wydarzeń.

– A dlaczego tak panu zależy? – odezwał się wreszcie ojciec spokojnym głosem.

– Proszę pana, to był mój dom, ja tu mieszkałem... – powiedział starszy pan i zerknął na młodszego. Tamten z zapalem pokiwał głową. Nie wiedziałam, któremu bardziej zależało na kupnie.

– Mieszkał pan tutaj? Kiedy? – zdziwił się ojciec, a mama aż klasnęła w dłonie.

– Ach! Co za historia! – zawołała. Młodszy spojrzał na nią z sympatią.

– Ja się tu urodziłem. Jeszcze przed wojną. A potem wie pan... wojna. Co tu opowiadać. Tułał się człowiek. A na starość do gniazda się chce – powiedział i spojrzał spłoszony na młodszego. Ten pokiwał głową z aprobatą.

– Jasiu – wyrwała się mama. – Taka okazja!

– Małgosiu – upomniał ją ojciec. – Nie zamierzaliśmy sprzedawać domu...

– Jak to nie? Rozmawialiśmy o tym. Nie pamiętasz?! – zawołała mama. Na jej szyi pojawiły się czerwone plamy, co oznaczało, że emocje sięgnęły zenitu.

– Proszę cię, Małgosiu – zmarszczył brwi ojciec. – Nie można takiej decyzji podejmować pochopnie.

– No to zastanowimy się – powiedziała z naciskiem, po czym sięgnęła po torebkę, z której wydobyla wizytówkę. – Panowie. Tutaj mam numer telefonu. Proszę zadzwonić jutro... – zerknęła na ojca i zaraz się poprawiła: – Pojutrze. Tak, proszę zadzwonić pojutrze.

Młodszy poderwał się z miejsca, dopadł jej dłoni, którą zaczął cmokać bez opamiętania.

– Dziękuję... Bardzo pani dziękuję... – bąkał między cmoknięciami, aż zniecierpliwiona wyrwała mu rękę.

– Nie ma za co – skwitowała. – Proszę zadzwonić.

Kiedy wyszli, ojciec złapał się za głowę.

– Małgosiu, bój się Boga!

– Przecież sam mówiłeś, że nie chcesz już mieszkać w Krakowie. Zapomniałeś?

Siedziałam jak w teatrze, początkowo w milczeniu przysłuchując się słowom mamy. W końcu nie wytrzymałam.

– A moja pracownia? Nikt mnie nawet nie zapytał o zdanie!

– Jagoda, zorganizowałam ci miejsce do malowania. Nie narzekaj.

– Nie narzekam, ale nie chcę, żebyś sprzedawała dom.

– To dobry moment, Jagódko. Przez dwa lata i tak stałby pusty. Pieniądze za dom wpłacę na konto, a po powrocie kupimy sobie coś nowego – przekonywała. Ojciec się nie odzywał.

Nie wiem, jak wyglądała noc rodziców i jakich sztuczek użyła mama. Przy śniadaniu ojciec chrząknął i powiedział:

– Jagoda, opróżnij swój pokój. Sprzedajemy dom.

Piętnastego października odwiozłam rodziców na lotnisko. Mama była zdenerwowana i wciąż udzielała mi rad.

– Pamiętaj, kochanie, żebyś dobrze się odżywiła. I nie kładź się późno spać. Ubieraj się ciepło, bo kto będzie biegał z tobą po lekarzach, jeśli zachorujesz? Pamiętaj, że otworzyłam ci konto, korzystaj z niego, nie zabijaj się, nie smaruj po nocach tych swoich obrazków...

– Jestem dorosła, mamo.

– Wiem, skarbie, że jesteś dorosła. To nie znaczy, że nie będę się martwić. Z dniem narodzin dziecka matka staje się niewolnicą macierzyństwa. Tak już jest, przekonasz się kiedyś.

– Małgosiu, daj już spokój. Jagoda jest rozsądna, poradzi sobie. No pa, córeczko, pa. Leć, bo spóźnisz się do pracy. I uważaj na siebie.

– Będziemy dzwonić! – zawołała jeszcze matka, nie przestając mnie ścisnąć i tulić. – Noś szalik! Jagoda, szalik!

– Będę nosić mamo, jeśli trzeba, to nawet dwa. Nie martw się. Bawcie się dobrze!

Podniosłam rękę na pożegnanie i wyszczerzyłam zęby w uśmiechu, chociaż łzy cisnęły mi się do oczu. Wiedziałam, że będę za nimi tęsknić. Ojciec był może trochę zagubiony, a mama nadwrażliwa, ale kochałam ich ponad wszystko. Wytarłam oczy i wsiadłam do Toyoty, którą zostawili mi do użytku. Na wieczór zaprosiłam przyjaciółkę Agatę i do tego czasu powinnam się pozbierać. Kończyłam też ostatni obraz do zlecenia. W międzyczasie zebrałam dwa zamówienia na portrety, podpisałam też umowę na wykonanie ilustracji do książki. Pracy mi nie brakowało, ale postanowiłam odnowić kontakty z przyjaciółmi, których ostatnio nieco zaniedbałam. Agata pójdzie na pierwszy ogień. Zaprzyjaźniłyśmy się jeszcze w szkole i tak już zostało. Czy widziałyśmy się rok temu, czy też rozstałyśmy się przed chwilą, zawsze miałyśmy o czym rozmawiać. Agata robiła głównie plakaty do filmów. Czasem też malowała wyjątkowe obrazy, które wystawiano na całym świecie. Była cierpliwa i szlifowała swój warsztat długo i konsekwentnie. Nie zadowalała się przeciętnością. Zarabiała na plakatach. Obrazy uznawała za prawdziwe dzieła sztuki i pokazywała je światu jedynie wtedy, gdy wydawały jej się idealne. Mimo że była artystką, stąpała twardo po ziemi, szukając coraz to nowych możliwości do promowania siebie. Umiała się sprzedać i zarobić przy tym niezłe pieniądze, ale potrafiła też pozbyć się tych sum w ciągu tygodnia. Często więc klepała biedę. Lubiła też komplikować najprostsze sprawy, ale to tylko dodawało jej uroku.

Wieczorem stanęła w progu mojego nowego mieszkania w wielkim, filcowym kapeluszu. W rękach trzymała sporych rozmiarów paczkę.

– To dla ciebie. Na nowe gospodarstwo – wręczyła mi pakunek.  
Był to ogromny kielich z matowego szkła.  
– Mam z tego pić? – zdziwiłam się.  
– No coś ty! To świecznik na pływające świece. Zamówiłam go specjalnie dla ciebie. Prosto z huty. A tu masz jeszcze... – pogrzebała w przepastnym worku służącym jej za torebkę. – Świeczki. Proszę bardzo.

Wyściskałam Agatę i oprowadziłam ją po mieszkaniu.

– Czuję tu rękę twojej mamy – powiedziała z lekką nutką zazdrości. – Jest pięknie!

– O tak, zajęła się wszystkim – potwierdziłam, oblizując palec z majonezu, który właśnie dodawałam do sałatki.

Gadałyśmy, piłyśmy drinki i śmiałyśmy się do rozpuku. Nie mogłam jednak oprzeć się wrażeniu, że Agata coś przede mną ukrywa. W pewnej chwili zamilkłyśmy i spojrzwałyśmy sobie głęboko w oczy. Milczenie ciążyło, nabrzmiewało. Czułam, jakby za chwilę miał mi pęknąć mózg.

– Powiedz, Agata – odezwałam się cicho, biorąc ją za rękę. – Mów, będzie ci lżej. Coś się stało?

– Tak – odparła. – I nie jestem pewna, czy chcesz o tym wiedzieć.

– Zawsze chcę wiedzieć o wszystkim, co dotyczy ciebie.

Przez chwilę milczała, być może żałując, że ogóle się odezwała. Potem przez jej twarz przebiegł grymas, jakby stłumiony uśmiech. Coś narodziło się w jej głowie.

– Jagoda... to nie dotyczy mnie.

– Nie? A kogo?

– Ciebie.

Zamurowało mnie. Zastanawiałam się gorączkowo, co to mogło być. Niepokój kiełkował i rozrastał się, jego drapieżne macki sięgały każdej komórki mojego ciała. Agata wiedziała o czymś, czego ja się nawet nie spodziewałam. Czego nie potrafiłam sobie wyobrazić.

– Powiedz! – zażądałam wreszcie. Dreszcz przeszył mi kręgosłup. – Jak to mówią, najgorsza prawda lepsza jest od niepewności – uśmiechnęłam się blado.

– Nie, Jagoda. W twoim przypadku nie ma najgorszej prawdy. Jest nieświadomość. I to jest lepsze od niepewności. Żałuję, że się odezwałam.

– Ale zaczęłaś! Więc mów. Do końca!

– Nie mogę. Przepraszam, lepiej, żeby powiedział ci to ktoś inny. A ja sobie już pójdę.

– O nie! Nie mam zamiaru wypuścić cię za próg tego domu, zanim mi nie powiesz, co się stało! – krzyknęłam. Cała drżałam. Miałam ochotę złapać ją za ramiona i potrząsnąć nią z całej siły.

– Dobrze – westchnęła. – Sama tego chciałaś.

Patrzyłam w niemym oczekiwaniu, jak zbiera się w sobie, przymierza do przekazania mi tej strasznej wiadomości. Wstrzymałam oddech.

– Dziś poniosłaś największą stratę swojego życia... – powiedziała w końcu, patrząc mi uważnie w oczy.

– Co? – wyjąkałam. – Jaką stratę? Co ty mówisz? Jezus Maria! Samolot, tak? Rozbił się samolot i moi rodzice... No mówże wreszcie!

– Nie, no co ty, głupia jesteś? Zaręczyłam się dzisiaj – wyrzuciła jednym tchem i zrobiła unik, bo rzuciłam w nią łyżeczką.

– Wariatka! – krzyknęłam i poderwałam się z miejsca. Agata wypadła z pokoju i zatrzasnęła się w łazience.

– Otwórz, wariatko! Otwórz! Zabiję cię! Otwieraj! – darłam się, łomocząc pięściami w drzwi, za którymi Agata wyła ze śmiechu. – Czekaaj, niech cię dopadnę! – wrzasnęłam, gdy nagle usłyszałam dzwonek. Dźwięk był zaskakujący i w pierwszej chwili nie wiedziałam, skąd pochodzi. Drzwi wejściowe otworzyłam tylko dlatego, że dźwięk się powtórzył i brzmiał dość natarczywie. W progu stała kobieta. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Jej tęgie ciało opinał połyskliwy bordowy szlafrok w czarne kółka.

– Która godzina? – zapytała napastliwie.

– Nie wiem – odparłam. Czarne kółka wirowały mi w oczach.

– Za dwadzieścia pierwsza! – krzyknęła Agata z łazienki. – Jezu, Jagoda, muszę się zbierać!

– Najwyższa pora – mruknął szlafrok. – Następnym razem sprowadzę dzielnicowego.

– Dobrze – zgodziłam się uprzejmie. Szumiało mi w głowie i nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Kobieta w szlafroku odwróciła się i poniosła swoje kółka piętro wyżej.

Wybaczyłam Agacie i ułożyłam ją do snu w sypialni, sama zaś spałam na sofie w salonie. Nie miałam sumienia wyprawiać jej w noc.

W wirze codziennych zajęć szybko przyzwyczaiłam się do nowego miejsca, a nawet do nieobecności rodziców. Oczywiście odczuwałam ich brak, ale niezbyt boleśnie. Czasem próbowałam wyobrazić sobie, co teraz robią, jak żyją. Może nawet przez krótką chwilę zazdrościłam im tego wyjazdu, ale stany te mijały szybko, zajmowałam się bieżącymi sprawami. Mama początkowo potrafiła dzwonić nawet dwa razy dziennie, potem telefony stawały się coraz rzadsze. Bywało, że w ciągu tygodnia nie zadzwoniła ani razu i sama musiałam upominać się o kilka słów. Nie miałam jej tego za złe. Przeciwnie, cieszyłam się, że wreszcie przestała mnie kontrolować. Z kalendarza wypełzł listopad i nim się obejrzałam, już opłakiwał strugami deszczu ogołoczone z liści drzewa. Realizowałam umowy, wykonując portrety ze zdjęć klientów. Przez okna mojego atelier obserwowałam tarmoszone wiatrem gałęzie i cieszyłam się w duchu, że nie muszę codziennie

wychodzić do pracy. Tego ranka zaplanowałam uporządkowanie skrzyni z pędzlami i resztką farb. Musiałam uzupełnić braki, bo ostatnio sporo malowałam. To nic, że obrazy lądowały za szafą. Czułam potrzebę eksperymentowania z barwą. Przeglądając zawartość skrzyni, zauważyłam brak całego kompletu nowiutkich pędzli firmy Winor Newton, które polecił mi Konrad. Przy okazji stwierdziłam, że nie mam małej sztalugi i kilku dużych podobraz. Przypomniałam sobie, że wszystko to zostało w starej pracowni, którą miałam opróżnić tuż przed naszą wyprowadzką. Bez wahania włożyłam kurtkę, po krótkim zastanowieniu owinęłam szyję szalikiem, uśmiechając się leciutko do wspomnienia słów matki na lotnisku. Wiatr szarpnął drzwiami od bramy i niemal wyrwał mi je z rąk. Dotarłam na parking, gdzie czekała na mnie Toyota ojca. Ruszyłam w stronę starego domu, zastanawiając się, jak przyjmie mnie jego nowy właściciel.

Czwarty raz naciskałam brzęczyk przy furtce, gdy w kuchennym oknie wreszcie ukazała się twarz staruszka. Pomachałam niepewnie ręką, ale on nie odpowiedział podobnym gestem. W dodatku zasłonił firankę. Nie miałam pojęcia, co o tym sądzić. Rozejrzałam się bezradnie i już miałam zamiar ustąpić, kiedy drzwi uchyliły się, a staruszek zawołał ochryplym głosem:

– Otwarte!

Nacisnęłam klamkę i ruszyłam znajomą ścieżką w kierunku domu. Staruszek był w piżamie, co przyprawiało go o zakłopotanie.

– Przepraszam panią najmocniej, jestem trochę chory. Pani do mnie?

– Tak, nie poznaje mnie pan?

– Nie...

– Mieszkałam tutaj. Jestem córką poprzednich właścicieli.

– Ach, tak. Przypominam sobie. Wie pani, pamięć już nie ta...

– Na strychu zostawiłam trochę swoich rzeczy, czy mogę je zabrać?

– Tak, tak. Ja tam nie chodzę. Za wysoko.

– Miałam tam swoją pracownię.

– Słucham?

– Malowałam tam obrazy, miałam pracownię.

– A, tak... Rozumiem. Może pani malować, mnie to nie przeszkadza.

– Nie, przyjechałam tylko po swoje rzeczy.

– Trudno...

– Trudno?

– Człowiekowi markotno samemu, a tak ktoś choć na schodach ślad zostawi.

Zrobiło mi się przykro. Staruszek patrzył niby na mnie, ale tak naprawdę jego wzrok sięgał dalej, przenikając moją twarz jak powietrze.

– Nikt tu pana nie odwiedza?

– A kto by tam chciał do starego. Komu ja jestem potrzebny?

– A ten pan, co tu był? Pan jest jego wujem, tak?

- Zygmus? On daleko. W Warszawie mieszka.
- Nie rozumiem. I przywiózł pana tutaj? Samego?
- Ach, takie tam... Nie mówmy...

Machnął ręką i zaniósł się kaszlem.

- Był pan u lekarza?
- A kto by wiedział, gdzie tu teraz lekarz. Przed wojną to ja wiedziałem...

Zresztą po co mi lekarz? Osiemdziesiąt cztery lata skończyłem, a śmierć o mnie zapomniała.

– Nie zapomniała, nie zapomniała. O każdego się upomni. A na pana widocznie jeszcze nie czas. Powinien pan się cieszyć.

- Ja już cieszyć się nie mam z czego.

Staruszek pokiwał głową i rozejrzał się, jakby szukał krzesła.

- Niech się pan położy.

- Słucham?

- Ciężko stać, niech się pan położy.

- Tak, położę się, położę. Słaby coś jestem.

- Jadł pan coś dzisiaj?

– Dziś jeszcze nie. Zbieram się iść chleba kupić. Ale wiatr taki... Może minie, to pójde.

Spojrzałam na jego przygarbioną sylwetkę i serce ścisnęło mi się z żalu.

– Wie pan co? Niech pan nigdzie nie wychodzi. Zrobię panu zakupy. Mam samochód, załatwię to raz dwa.

- Dziękuję – uśmiechnął się z wdzięcznością.

Wsiadłam do Toyoty, ale zanim ruszyłam, oparłam głowę na kierownicy i zaklęłam:

- Cholera, jaki świat jest okrutny!

Najpierw załatwiłam domową wizytę lekarza. Potem w pobliskim sklepie kupiłam wszystko, co potrzeba, a po namyśle dorzuciłam jeszcze tabliczkę czekolady. Do domu weszłam, tym razem nie pukając, i zawołałam z przedpokoju:

- Wróciłam! Niech pan nie wstaje, zaraz przygotuję śniadanie.

W dobrze znanej kuchni zagotowałam mleko i wsypałam do niego kakao. Potem ukroiłam dwie kromki chleba, posmarowałam masłem i obłożyłam suto serem i wędliną. Udekorowałam wszystko pomidorem, ustawiłam na tacy i zaniósłam choremu.

- Boże, mój Boże! – pokręcił głową i głośno przełknął ślinę.

- Trzeba sobie dogadzać. Na co trzymać pieniądze?

- Pieniądze nic niewarte. Dobroci nie kupisz.

- Nie trzeba jej kupować. Sama przyjdzie.

Zostawiłam go z tym jedzeniem, a sama wróciłam do kuchni. Podśpiewując radośnie, sprzątnęłam ze stołu i zajęłam się obieraniem warzyw na zupę. Nawet nie

zauważyłam, kiedy starszy pan stanął w drzwiach z pustą tacą. Zamilkłam i spojrzałam na niego zmieszana.

– Niech pani śpiewa. Dawno nie słyszałem... Moja matka zawsze śpiewała w kuchni.

– Eee.... Ze śpiewaniem to u mnie nie bardzo... – bąknęłam.

– Kiedy wybuchła wojna, ojciec kazał mnie i matce jechać do Warszawy. Nie wiem, czemu myślał, że tam lepiej. Zatrzymaliśmy się u znajomej matki, pani Walerii. Pamiętam, że ona strasznie się wszystkiego bała. No i chyba tym strachem sprowadziła nieszczęście, bo w środku nocy do drzwi zaczęli walić gestapowcy. Ja spałem w szafie, tam nie szukali, ale panią Walerię i matkę zabrali. Nigdy nie dowiedziałem się, dokąd. Wtedy widziałem je po raz ostatni. Włączyłem się po Warszawie i zebrałem. Cudem przeżyłem do czterdziestego drugiego roku. Raz wskoczyłem do tramwaju i natychmiast wpadłem w łapy Niemców. Oczywiście nie miałem żadnego biletu. Wywieźli mnie do Łodzi, do Małego Oświęcimia. Tak nazywano to miejsce, bo to był obóz dla dzieci. Strasznie tam było. Nawet dwuletnie dzieci tam więzili. Jeden chłopak chciał uciekać. Złapali go. Postawili na mrozie i kazali śpiewać. Stał pod ogrodzeniem, bo tam był taki wysoki parkan z desek, więc on stał pod tym parkanem i śpiewał na całe gardło: *To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy...* Śpiewał tak i śpiewał, aż zamarzł – zrelacjonował starszy pan i pokiwał smutno głową.

Mniej więcej dwie godziny później zjawił się lekarz. Zbadał staruszkę i przepisał mu lekarstwa. Potem zawołał mnie i poinstruował:

– Proszę to wykupić dziadkowi jak najprędzej. Im wcześniej zaczniesz brać, tym szybciej dojdzie do siebie. I niech pani kupi mu jakieś naturalne witaminy. Wie pani, miód, maliny, czosnek, herbatki z czarnego bzu...

– Wiem, dobrze. Zaraz to wszystko załatwię.

– Przy takiej wnuczce aż miło się choruje, co? – zwrócił się do pana Wiesława i poklepał go po ramieniu. – Zdrowia życzę!

Pożegnał się i wyszedł. A starszy pan przytrzymał mnie za rękę i powiedział:

– Dziękuję ci, wnusiu.

Chociaż nie miałam za dużo czasu, zaglądałam do niego dość często. Cieszyłam się na te spotkania. Miał też swoje rytuały. Kiedy przynosiłam z kuchni herbatę, podnosił się z fotela, otwierał szafę i z tajemniczym uśmiechem wydobywał z jej dna blaszane pudełko. Wybierał z niego dwa miętowe cukierki, z których jeden podawał mnie, drugi zaś powoli odwijał z szeleszczącego papierka, z namaszczeniem wkładał do ust i ssał głośno, przyzymkając z błogością oczy. Wydawać by się mogło, że cukierek ów stanowi dla niego szczyt luksusu. Byłam pewna, że nie zjada ich w samotności, ponieważ wymagały specjalnej oprawy. Czułam się zaszczycona, że moje wizyty uważa za taką odświętną chwilę. Żadna z przywiezionych przeze mnie czekoladek nigdy nie doczekała się tak



wyjatkowego traktowania. Pan Wiesław nie był wylewny, ale zdarzało się, że między słowami o pogodzie przemyślał opowieści ze swojego życia.

– Ten dom budował mój ojciec. Na początku był niewielki, ale wystarczał na nasze potrzeby. Te dwa skrzydła ojciec dobudował dla Antka i Frania, moich braci, kiedy się ożenili. Ja byłem najmłodszy, to mieszkalem w jednym pokoju z matką. Po wyzwoleniu nie było już matki. I jak mówiłem, do dzisiaj nie wiem, co się z nią stało. Ojciec i Antek zginęli podczas wojny. A dom zajęli obcy. Nie miałem gdzie się podziać, to zaciągnąłem się do takiego oddziału, który walczył z komunistami. Tam poznałem Ninę, sanitariuszkę. Ładna była. Chciałem się z nią żenić. Ja też byłem jej po sercu – dziadek uśmiechnął się, jakby zobaczył tę swoją Ninę – ale złapali ją i zamęczyli w więzieniu. Takie były czasy.

– To dziadek się nie ożenił?

– A jakże! Z Anielcią. Najpierw mieszkaliśmy kątem u jej ciotki. Niedobra ta ciotka była. Anielcia nieraz przez nią płakała. O, tutaj jest na zdjęciu. – Wybrał czarno-białą fotografię i mi ją podał. Zdjęcie było niewyraźne i niewiele mogłam zobaczyć, pokiwałam więc tylko głową i stwierdziłam:

– Rzeczywiście. Od razu widać, że zła baba.

– Czekaj, no – zabrał mi zdjęcie i przyjrzał mu się, mrużąc oczy. – To jest moja Anielcia, nie ciotka. Tutaj jest ciotka – sprostował, podając mi inną fotografię.

Tym razem wołałam nie komentować, chociaż po wyrazie twarzy można było wywnioskować, że ta kobieta to kawał sekutnicy.

– Mieszkaliśmy u tej ciotki dwa lata. Komuna była, bieda. W pięćdziesiątym drugim powiedziałem do Anielci, że dłużej nie dam rady. Miałem dwadzieścia cztery lata i nie chciałem tak żyć. Zawiozłem ją do matki, a sam pojechałem do Gdańska. Staruszek zamyślił się, jakby posmutniał. – Powiedziałem, że jak tylko zagospodaruję się na Zachodzie, to ją sprowadzę.

– Wtedy zmieniło się całe moje życie. Może byłoby inaczej, gdybym został – westchnął. – Chciałem uciekać. Ale jak uciekać, kiedy Polskę ogrodzili kolczastym drutem, długim na dwa tysiące kilometrów? Trzydzieści tysięcy żołnierzy jej pilnowało i strzelało do każdego, kto próbował uciec. Tułałem się po tym Gdańsku, spałem na dworcu, cały czas byłem jak ten zając pod miedzą, bo chodzili, łapali takich jak ja. Aż pewnego dnia, kiedy kręciłem się blisko portu, spotkałem jednego marynarza, który pomógł mi dostać się na szwedzki węglowiec. Tamci przeszmyglowali mnie pod pokładem. Popłynąłem przez Ocean Atlantycki do Ameryki, do Stanów Zjednoczonych... Ech, długo by opowiadać.

– A Anielcia? Co z nią?

– Jej spokoju nie dawali. Zaraz służby zaczęły węszyć. Byłem przecież wrogiem państwa, może szpiegiem. Grozili jej. Nie chcę wspominać. Jeśli tak było, to moja wina. Zostawiłem ją, kiedy... Ach, takie tam... Trudno o tym mówić.

Odniosłam wrażenie, że dziadek nie powiedział mi wszystkiego.

– I został dziadek w tej Ameryce? – zapytałam, starając się dowiedzieć czegoś więcej.

– A jakże, zostałem. Kto by chciał wracać na śmierć albo co najmniej więzienie?

– Ale w końcu dziadek wrócił.

– Tęsknił człowiek za swoimi. Tylko że kiedy wróciłem, nikogo już nie było. Chciałem szukać Anielci, ale wszystko się pozmieniało, kontakt się urwał, adresu nie miałem, a Zygmus, syn Frania powiedział, że ona uciekła z jakimś chłopem. Pewnie nie chciałyby nawet się ze mną spotkać. Więc on się mną zajął i zabrał do siebie, do Warszawy. Szybko się połapałem, że najbardziej go moje dolary interesują. Na początku dawałem, potem coraz mniej, więc naradzili się z żoną, żebym ten dom kupił i się przeprowadził. Pozbyli się starego.

– Odwiedzają dziadka?

– Odwiedzają, a jakże! Wczoraj syn Zygmunia był z kolegą. Pochodzili, popatrzyli i pojechali. Trochę zielonych jeszcze mam, więc przyjeżdżają – stwierdził z ironicznym uśmiechem. – To i tak na nich przejdzie, bo... na kogo? O, teraz święta idą, więc do Warszawy mnie zabiorą. I tak będziemy udawać, że jesteśmy kochającą się rodziną, aż umrę. A potem dorwą się do tego, co jeszcze po mnie zostanie. Takie życie.

Zbliżały się święta i po raz pierwszy odczułam prawdziwą pustkę, jaka wytworzyła się wokół mnie po wyjeździe rodziców. Mama wprawdzie dzwoniła teraz częściej, lecz świadomość, że zostałam zupełnie sama w czasie, który kojarzył się z rodzinną atmosferą, całkowicie mnie przytłoczyła. Nawet dziadek wyjechał do Warszawy. Dzień przed Wigilią wyszłam z domu, żeby zająć czymś myśli, nieustannie krążące wokół rodziców i wspomnień wspólnych świąt. Zmierzch zapadł szybko i dzień ukrył się pod czarną zasłoną, rozświetloną kolorowymi neonami i lampkami zdobiącymi uliczne choinki. Przechodnie potracali się wzajemnie, brodząc w brudnym śniegu zalegającym na chodnikach. Samochody sunęły po mokrym asfalcie, w którym odbijały się migotliwe światła. Od czasu do czasu zniecierpliwieni kierowcy dawali znak klaksonami, że śpieszą się bardziej niż inni. Nikt nie zwracał uwagi na przedświąteczny klimat, jakby odsunięty na bok. Twarze przechodniów wyrażały skupienie lub rozdrażnienie. Nerwowe matki szarpały ociągające się dzieci, a mężowie sarkali na żony. I tylko w jednym miejscu krok zwalniał, a spojrzenia łagodniały. W przejściu między starymi kamienicami stał skrzypek. Spod smyczka wypływała melodia, ogrzewała serca i frunęła prosto do nieba. Ludzie zatrzymywali się, wyłuskiwali monetę albo dwie, wrzucali do starego futerału i nucąc pod nosem podchwyconą melodię, odchodzili. Wydawało im się, że stali się trochę lepsi, świąteczny klimat do nich wracał. Przystanęłam, poszperałam w kieszeni kurtki i wydobywszy kilka złotych, podeszłam do skrzypka.

Podziękował z ledwie uchwytnym uśmiechem i spojrzał na mnie życzliwie. Melodia była przejmująca, żal było odejść, więc odsunęłam się na bok i słuchałam jak zaczarowana. Białe śnieżne baletnice wirowały w powietrzu, opadając miękko pod buty przechodniów. Przed oczami pojawił się obraz innej zimy. Widziałam siebie, jak z rączką wsuniętą w dużą dłoń ojca drepczę między drewnianymi góralskimi chatami. Matka szła nieco z tyłu, zachwycając się górskim krajobrazem. Wspomnienie było wyraźne, nabrzmiewało, trzepotało w sercu. Stałam, zapatrzona w przeszłość, dopóki nie ucichła grana przez skrzypka kolęda. Odeszłam, wypełniona smutkiem i tęsknotą. Robiło się coraz później, mimo to odwlekałam powrót do domu, w którym teraz czułam się bardzo samotnie. Parę kroków dalej była niewielka, choć dość ekskluzywna kawiarnia. Zwykle wybierałam tańsze kafejki, dziś jednak bez wahania pchnęłam tamte oszklone drzwi. Otoczyło mnie przyjemne ciepło i zapach charakterystyczny dla bardziej wykwinnych lokali. Aromat kawy, woń kardamonu z ulotną nutą kamfory mieszały się tu z subtelnością dobrych perfum nasuwających skojarzenie z elegancją. W tle sęczyły się dźwięki orientalnej muzyki. Zwabiona magią tego miejsca, zdjęłam puchową kurtkę i uważnie rozejrzałam się po wnętrzu. Kelner odebrał moje okrycie i wskazał

stolik. Usiadłam, poprosiłam o gorącą herbatę, po czym jeszcze raz się rozejrzałam, tym razem dyskretnie. W kawiarni było mało ludzi. Dwa stoliki dalej siedziała starsza para wyglądająca na małżeństwo. Nie rozmawiali ze sobą, obserwowali otoczenie znudzonym wzrokiem. Przyglądałam się im, dopóki mojej uwagi nie przykuł młody mężczyzna, zupełnie niepasujący do tego miejsca. Jego zamyślona twarz o nieco ciemniejszej karnacji i trochę wschodnich, jakby azjatyckich rysach przyciągała jak magnes. Siedział pod oknem, zapatrzony w sypiący za szybą śnieg. Obok niego stała gitara – niedbale oparta o stolik. Ktoś ją przypadkiem potrącił i wydała głuchy dźwięk. Wtedy chłopak się ocknął, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, potem na zegarek. Jego spojrzenie przepłynęło także po mnie, lecz nie dostrzegłam nawet cienia zainteresowania. Jego palce zaczęły nerwowo bębnić w blat stolika. Nagle poczułam chłód – przez gwałtownie otwarte drzwi kawiarni weszła dziewczyna w kozaczkach na wysokim obcasie. Zawahała się, zanim energicznym krokiem ruszyła w kierunku okna. Powiało *Euphorią*. Wyrafinowany zapach pobudził zmysły nawet znudzonego dotąd kelnera. Ożywił się i odrobinę wspiął na palce, by wydać się wyższym i atrakcyjniejszym. Dziewczyna nie zwróciła na niego uwagi i, nie zdejmując futerka, przysiadła na brzegu krzesła przy stoliku, który obserwowałam. Taksowałam połyskliwe pończochy na smukłych nogach, krótką fryzurkę sterczącą nad czołem, zgrabne ruchy. Chłopak jednak zdawał się tego nie zauważać. Kiedy nachyliła się w jego kierunku i mówiła o czymś z przejęciem, słuchał uważnie, choć nie odrywał wzroku od filiżanki. Od czasu do czasu kiwał głową, ale ani razu się do niej nie uśmiechnął. Dziewczyna nie zabawiła długo. Gdy wyszła, chłopak dopił kawę, sięgnął po kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła, wygrzebał z kieszeni pieniądze i rzucił je na stół. Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Została po nim porcja zimowego chłodu, która nieproszona wtargnęła z ulicy. Do pustego stolika podszedł kelner. Przeliczył pieniądze i uprzątnął filiżankę. Sytuacja jakich wiele. Przyglądałam się wszystkiemu tylko dlatego, że byłam tu sama i nie miałam nic lepszego do roboty.

A jednak ten chłopak musiał mieć w sobie coś, skoro następnego dnia pomyślałam o nim zaraz po przebudzeniu. Zapadł mi w pamięć, sama nie wiem, dlaczego. To prawda, był przystojny. I te oczy. Wyzierała z nich nostalgia, a jednocześnie jakiś bunt, jakby ich właściciel toczył walkę z samym sobą. Nie mogłam zapomnieć jego sięgających ramion włosów, czarnych jak smoła. Rzadko takie widywałam. W ogóle cała ta postać była bardzo egzotyczna. W pracowni od niechcienia naszkicowałam szybki portret z pamięci. Potem przyjrzałam mu się krytycznie. Tak mniej więcej wyglądał. Szkic nie oddawał jednak jego wnętrza. Zostawiłam papier na sztaludze i zabrałam się za robienie kawy. Niedługo potem zadzwoniła Agata.

– Jagoda! – zawołała. – Musisz tu koniecznie przyjść! Teraz, natychmiast!

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zakrztusiłam się kawą i zaniósłam kaszlem.

– Jagoda, szybko! To się może w każdej chwili skończyć!

– Dobrze, idę! Tylko dokąd?

– Do Rynku. Szybko! Jestem przy Sukiennicach, blisko Noworolskiego.

Odstawiłam niedopitą kawę i ruszyłam do drzwi. Wypadłam na klatkę schodową w rozpiętej kurtce, owijając się po drodze szalikiem. Szlafrok w kółka, czyli pani Kosiak, przechodziła właśnie pod moimi drzwiami, niosąc ostrożnie dwadzieścia jaj w tekturowym opakowaniu.

– A niech cię! – zawołała, usiłując rozpaczliwie złapać wytrąconą z rąk wytłaczankę.

– Przepraszam... – bąknęłam, przyglądając się, jak żółta maź zbliża się do mojej wycieraczki. – Zaraz to posprzątam.

– Posprzątam – warknęła. – Co mi z tego?

– Odkupię pani te jajka.

– No ja myślę. Szalona głowa. Idź szybko, bo targ zaraz zamkną.

– Targ?

– A coś ty myślała? Ja sklepowych jajek nie jem. Na Kleparz idź, do Wojciecha. On ma zawsze świeże.

– Dobrze. Kupię u Wojciecha – mruknęłam, nie dociekając, gdzie tego Wojciecha znajdę. Zbiegłam po schodach i, pomstując w duchu, pomaszerowałam na Stary Kleparz. Ukryty w torebce telefon wydierał się wniebogłosy. Doskonale wiedziałam, że to Agata wyraża swoje zniecierpliwienie.

– Idę po jajka – rzuciłam w słuchawkę, zanim zdążyła się odezwać i nie słuchając, co ma mi do powiedzenia, rozłączyłam się. Zakupu dokonałam u pierwszej lepszej baby. Zaniósłam jaja Kosiakowej i zabrałam się za sprzątanie przyschniętej pod drzwiami jajecznicy. Potem zadzwoniłam do Agaty.

– Ech, nie zdążyłaś – stwierdziła zawiedziona. – Już nawet nie dzwoniłam, bo szybko skończyli.

– Nie dzwoniłaś? – zdziwiłam się, zastanawiając się, kogo wobec tego poinformowałam, że idę po jajka.

– Nie, zaraz poszli.

– Ale o kim ty właściwie mówisz? Kto poszedł?

– Kapela. Nazywa się Corba. Słyszałaś o niej?

– Nic mi ta nazwa nie mówi.

– No właśnie. A jest świetna. To nasi, z Krakowa.

– Trudno. Jeśli taka dobra, na pewno ją jeszcze usłyszymy. A skoro jesteś w pobliżu, może wpadniesz do mnie na herbatę z wiśniami?

– Uwielbiam twoją herbatę z wiśniami, ale jestem umówiona z Robakiem.

– Z kim?

– Z moim chłopakiem, Robertem. Robakiem.

– Szkoda. Myślałam, że pogadamy.

– Innym razem. Pa!

Zakończyłam rozmowę i zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Widniał tam nieznan mi numer. To właśnie jego właściciela zawiadomiłam o jajkach.

Resztę dnia spędziłam na malowaniu ilustracji do książki o zwierzętach. Nie przepadałam za tą robotą, była żmudna, a wydawcy narzucali własne koncepcje, ale trzeba było zarabiać na chleb. Telefon zadzwonił ponownie wieczorem.

– Dzień dobry, nazywam się Juliusz Kotoń. Czy rozmawiam z panią Jagodą Czajewską? Pani numer otrzymałem od Konrada. Wie pani, o kogo chodzi?

– Tak, oczywiście.

– Mam nadzieję, że nie ma pani o to do niego pretensji?

– Nie wiem. Zależy, po co pan dzwoni. – Ten wstęp do właściwego tematu mnie zaintrygował.

– W sprawie konkursu malarskiego. Konrad zasugerował, że mogłaby pani wziąć w nim udział.

– Co to za konkurs?

– Ogólnopolski. Jest to konkurs Fundacji Niematabu. Jego celem jest wsparcie dla polskich artystów przełamujących twórcze konwenanse.

– Jakie są wymagania?

– Organizatorzy nie narzucają techniki malarskiej ani tematu. Może pani namalować, co się pani podoba i jak pani chce. To chyba wygodne, prawda? Poza tym pozostawia swobodne pole do działania. W końcu chodzi o przełamywanie stereotypów.

– Rozumiem – powiedziałam i już zaczęłam zastanawiać się nad tematem obrazu, który namaluję.

– Prace plastyczne dostarczone w terminie będą nominowane do nagrody fundacji Niematabu i wyeksponowane na wystawie w Krakowie.

– Wystawa w Krakowie. Ciekawa nagroda. – W moim głosie nie dało się nie wyczuć ironii.

– O nie. Wystawa dotyczy wszystkich uczestników. Natomiast laureaci otrzymają nagrodę pieniężną i możliwość wyjazdu na trzytygodniowy plener w Beskidach. A środki ze sprzedaży prac konkursowych Fundacja przeznaczy na promocję naszych artystów w kraju i za granicą. Niech pani spróbuje, co pani szkodzi?

– Zastanowię się. Do kiedy mam czas?

– Pod koniec marca jest ostateczny termin przyjmowania prac. Ma pani przed sobą trzy miesiące.

– Dziękuję. Przemyszę propozycję i dam panu znać.

– Proszę się pośpieszyć. Zgłoszenia przyjmujemy do końca grudnia. Kupiła

pani jajka?

– Słucham? A... Tak, kupiłam. – Poczułam, że się rumienię. Trzeba było wyjaśnić tę sprawę. – Przepraszam pana. Myślałam, że mówię do przyjaciółki.

– Nie szkodzi. Konrad mnie uprzedzał, że jest pani trochę zakręcona. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia.

Przełamywanie stereotypów – pomyślałam, wchodząc do pracowni. Przysiadłam na brzegu skrzynki z pędzlami i zawiesiłam wzrok na sztaludze ze szkicem.

Święta spędziłam ostatecznie z Agatą i jej rodziną. Był też Robak, który okazał się sympatycznym facetem. Wprawdzie bywał zasadniczy i poważny, ale miał poczucie humoru, dzięki któremu udawało mu się rozładowywać stany wojny z Agatą. Po świętach zadzwoniłam do Juliusza Kotonia i zgłosiłam swój udział w konkursie.

– Świetnie. Wobec tego prześlę pani formularz zgłoszeniowy.

Kiedy podałam adres, zdziwił się.

– Mieszka pani w tej trzypiętrowej kamienicy, naprzeciw sklepu z obuwiem?

– Tak.

– Na którym piętrze?

– Na pierwszym.

– A to dopiero! Piętro wyżej mieszka moja matka.

Z wrażenia zaschło mi w gardle.

– Pani Kosiak? – zapytałam niepewnie.

– Nie, nie – roześmiał się. – Znam Kosiakową. Mieszka naprzeciw. Moja matka nazywa się Kotoń, tak jak ja. Będę tam dzisiaj, mogę przynieść pani formularz.

Juliusz Kotoń okazał się blondynem o jasnoniebieskich oczach i ujmującym uśmiechu. Wszedł, trzymając za rękę małą dziewczynkę. Wyglądała na cztery latka.

– Zabrałem ją od babci – wyjaśnił.

– Proszę wejść, zrobię herbatę – zaproponowałam.

– Chętnie, dziękuję – ucieszył się. – W domu mam straszny bałagan, a żona w delegacji. Od kilku dni żyję perspektywą nieuniknionego sprzątanego – westchnął. – To moja córka, Amelia.

Dziewczynka spojrzała na mnie dużymi, niebieskimi oczami i uśmiechnęła się szeroko. Ucisnęłam małą rączkę i gestem zaprosiłam do środka.

– Tutaj jest formularz, proszę – powiedział pan Juliusz i położył druk na ławie.

– Dziękuję. Zaraz go wypełnię. Siadajcie, a ja zajmę się herbatą.

Przeszłam do części kuchennej i nastawiłam czajnik. Po chwili przydreptała

Amelia i z uwagą śledziła moje ruchy.

– Lubię wesołe czajniki – stwierdziła, sadowiac się na wysokim krześle przy barze.

– Uważasz, że mój czajnik jest wesoły?

– Tak, ma zadarty do góry nos.

– Aha...

– Jest wesoły, bo woda opowiada mu bajki.

– Bajki, mówisz...

– Tak, ale ja ich nie rozumiem. Po jakiemu mówi woda?

Nie miałam pojęcia, po jakiemu mówi woda, więc spojrzałam na pana Juliusza, szukając ratunku. Ten tylko bezradnie rozłożył ręce.

– Myślę, że... – potarłam z zastanowieniem brodę – że ona mówi bardzo mokrym językiem.

– A mój język jest suchy?

– No, niezupełnie.

– Ale bardziej suchy niż wody?

– Niewątpliwie.

– Bo go wietrzę powietrzem?

– No właśnie.

– A ile waży powietrze?

Rany boskie. Ile waży powietrze?

– Nie mam pojęcia. Zaniesiesz cukier do stołu? – zmieniłam temat.

– Zaniose – odparła Amelia i z przejęciem wzięła ode mnie cukiernicę. – Tatusiu, jestem głodna – oznajmiła i zerknęła tęsknym wzrokiem na moją lodówkę.

– Zrobię ci kanapkę – powiedziałam szybko i sięgnęłam do szafki po chleb.

– Nie żartuj, Amelio. Czy nie jadłaś nic u babci? – zapytał zakłopotany pan Juliusz, jednocześnie przepraszając mnie wzrokiem.

– Nie chciałam jeść u babci, bo ona miała tylko pasztetową. Tatusiu, czy pasztetowa to żona paszteta?

– Pasztetu – poprawił córkę i wzniósł oczy do nieba.

Na szczęście mała zajęła się swoją kanapką i przez chwilę mogliśmy swobodnie porozmawiać.

– Mogę mówić pani po imieniu? – zapytał i uniósł się lekko z fotela.

– Jasne. Jagoda – wyciągnęłam rękę, którą mocno uścisnął.

– Od dawna tutaj mieszkasz? – zainteresował się.

– Od jesieni.

– Ładnie się urządziłaś.

– To zasługa mojej mamy. Zna się na tym.

– Ech, powinienem odświeżyć mieszkanie mojej matki. Mam wyrzuty sumienia, bo nie było tam malowane od lat. Tylko że ja...



– Tatusiu, gdzie się wyrzuca sumienie? – wtrąciła Amelia, przełykając ostatni kęs.

– Do niebieskiego worka – odparł, wywołując na twarzy dziecka wyraz zastanowienia. – Wydaje mi się, że kobiety mają więcej cierpliwości – dodał, spoglądając na mnie znacząco. – Choć może nie wszystkie.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową, chociaż nie uważałam, że wykazałam się cierpliwością. Nie znałam się na dzieciach. Dopiliśmy herbatę i Juliusz zaczął zbierać się do wyjścia. Amelia była niepoczyszona, ale skusił ją jakąś obietnicą wyszeptaną do ucha. Nie byłam przyzwyczajona do towarzystwa dzieci, tym bardziej tak wyjątkowych, jak ta dziewczynka ze swoimi przedziwnymi pytaniami, dlatego odetchnęłam z ulgą, gdy zamknęłam za nimi drzwi. Potem poszłam do pracowni i znowu usiadłam na skrzyni, wpatrując się w szkic portretu. Już wiedziałam, że ta niezwykła twarz będzie motywem mojej pracy konkursowej. Wzięłam ołówek i dorysowałam zrujnowane, płonące miasto jako tors, natomiast włosy zamieniłam w rozpaczliwie wyciągnięte do ruin ręce. Najtrudniej było narysować oczy. Mimo wielu prób, nie potrafiłam uchwycić tego szczególnego wyrazu. A poza tym – jak mogę zatytułować taki obraz? „Człowiek i wojna”? A może „Człowiek wojna”? Na obrazie wszystko wyglądało tak, jakby rozsądek chciał ratować to, co zrujnowało serce. Może więc powiązać temat z uczuciem? Ze zdruzgotaną miłością? Zakryłam szkic kawałkiem płótna i poszłam spać. Postanowiłam pomyśleć o tym jutro.

Obudziłam się z decyzją, że dziś odwiedzę dziadka. Być może wrócił już z Warszawy i może trzeba mu zrobić zakupy lub po prostu dotrzymać towarzystwa. Zanim jednak się ubrałam, weszłam do pracowni i spojrzałam na szkic. Wpatrując się w puste jeszcze oczy, namacałam ręką ołówek i krótkimi, szybkimi ruchami dorysowałam to, czego im brakowało. Odeszłam parę kroków i przysiadłam na brzegu skrzyni.

– Tak – powiedziałam na głos. – To są twoje oczy, z których wyziera cała twoja wewnętrzna walka. Nazwę cię Dymitr. To imię pasuje do ciebie. Dymitr.

Do wieczora, nie zdejmując piżamy, parząc jedną kawę po drugiej, pracowałam nad Dymitrem. Obraz nabierał barw, a z nimi Dymitr zyskał duszę i stał się prawdziwy. Zanim skończyłam, już kochałam ten twór mojej wyobraźni, połączony z kimś rzeczywistym, dalekim, innym i nieokreślonym. Przez kolejne dni, straciwszy poczucie rzeczywistości, niewiele jedząc i śpiąc, dopieszczałam Dymitra, aż osiągnął stan doskonały, któremu każdy najmniejszy ruch pędzla mógł jedynie zaszkodzić. Potem odwróciłam go twarzą do ściany.

Agata zadzwoniła w piątek.

– Czy ja zaprosiłam cię już na ślub? – zapytała.

– Nie – odparłam.

– To dobrze, bo ślubu nie będzie.

– Dlaczego? – zdziwiłam się. Poczułam jednocześnie zawód i zadowolenie.

Agaty nie widziałam w roli żony, chociaż polubiłam Robaka i życzyłam mu jak najlepiej.

– Bo nie! – odparła ze złością, po której domyśliłam się jakiegoś kolejnego starcia charakterów.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytałam ostrożnie.

– Nie ma o czym gadać. Poza tym dzwonię z lotniska. Lecę do Norymbergi.

– Masz tam wystawę?

– Nie ja. Taki jeden fotograf. Nie znam go osobiście, ale wiem, co robi. Jest niesamowicie inspirujący. A ty malujesz ten obraz na konkurs?

– Już skończyłam.

– Dobrze wyszedł?

– Nie wiem. Nie umiem ocenić, bo jestem z nim emocjonalnie związana.

– To najgorsze, co może być. Jak przyjadę, to mi pokażesz.

– Dobrze, powodzenia.

– Na razie, pa!

Odłożyłam telefon i pokręciłam z dezaprobatą głową. Cała Agata. Tydzień temu rozplątywała się nad zaletami Robaka. Byłam pewna, że za tydzień będzie robić to samo.

Po południu wybrałam się do dziadka. Dzwoniłam, pukałam, ale drzwi pozostały zamknięte. Widocznie dziadek szerzej otworzył sakiewkę, a bratanek serce. Dzień był pogodny i jak na połowę lutego przystało, słońce już dłużej utrzymywało się na horyzoncie. Zatrzymałam samochód w bocznej uliczce i spacerkiem wybrałam się w stronę Rynku. Jak zwykle panował tam ruch i gwar. Turyści fotografowali się na tle pomnika Mickiewicza, wokół Rynku defilowała grupa przebierańców z transparentami, przystrojone konie przytupywały podkowami w oczekiwaniu na amatorów przejażdżki białym powozem. Pod budynkiem Sukiennic ktoś grał na gitarze. Tuż obok opatulona w kożuch handlarka sprzedawała tradycyjne krakowskie obwarzanki. Kiedy chodziłam z mamą po Rynku, nigdy nie mijaliśmy obojętnie takich stoisk. Zateśkniłam za rodzicami. Wsunęłam rękę do kieszeni i poklepałam z namysłem telefon. Znowu milczał. Wiedziona nagłą pokusą, poprosiłam o jeden obwarzanek, posypyany obficie sezamem.

– Są tylko z makiem – poinformowała mnie handlarka.

– Jak to? A ten? – postukałam palcem w szybkę.  
– To nie obwarzanek, tylko precel – obruszyła się.  
– To nie wszystko jedno? Wyglądają tak samo.  
– Obwarzanki są okrągłe, a precle są splecione w ósemkę.  
– No dobrze, to niech będzie ósemka, co za różnica.  
– Różnica jest w smaku, kochana. Obwarzanek się obgotowuje przed pieczeniem, obwarza. I jest miękki. A precel twardy i kruchy. To jak? Precel czy obwarzanek?

– Niech będzie obwarzanek.  
– To z makiem.  
– Niech będzie z makiem – zgodziłam się i sięgnęłam po portfel. Chłopak obok przerwał grę na gitarze i wyciągnął rękę.

– Ja też poproszę.  
Spojrzałam na niego przelotnie. Chuchnął w zaczerwienione od zimna ręce i uśmiechnął się do mnie. Nagle zamarłam.

Stał tam we własnej osobie, skośnooki, z włosami ściągniętymi gumką w śmieszna kitkę i spokojnie zanurzał zęby w obwarzanku z makiem. Jedyne jego spojrzenie było inne, pełne wesołych iskerek. Poza tym był to mój Dymitr. Z krwi i kości. Gapiłam się na niego długo, aż na jego twarzy uśmiech ustąpił miejsca niepokoju.

– Coś się stało? – zapytał. Z wrażenia przestał nawet przeżuwać.  
– Przepraszam, zamyśliłam się – śmiechem starałam się zatuszować zakłopotanie.

Pokiwał głową i zajął się swoim obwarzankiem. Odwróciłam się i pewnie straciłabym okazję do nawiązania z nim bliższej znajomości, gdyby nie handlarka, która uśmiechnęła się do mnie i wskazała na Dymitra.

– Gdyby nie on, to bym tu nie stała, tylko tam, na rogu, gdzie więcej można sprzedać. Ale stamtąd nie było słyhać, jak on ładnie śpiewa. Jak pani poczeka, to sama pani usłyszy – dodała ciszej.

Dymitr zjadł, otrzepał ręce z maku i podniósł gitarę. Stałam obok, skubiąc obwarzanek, i cierpliwie czekałam. Zerknął na mnie i zagrał parę akordów. A po chwili z jego ust popłynęła pieśń tak przejmująca, że przez plecy przebiegły mi ciarki. Nie rozumiałam ani słowa, ale głos Dymitra przeniknął mój mózg i zagnieździł się głęboko w sercu. Chłopak miał przymknięte oczy i mogłabym przysiąc, że odpłynął wraz ze swoim śpiewaniem gdzieś bardzo, bardzo daleko. W tym czasie wokół nas zebrała się spora grupka przechodniów. Dopiero teraz zauważyłam, że przed Dymitrem leży czapka, do której sypały się drobne pieniądze. Wyjęłam kilka monet i wrzuciłam do czapki.

– Dzięki – mruknął i poklepał gitarę jak starego kumpla. Potem przewiesił ją przez plecy i oddalił się bez słowa.

Byłam zawiedziona. Już chciałam odejść, gdy zobaczyłam pozostawioną przez niego czapkę. Odruchowo ją podniosłam.

– Dymitr! – zawołałam i ruszyłam w pościg, potrącając przechodniów. – Dymitr! – krzyczałam, zapominając, że on wcale się tak nie nazywa.

Dopadłam go przy końcu Sukiennic i złapałam za ramię.

– Dymitr – dyszałam – zapomniałeś... czapki...

Spojrzał na mnie zaskoczony, wygarnął pieniądze, wsypał je do kieszeni kurtki, a czapkę nacisnął na głowę.

– Jak powiedziałaś? Dymitr?

– Tak.

– Nie nazywam się tak. To jakieś ruskie imię, nie?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Dziękuję za czapkę – dotknął jej palcami, jakby sprawdzał, czy jest na właściwym miejscu. Uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

– Drobiazg – bąknęłam.

Przez chwilę staliśmy tak bez słowa. Chciałam kontynuować rozmowę, ale miałam kompletną pustkę w głowie.

– Idę w tamtą stronę – odezwał się w końcu i wskazał kierunek. – A ty?

– Ja też – ucieszyłam się, chociaż miałam zawrócić do samochodu.

– No to chodźmy.

Ruszył szybkim krokiem. Musiałam podbiegać co parę kroków, żeby mu dorównać.

– Śpieszysz się gdzieś? – zapytałam w końcu.

– Nie.

– To zwolnij. Nie mogę nadążyć.

– Zmarłem. Próbuję się rozgrzać.

– Zaczekaj – pociągnęłam go za rękaw. – Wstąpmy gdzieś na gorącą herbatę, chcesz?

Uśmiechnął się dziwnie.

– Chcesz iść ze mną na herbatę? Dlaczego?

Co za głupie pytanie. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że go namalowałam. Ale jak mam mu o tym powiedzieć?

– Rozgrzejesz się, chodź.

Zerknął na mnie z ukosa i wzruszył ramionami.

– Możemy iść – mruknął.

– Tutaj niedaleko jest miła kafejka. Wystarczy przejść przez bramę i kilka zakamarków.

Teraz ja szłam przodem, pozostawiając Dymitra nieco za sobą. Wtulona w oficynę kawiarnia sprawiała przyjemne wrażenie, a co najważniejsze, było w niej ciepło. Zdjęliśmy okrycia i usiedliśmy przy stoliku, o który Dymitr oparł gitarę.

Zamówiłam nam herbatę z miodem i imbirem.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

Wlałam miód do herbaty i w skupieniu mieszałam go łyżeczką.

– Przecież wiesz. Dymitr – odparł i uśmiechnął się z lekką ironią.

Przyznam, że trochę zbiło mnie to z tropu.

– No tak. Ale wczoraj... Jak nazywałeś się wczoraj?

Przez chwilę patrzył na mnie jakoś tak osobliwie.

– Kto wie? Może od teraz nie będzie dla mnie żadnego wczoraj? To zależy – zauważył tajemniczo.

Wyraźnie kluczył, żeby nie odpowiedzieć na moje proste pytanie. Przekomarzał się czy może miał coś do ukrycia? – zastanawiałam się.

– Od czego zależy? – przyjrzałam mu się badawczo.

– Od ciebie.

Czyżby teraz zaczął mnie uwodzić?

– To znaczy... Czegoś ode mnie oczekujesz? Chcesz mieć to swoje wczoraj, czy nie? – zniecierpliwiłam się. Chyba to zauważył, bo wyprostował się na krześle i spoważniał. Przynajmniej na chwilę.

– Wczoraj nazywałem się Ochir. I tęsknię za moim wczoraj, więc... Ale możesz nazywać mnie Dymitr. Podoba mi się.

– Świetnie. Pasuje do ciebie. A Ochir? To po węgiersku?

– Nie. Pochodzę z Mongolii. Od dziesięciu lat mieszkam w Polsce. A ty?

– Co ja? Ja mieszkam tu od urodzenia.

– Nie o to chodzi. Pytam, jak masz na imię.

– Jagoda.

– Jagoda. To jak owoc z lasu?

– Tak. Jak owoc. Powiedziałeś, że tęsknisz. Dlaczego więc nie wracasz?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tutaj jest łatwiej. Przyzwyczailem się. Mam pracę – powiedział pewnym głosem.

– Nazywasz to pracą? Grę na gitarze?

– Gram, bo lubię. A poza tym jestem kierowcą. Rozwożę ludzi takim małym busem. Da się z tego żyć, ale kiedy gram, też parę groszy wpadnie.

– Masz piękny głos – pochwaliłam. – Śpiewałeś? No wiesz, tam, w Mongolii.

– Śpiewałem z innymi mężczyznami. Może kiedyś będzie okazja, to ci opowiem.

– Teraz to nie okazja?

– Nie. Teraz to święto. To, że rozmawiam z tobą. Dla mnie to coś wyjątkowego. Święto.

– Nie spotykasz się z dziewczynami?

– Czasem. Ale nie z takimi jak ty. One są zwyczajne.

Postanowiłam nie pytać, czym różnię się od zwyczajnych dziewczyn. Nie chciałam wyjść na kokietkę.

– Rozgrzałeś się trochę?

– Rozgrzałem – uśmiechnął się z zadowoleniem. – Teraz nie mam ochoty stąd wychodzić.

Zerknęłam w okno. Zapadał zmierzch i zapowiadał, że za chwilę zrobi się ciemno.

– Przyjemnie tu – stwierdziłam, rozglądając się po wnętrzu.

– To dlatego, że ty tu jesteś – zauważył. – Knajpa jak knajpa.

Zamilkłam i zaczęłam bawić się łyżeczką.

– Co robisz? – zapytał, przerywając ciszę.

– Bawię się łyżeczką.

– Widzę. Pytam, czym się zajmujesz na co dzień. Pracujesz?

– Tak... Ostatnio robiłam ilustracje do książki.

– Rysujesz obrazki?

– Tak – roześmiałam się. – Można to tak nazwać. A ty skąd się tu wzięłeś?

Przyjechałeś na studia?

– Na jakie tam studia... Babkę przywiozłem. Na umieranie.

– Co? – odłożyłam łyżeczkę. – Na co ty tę babkę przywiozłeś? Na umieranie?

– Tak. Była Polką. Chciała, żeby tu ją pochować. W ziemi ojczywej. Tak mówiła. No to mnie wysłali. Żyła tu jeszcze prawie dziesięć lat. Przez ten czas przyzwyczailem się. Nie chce mi się już tam wracać.

– To dlatego tak dobrze mówisz po polsku? Babcia cię nauczyła?

– Trochę ona, trochę matka. Bardzo tego pilnowały. Bracia też mówią po polsku.

– Ilu masz braci?

– Czterech. I jedną siostrę. Ale ona jest... Jakby ci powiedzieć... Nie wszystko z nią w porządku.

– Jest niepełnosprawna?

– O właśnie. Wszystko rozumie, nawet po polsku. Ale nie mówi i nie chodzi. A ręce ma takie powykręcane – rzekł i zademonstrował, jak wyglądają ręce siostry.

– Ja nie mam rodzeństwa – oznajmiłam. – I teraz jestem sama jak palec.

– A rodzice?

– Wyjechali. Wrócą dopiero za dwa lata.

Dymitr pokiwał głową i znowu zapadła cisza.

– Namalowałam cię, wiesz? – wypaliłam po chwili milczenia.

– Namalowałeś? Kiedy? – zdziwił się.

– Jakieś trzy tygodnie temu.

Popatrzył na mnie uważnie. Chyba nic z tego nie rozumiał.

– Ty chyba też masz jakieś swoje wczoraj – stwierdził w końcu. – Ale mnie przecież w nim nie było.

– Owszem, byłeś. Zobaczyłam cię kiedyś w kawiarni. To było jakoś przed samymi świętami, w grudniu. Spotkałeś się z taką dziewczyną w futerku...

– Pamiętam. Wynajmowałam od niej mieszkanie. Przyszła mi wymówić.

– Wymówić? Dlaczego? Nie płaciłeś jej?

– Płaciłem... Nie... No dobra. Wyrzuciła mnie, bo... bo... Wiesz, jak to jest. Byłem z nią, a teraz nie jestem. Nie mówmy o tym, wolę o tym obrazie. Więc jak mnie tam zobaczyłaś, to co?

– Kochałeś ją? Tę dziewczynę? – nie mogłam się powstrzymać. Dymitr jednak naprawdę nie chciał powiedzieć mi nic więcej.

– Co się stało, gdy mnie tam zobaczyłaś? – powtórzył.

– Nie wiem. Zapadłeś mi w pamięć i cię namalowałam.

– Nie wierzę.

– Naprawdę. Mam twój portret.

– Nie wierzę. Zmyślasz.

– Jeśli kiedyś będzie okazja, to ci pokażę – uśmiechnęłam się kpiąco.

Spojrzał na mnie spode łba i więcej się nie odezwał.

– Zbierajmy się. Zrobiło się późno – przerwałam milczenie i sięgnęłam po pieniądze.

Kiedy podeszła kelnerka, Dymitr przytrzymał moją rękę i uregulował rachunek.

– Odprowadzę cię – powiedział.

– Niedaleko mam samochód. Chętnie odwiozę cię do domu – zaproponowałam.

– Nie trzeba. Dziękuję – burknął. Wydał mi się jakby obrażony.

– Dla mnie to żaden kłopot, naprawdę. Daleko mieszkasz?

– Nie chcę, żebyś mnie odwoziła – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Nie to nie – mruknęłam nadąsana i ruszyłam, nie oglądając się na niego.

Obcasy zapadały mi się w świeżej warstwie śniegu.

– Jagoda! – zawołał. – Chcę cię jeszcze spotkać! Jagoda!

Zatrzymałam się obok wystawy regionalnych pamiątek. Czekałam, aż podejdzie, zapatrzona w rzeźbione świątki, których nigdy nie lubiłam.

– Chcę cię zobaczyć. Teraz – powiedział cicho, stając za moimi plecami. Jego głos odbił się od zakurzonej szyby i przylgnął do mojej twarzy, na której zaraz pojawił się blady uśmiech. Ja też chciałam go zobaczyć. Teraz.

– Pojadę z tobą, chcesz? – zapytał niemal samym oddechem, który przeszył dreszczem całe moje ciało.

– Chcę – odpowiedziałam brudnej szybie, wszystkim świątkom i wreszcie

jemu, pochylonemu nad moją głową.

– Muszę zobaczyć portret – powiedział głosem, w którym zabrzmiała jednocześnie prośba i żądanie.

– Dobrze – zgodziłam się. – Potem odwiozę cię do domu.

Dymitr nie odpowiedział ani słowem.

W przeciwieństwie do innych gości nie zachwyił się dziełem mojej matki. Owszem, obrzucił mieszkanie ciekawym spojrzeniem, ale wrażenia zachował dla siebie. Zaprosiłam go do pracowni. Tam, wśród pustych ram, zagruntowanych płócien i walających się resztek farb poczuł się pewniej. Rozsiadł się wygodnie na wskazanej przeze mnie skrzyni i zamienił się w pełne napięcia oczekiwanie.

Wydobyłam obraz spod innych płócien, po raz pierwszy. Zanim pokazałam go Dymitrowi, zdmuchnęłam widoczną już warstwę kurzu i obejrzałam krytycznie, wyciągnąwszy na odległość wyprostowanych ramion. W konfrontacji z oryginałem tylko wprawne oko mogło dostrzec podobieństwo. Dla laika obydwie wizerunki miały z sobą niewiele wspólnego. Dlatego reakcja Dymitra mnie nie zaskoczyła.

– Ciekawy obraz – stwierdził, mrużąc z udanym znanstwem oczy. – A teraz pokaż mi portret.

– To jest właśnie ten portret – obruszyłam się. – Nie widzisz?

Roześmiał się.

– Tak, jak myślałem. Zmyśliłaś całą tę historię.

– Masz prawo tak myśleć. Nie mam zamiaru się z tobą spierać – powiedziałam z lekką irytacją. – Myślę jednak, że zrozumiesz ten obraz, jeśli tylko dasz mu szansę.

– Szansę? Na co? – zdziwił się. A w jego głosie zabrzmiała lekka nutka ironii.

– Daj mu czas. Pozwól mu przemówić.

– Nic nie rozumiem z tego, co mówisz. Ale ja nie jestem artystą.

– Mylisz się. Jesteś artystą. Tylko nie potrafisz go z siebie wydobyć.

– Widocznie nie potrafisz. Jestem kierowcą. Może dlatego nie rozumiem twojego obrazu.

– Nie rozumiesz też swojej muzyki.

– Rozumiem ją lepiej niż ty. Przecież śpiewam w swoim języku – widocznie poczuł się urażony.

– Nie, Dymitr. Ty rozumiesz słowa piosenek, które śpiewasz. Ale to, co jest zawarte w muzyce, skrywasz głęboko w duszy, nawet przed sobą samym. Nie dotykasz tego, tak jak nie dotyka się rany, żeby jej nie urazić.

– Jagoda, jestem kierowcą. Śpiewam, bo lubię i tyle.

– Powiedziałeś, że opowiesz mi o swoim śpiewaniu, gdy będzie okazja.

– A jest? – zapytał i spojrzał na ścienny zegar. Było osiem minut po północy.

– Jest sobota. Nie musisz iść do pracy, prawda?



– Nie muszę.  
– Opowiedz.  
– Sam nie wiem. Pokaż jeszcze raz ten obraz, dobrze?  
– Nie. Za wcześnie. Nic ci nie powie. Wiesz co? Zaparzę dobrej kawy, chcesz?

Zawahał się, zerknął ponownie na zegar, potem lekko się uśmiechnął. Rzeczywiście pora na kawę była dość niezwykła. – Chcę – powiedział wreszcie.

Przeszliśmy do salonu. Wskazałam mu sofę, a sama zniknęłam za kuchennym barkiem. Obserwował moje ruchy, kiedy wyjmowałam z szafki filiżanki, nastawiałam ekspres. Na półce dostrzegł płyty. Przejrzał je, wybrał jedną i rozejrzał się za odtwarzaczem.

– Obok regału – podpowiedziałam, wysypując ciasteczka na talerzyk. Po chwili popłynęły słodkie nuty saksofonu. Ustawiłam tacę na stole i zapaliłam lampę, która rzucała nastrojowe światło. Zrobiło się naprawdę przyjemnie. Usiadłam w fotelu naprzeciwko Dymitra i wbiłam w niego wyczekujące spojrzenie.

– Mongolia to dziwny kraj – zaczął i zawiesił głos, jakby nie był pewien, czy tego właśnie oczekuję. Skinęłam głową z aprobatą. – Chociaż większość ludzi ucieka do miasta, głównie do stolicy, mieszkają tam jeszcze koczownicy zajmujący się wypasaniem dużych stad zwierząt. Może trudno ci uwierzyć, ale ja pochodzę właśnie z rodziny wiernej dawnym tradycjom. Kiedy byłem mały i nawet potem, gdy już dorastałem, obce mi były współczesne wynalazki, takie jak radio czy telewizor. Mieszkałem w jurcie... Wiesz, co to jest jurta?

– Namiot? – zapytałam niepewnie.

– Właściwie tak – uśmiechnął się z pewną wyższością – ale znacznie solidniej zbudowany. W końcu mieszka się w niej nie tylko latem. Ale nie o tym miałem opowiadać.

– Dlaczego? To bardzo ciekawe.

– Wiem, ale chciałaś posłuchać o muzyce. Na inne rzeczy, mam nadzieję, przyjdzie czas.

Skinęłam głową i poprawiłam się w fotelu.

– Kiedy nie ma innych rozrywek, ludzie organizują je sobie sami. Moja rodzina jest bardzo muzykalna. Zwłaszcza jej męska część. Kiedy wyganialiśmy stada, zawsze zabieraliśmy ze sobą instrumenty. Mój ojciec grał na głowie konia. To takie drewniane pudło z dwiema strunami. Odziedziczył ten instrument po dziadku i nigdy się z nim nie rozstawał.

– Dlaczego nazwałś go głową konia? – zdziwiłam się.

– Bo ma główkę w tym kształcie. To instrument smyczkowy. Gra się jak na skrzypcach. Jeden z braci grał na okarynie, drugi na cuur, takim flecie z trzema otworami. A trzeci na gitarze, którą mi oddał, kiedy się ożenił.

– Dlaczego? Żona nie lubiła, gdy grał?

– Nie wiem, może nie lubiła. Tę gitarę mam do dzisiaj. Wszyscy graliśmy i śpiewaliśmy. Dzięki temu czas płynął nam szybciej. Tutaj gram też na gitarze elektrycznej, ale rzadko.

– Teraz już wiem, co jest w twojej muzyce.

– Co?

– Przestrzeń, wolność i zapach stepowego wiatru.

– Jesteś bardzo romantyczna.

– Jeśli wsłuchasz się w siebie, też to usłyszysz.

– Może... Nie wiem. Może wtedy przemówi do mnie twój obraz? – Dymitr przechylił się przez niski stół i wziął mnie za rękę. – Chciałabyś?

Miał ciepły, aksamitny głos. Przenikliwe spojrzenie ciemnych, skośnych oczu, czarne, sięgające ramion włosy, śniada cera z ledwie zauważalnym cieniem zarostu, szerokie, mocne ramiona, ukryte pod sportową bluzą – wszystko to przyprawiło mnie o rozkoszny dreszcz. Dymitr czy Ochir – to nie miało znaczenia. Ważne, że był diabelsko przystojnym facetem. Zapragnęłam, żeby był mój.

– Kiedy słucham twoich opowieści, wydaje mi się, że jednak jesteś bardziej Ochirem niż Dymitrem.

– Nie. Teraz jestem Dymitrem – cofnął rękę. – Miło tu u ciebie, ale czas na mnie – dodał, wstając z miejsca.

Wyglądał na urażonego. Może dlatego, że nie odpowiedziałam na jego pytanie?

– Odwiozę cię – poderwałam się z fotela.

– Nie chcę – zaprotestował, sięgając po kurtkę. – Mówiłem ci już.

– Ale dlaczego?

– Kiedyś przestaniesz się dziwić – odrzekł tajemniczo i otworzył drzwi.

Powiało chłodem.

– Gość w dom, Bóg w dom – przywitał mnie dziadek i odebrał siatkę z zakupami. Był w doskonałym nastroju. – Śniłaś mi się dzisiaj i pomyślałem, że może przyjedziesz.

– Kiedy dziadek wrócił? – zapytałam, patrząc z przykrością na jego zapadnięte policzki. Widać nie służył mu pobyt u bratanka.

– Przedwczoraj Zygmunt mnie odwiózł.

– Dobrze było w Warszawie?

Nie odpowiedział, tylko zabrał się za przygotowanie herbaty.

– Jadł coś dziadek dzisiaj? – zmieniłam temat, widząc, że nie jest skory do zwierzeń.

– A jakże! Placków nasmażyliśmy. Może chcesz?

– Nasmażyliśmy? – zdziwiłam się i zajrzałam do salonu. Na kanapie siedziała siwowłosa starsza dama i nadstawiała ucha.

– Poznaj, Grażynko, to Jagoda, moja wnusia – przedstawił mnie dziadek, przestępując z nogi na nogę. Przy „wnusi” nawet się nie zająknął.

Podeszłam do pani Grażynki, która wyciągnęła do mnie rękę.

– Znam, znam z opowiadań. Wiesio nie może się nachwalić.

– Bo to takie dobre dziecko – roztkliwił się, aż mu oczy zwilgotniały.

– Bardzo mi miło – powiedziałam, ściskając drobną dłoń pani Grażynki.

– Mieszkam kilka domów dalej – wyjaśniła.

– Tyle kobiet na stare lata mam. A co jedna, to ładniejsza – roześmiał się dziadek, zacierając ręce, i podreptał dziarsko do kuchni po herbatę.

– Dobrze, że już wrócił – mruknęła starsza pani i pokręciła z dezaprobatą głową. Widocznie wiedziała więcej niż ja.

Przechodząc obok biurka, dostrzegłam na nim medalion z zerwanym łańcuszkiem. W srebrnej, ażurowej obwódce umieszczona była lekko pożółkła fotografia żołnierza, zabezpieczona szkiełkiem. Podniosłam medalion. Na odwrocie był napis: *Dla najdroższej mojej Lusi*. Dziadek dostrzegł moje zainteresowanie i zmieszał się. Wyciągnął rękę, jakby chciał mi odebrać medalion.

– Skąd dziadek to ma? – zainteresowałam się.

– Znalazłem – rzekł po chwili namysłu.

– Piękny drobiazg – zauważyłam.

– Mogę to zobaczyć? – poprosiła pani Grażynka.

– Ależ oczywiście, proszę – podałam jej medalion. Przez chwilę oglądała go z uwagą.

– Ten żołnierz wygląda jakby służył w lotnictwie. Tam nosili takie czapki. Wiem, bo znajomej syn taką miał.

– Ktoś zgubił niezwykle cenną pamiątkę – powiedziałam. – Gdzie dziadek to

znalazł?

– Nie wiem, nie pamiętam – chrząknął.

– Mógłby dziadek mi pożyczyć? Chciałabym go namalować. Jest bardzo ciekawy.

Zauważyłam, że się zawahał.

– No dobrze – zgodził się w końcu. – Tylko go nie zgub.

– Nie zgubię – zapewniłam i schowałam medalion do torebki.

Dziadek z uwagą obserwował moje ruchy. Zapięłam torebkę i odstawiłam ją na krzesło. – Coś wam pokażę – powiedział nagle i wyszedł do drugiego pokoju. Wrócił szybko, niosąc zardzewiałe, blaszane pudełeczko. Ze środka wyjął zniszczony strzęp fotografii.

– To moja matka – podał mi skrawek zdjęcia, na którym trudno było cokolwiek zobaczyć. – Tyle mi zostało. Gdybym je zgubił, byłaby to moja największa strata. Trzymałem je w tym pudełku po paście do butów. Cały obóz ze mną przetrwała, mimo że wszystko nam zabierali. Fotografia to czasem największy skarb – powiedział z przejęciem i spojrzał na mnie znacząco.

– Nie zgubię – powtórzyłam. Wiedziałam, że ciągle myśli o medalionie.

– Ja urodziłam się w czasie wojny, w czterdziestym trzecim roku. Nigdy nie poznałam mojej matki, bo mnie zostawiła. Najpierw zajmowała się mną babka, potem trafiłam do sierocińca. Nie ma o czym mówić – machnęła ręką pani Grażyna.

Zaczęli mówić o wojnie, a ja myślałam o nowym obrazie. Dopiłam herbatę i zostawiłam ich z tymi wspomnieniami. Kiedy wychodziłam, pani Grażyna wyszła do przedpokoju, by mnie pożegnać.

– Nie musi pani tak często przychodzić – powiedziała. – To znaczy, nie musi się pani o niego martwić, będę mu codziennie przynosiła zupę. Tak umówiłam się z Zygmuntem, jego bratankiem.

– To miło z pani strony. Dziękuję.

– Niech pani nie dziękuje, zapłacił mi.

– Rozumiem. Będę jednak przychodziła towarzysko.

– Jak pani chce, ale na spacer mogę go zawsze wyprowadzić, albo posiedzieć tu i porozmawiać. Wy, młodzi macie co robić, a ja i tak się nudzę w domu.

– Dobrze... – Chyba nie przypadłam pani Grażynie do gustu, skoro tak mnie zniechęcała do wizyt u dziadka.

Medalion zainspirował mnie. Oczami wyobraźni widziałam go już na płótnie. Może będzie to but miażdżący delikatne szkiełko, a może sam portret w sepii, a obok porzucony zerwany łańcuszek? Wszystko w szarych światłocieniach, muśniętych odrobiną ochry... Podczas jazdy myślałam tylko o szkicach, nad którymi zamierzałam dziś pracować. Gdy dojechałam do domu, ku mojemu zaskoczeniu przed bramą kamienicy ujrzałam Agatę.

– Dobrze, że jesteś – przywitała mnie radośnie. – Już chciałam sobie pójść.  
– Na szczęście zdążyłam – powiedziałam i uściskałam ją serdecznie. –  
Chodź, opowiesz, jak było.

– A dasz herbaty z wiśniami? Głowa mnie trochę boli, a twoja herbata dobra na wszystko.

– Pewnie, że dam! – zawołałam i popchnęłam ją w kierunku drzwi.

Agata rozsiadła się na sofie i swoim zwyczajem podwinęła nogi.

– W Norymberdze bez przerwy lało. Nie lubię zimy, ale tam naprawdę zatęskniłam za naszymi białymi krajobrazami. Cały czas brodziłam w błocie. Na szczęście w odpowiednim towarzystwie. – Zawiesiła głos i spojrzała na mnie tajemniczo.

– Tak? Jakim? – zainteresowałam się i natychmiast zrobiło mi się żal Robaka.

– Męskim – ucięła krótko, rzuciła na mnie szybkie spojrzenie spod rzęs i skupiła się na mieszaniu herbaty.

– Niech zgadnę. Poznałeś tego fotografa! – zawołałam i popatrzyłam na nią z podziwem. Agata zawsze potrafiła dotrzeć do ciekawych ludzi.

– Coś ty! On był niedostępny. Opowiem ci, jak to było – postukała łyżeczką o brzeg kubka i poprawiła się na sofie. – Dzień po przyjeździe do mojego pokoju zapukał chłopak hotelowy i wręczył mi bukiet kwiatów. Róż. Nie były wprawdzie pąsowe, tylko herbaciane. Ale pachniały bosko. Zdziwiłam się i powiedziałam mu, żeby je zabrał, bo to na pewno pomyłka. Wtedy pokazał na bilecik ukryty w bukiecie i upierał się, że to do mnie. Na bileciku zaproszenie na kolację w restauracji na dole.

– Co za romantyk! – zawołałam i aż klasnęłam w ręce.

– Żebyś wiedziała. Tylko, że ja wciąż nie miałam pojęcia, kto to taki. Bardzo mnie to intrygowało. Wieczorem wbiłam się w najlepszą kieckę, przypudrowałam nos i poszłam. Przy wejściu podałam kelnerowi nazwisko, a ten zaprowadził mnie do stolika. Nikt przy nim nie siedział, ale był nakryty dla dwóch osób. Po chwili przyszedł kelner z szampanem, a zaraz za nim pojawił się on – Agata znowu tajemniczo zawiesiła głos.

– Kto? – zapytałam i wstrzymałam oddech.

– Robak – oświadczyła takim tonem, jakby to, że pojechał aż do Norymbergi, żeby zjeść z nią kolację, było sprawą oczywistą.

– Robak! – zawołałam i natychmiast pozazdrościłam jej tego faceta. Co za fantazja! – I co?

– Nic. Było upojnie. Po raz drugi przyjął oświadczyzny.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę! – zawołałam szczerze.

– Wiedziałaś, że się ucieszysz. A co u ciebie? Pokażesz mi tego Dymitra?

– Skąd wiesz o Dymitrze? – zdumiałam się.

– Mówiłaś przecież, że skończyłaś. Pokaż!

– Ach, tego Dymitra! – zawołałam i udałam się do pracowni po obraz. Agata obejrzała moje dzieło i je pochwaliła.

– A ten drugi? – zapytała.

– Jaki drugi? Namalowałam tylko jeden obraz.

– Nie pytam o obraz, tylko o drugiego Dymitra.

– Skąd, do licha, wiesz?

– Moja kochana, ciebie wystarczy uważnie słuchać. Jeśli wołasz „Ach, tego Dymitra!”, z podkreśleniem słowa „tego”, to znaczy, że w zanadrzu kryjesz co najmniej jeszcze jednego. No, mów.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. Dla mnie samej to facet-zagadka. Spotkałam go pod Sukiennicami. Grał na gitarze. I śpiewał bosko. Jezu, jaki on ma głos!

– Jagoda, to nie żaden Dymitr, tylko Ochir. Z Mongolii. Znam go.

– Jest ktoś, kogo ty nie znasz?

– Fotografa z Norymbergi nie znam. – Agata zamilkła i popatrzyła na mnie z zastanowieniem. – Jagoda, pokaż mi jeszcze raz ten obraz – poprosiła.

Więc dopatrzyła się podobieństwa! – ucieszyłam się w duchu i wyciągnęłam natychmiast z kąta portret Dymitra, by po raz drugi go zademonstrować. Przyjrzała mu się w skupieniu, potem wstała, odeszła kilka kroków i przekrzywiła głowę. W napięciu czekałam na jej opinię.

– Wiesz co? – powiedziała wreszcie – wydaje mi się, że dałaś zbyt wiele pompejańskiego różu w tym płomieniu. – Zbliżyła się do obrazu i postukała końcem łyżeczki w jeden z języków ognia wydobywających się ze zgliszczy.

– A niech cię! – syknęłam jadowicie. – Odczep się! Znaczniki się znalazła.

Agata podeszła do mnie i, śmiejąc się z własnego dowcipu, pocałowała mnie w policzek.

– Mistrzostwo – powiedziała, poważniejąc. – To Ochir w całej okazałości. Jakby skórę zdarł.

O tak. Agata знаła się na rzeczy...

– Chciałabyś posłuchać Corby? – zapytała znienacka, gdy obraz wrócił na swoje miejsce.

– Corby? – powtórzyłam niepewnie, nie bardzo kojarząc, o czym mówi.

– To ta kapela, na którą nie zdążyłaś, bo musiałaś lecieć po jajka. Pamiętasz?

– Jasne! Pewnie, że chcę!

– Będą grali w klubie. W sobotę, o dziewiętnastej. Wybieram się z Robakiem.

– Chętnie się z wami zabiorę.

– Świetnie. A teraz opowiedz mi o tym drugim Dymitrze – zaproponowała i dołała sobie herbaty z dzbanka.

– Przygotuj się na dziwną opowieść – zaczęłam, chociaż nie bardzo wiedziałam, od czego mam zacząć.

– Nic nowego, jeśli chodzi o ciebie – wzruszyła lekko ramionami.

– Najpierw zobaczyłam go w kawiarni. Miał w oczach coś takiego, że nie mogłam oderwać od niego wzroku. To było niesamowite. Gdy wróciłam do domu, nie zaznałam spokoju, dopóki go nie narysowałam. Potem zadzwonił do mnie ten gość od konkursu, Juliusz. Przerobiłam więc Dymitra...

– Skąd to imię? – zdziwiła się Agata.

– Sama nie wiem. Pasowało mi do niego. On był taki egzotyczny.

– Nic dziwnego, to przecież Mongoł. Ale imię zupełnie nie mongolskie – skrzywiła się.

– I co z tego? Mam prawo nazwać swój obraz jak chcę – zaperzyłam się.

– Oczywiście. Nie denerwuj się, mów.

– To nie przerywaj mi co chwilę.

– Dobrze, już nie będę, mów, proszę.

– No więc przerobiłam szkic na obraz, postawiłam w kącie i być może zapomniałabym o nim aż do marca, gdybym nie natknęła się na oryginał. Spotkałam go pod Sukiennicami. Grał na gitarze i śpiewał tak cudownie, że mi dech zaparło. Gapiłam się na niego, aż się przestraszył.

– No, ja myślę... – wtrąciła Agata.

– Złapał gitarę i uciekł. Tyle że zostawił czapkę, do której zbierał pieniądze. Wzięłam ją i pobiegłam za nim. Przyszliśmy tutaj.

– Tutaj? Dał się zwabić?

– Tak. Siedzieliśmy pół nocy i gadaliśmy. A potem sobie poszedł i więcej go nie spotkałam.

– Jagoda, nie przyśniło ci się to czasem? – pokręciła głową Agata.

– Sama nie wiem. Może to był tylko sen – przyznałam. – Nie widziałam go od tamtej pory, chociaż specjalnie spacerowałam po Rynku. Nie gra już pod Sukiennicami.

– Spłoszyłaś go chyba – roześmiała się. – Mogłaś przecież wziąć od niego numer telefonu.

– Nie pomyślałam o tym, a on nie zaproponował.

– Marzycielka. Teraz szukaj wiatru w polu... Chociaż właściwie, po co miałabyś go szukać? Zależy ci?

– Tak – przyznałam bardziej przed sobą niż Agatą. – Zależy mi – dodałam w lekkim zdumieniu tym faktem. Tęskniłam za Dymitrem. Miał w sobie coś nieokreślonego, co przyciągało jak magnes.

– Zawsze miałaś upodobanie do dziwaków – stwierdziła z przekąsem Agata.

– A takie dobre partie odrzuciłaś lekką ręką.

– Przestań.

– No cóż. Za gapowe się płaci. Może wyjechał do Mongolii, a ty nawet o tym nie wiesz. Nie martw się, poszukasz sobie innego Kirgiza albo Ormianina.

– Agata!

– Przepraszam, to był tylko żart, nie chciałam cię urazić.

– Nie uraziłaś. Chciałabym tylko, żebyś spróbowała mnie zrozumieć. Dymitr ma coś w sobie, co nie pozwala o nim zapomnieć.

– Może się po prostu zakochałaś.

– Nie. Raczej obudziłam w sobie chęć pomocy, takiego matkowania, rozumiesz?

– Nie ma nic gorszego – mruknęła pod nosem.

– Skoro tak mówisz, to znaczy, że nie rozumiesz – nadąsałam się.

Rozstałyśmy się w kwaśnych nastrojach. Nie lubiłam tego. Agata stanowiła dla mnie zawsze oparcie, była jak ściana, niezawodna. Teraz moja równowaga się zachwiała. Na szczęście, do soboty zapomnialiśmy o tej rozmowie. Agata zadzwoniła przed osiemnastą.

– Gotowa? Czekamy na dole.

Klub znajdował się w piwnicy jednej ze starych kamienic. Wchodziło się od podwórka i gdyby nie tablica ustawiona na wąskim chodniku, trudno byłoby tam trafić. Po przekroczeniu progu należało schylić głowę, żeby uniknąć bliższego kontaktu ze stropem. Schodziło się po stromych, kamiennych schodkach, na szczęście, wyposażonych w poręcz, której trzymałam się kurczowo. Pomieszczenie było spore. Miało półkolistą sklepienie, ułożone z cegieł. Ściany również były ceglane. We wgłębieniach sprawiających wrażenie zamurowanych okien ustawiono świece, co nadawało temu miejscu mistyczny klimat. Niewysoki podest oddzielał scenę od reszty pomieszczenia. Nie było tu ław ani krzeseł, jeśli ktoś chciał usiąść, mógł to zrobić jedynie na drewnianej podłodze. W niewielkiej wnęce po prawej stronie jakiś kudłaty brodacz sprzedawał piwo. Chyba nie było to do końca legalne, bo co pewien czas oglądał się płochliwie na drzwi. Dwaj mężczyźni ustawiali instrumenty. W klubie panował gwar i wyczuwało się niecierpliwe oczekiwanie. Robak przepchnął się niemal do samej sceny, torując nam drogę. Rozejrzałam się po sali. Przeważającą część publiczności stanowili młodzi ludzie, chociaż osób w średnim wieku też nie brakowało. Nagle rozległy się oklaski i do środka weszli członkowie kapeli. Było ich trzech i jedna dziewczyna. Ustawili się na scenie i poprawili mikrofony. Prawie cała publiczność zamarła w niemym oczekiwaniu. Dźwięki perkusji zagłuszyły ostatnie szmery. Potem jęknęła gitara basowa, aż wreszcie zabrzmiał czysty, matowy głos solistki. Saksofon dopełniał wibrującą feerię dźwięków. Słuchałam oszołomiona. Podczas przerwy rozległa się wrzawa. Robak powiedział coś Agacie na ucho i zaczął przedzierać się w kierunku sprzedawcy piwa. Agata odprowadzała go wzrokiem, gdy nagle ugodziła mnie łokciem w bok. Syknęłam z bólu.



– Jagoda, to nie twój Dymitr tam stoi? – zapytała, a ja poczułam, jak krew uderza mi do głowy.

– Gdzie?! – zawołałam, podążając za jej spojrzeniem.

– Tam, koło gościa z piwem. Widzisz?

Stał pod ścianą, z jedną ręką w kieszeni. W drugiej trzymał otwartą butelkę i pociągał z niej z lubością. Nieopodal, jego nieodłączna gitara opierała się o ceglany murek.

– Dymitr – szepnęłam bezgłośnie.

– No to masz swojego bohatera. Przyrowadzę go, chcesz?

– Nie, nie! – krzyknęłam, przytrzymując ją za łokieć. – Nie trzeba.

Agata powstała jeszcze chwilę, po czym ruszyła w kierunku estrady. Obserwowałam ją z niepokojem. Nigdy nie wiedziałam, co mojej przyjaciółce strzeli do głowy. Perkusista, którego zaczepiła, w pierwszej chwili zrobił gest, jakby oganiał się od natrętnej muchy, ale w końcu zaczął uważnie jej słuchać. Opowiadała o czymś, żywo gestykułując. W pewnej chwili wskazała na Dymitra. Perkusista obejrzał się i pokiwał głową. Wróciła w tym samym momencie, kiedy Robak przepchnął się z butelkami. Ale nie było już czasu na rozmowę. Zgasło światło, skończyła się przerwa i zabrzmiały pierwsze dźwięki saksofonu.

Tym razem nie potrafiłam skupić się na muzyce. W półmroku tańczących płomyków świec wypatrywałam Dymitra. Stał wciąż w tym samym miejscu, wpatrzony w scenę. Może marzył o tym, żeby samemu stanąć na prawdziwej estradzie, a może po prostu był zasłuchany?

Druga część koncertu była dłuższa. Na koniec muzycy zostali sownie nagrodzeni brawami, długo kłaniali się publiczności. Wokalistka z wypiekami na twarzy przyjmowała gratulacje, ktoś nawet wręczył jej bukiet kwiatów. Część ludzi zaczęła się rozchodzić, część pozostała, gwarząc wesoło przy butelce piwa.

– Trzymaj go, Jagoda, bo nam pryśnie! – zawołała Agata i ruszyła w kierunku zbierających się muzyków. Zrozumiałam, że mam zatrzymać Dymitra. Podążyłam czym prędzej w jego stronę i, przelękając nerwowo ślinę, układałam sobie w głowie, co mam mu powiedzieć. Dymitr podnosił właśnie gitarę, gdy klepnęłam go w ramię. Byłam z siebie dumna. Zachowałam się swobodnie jak Agata. Dymitrowi jednak nie spodobała się chyba ta forma powitania. Podskoczył jak oparzony i spojrzał na mnie z pretensją.

– Cześć! – zawołałam. – Gdzie podziewałeś się tyle czasu?

– Jagoda? To ty? No wiesz... Już myślałem, że jakiś pijak mnie zaczepia.

– Przepraszam – powiedziałam ze skruchą. – Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Ja też się cieszę. Myślałem, że...

– Że co? – przerwałam mu niecierpliwie.

– Sam nie wiem. Ale wydawało mi się, że... Za wysokie progi na moje nogi.

Nie chciałem ci się narzucać.

– Głupi jesteś – wyrwało mi się. Zobaczyłam, że Agata macha do mnie ze sceny, więc szybko dodałam: – Chodź, moja przyjaciółka na nas czeka.

Pociągnęłam go za sobą, choć się trochę opierał. Na pewno był zdziwiony i zastanawiał się, czego od niego chcemy. Na scenie stał cały zespół i przyglądał się nam z zaciekawieniem. Robak stał trochę dalej. Miałam wrażenie, że spoglądając na Agatę, kręcił z dezaprobatą głową. – To jest właśnie ten głos – zarekomendowała Agata. – Posłuchajcie tylko.

– Nic nie rozumiem – bąknął Dymitr. Obejrzał się na mnie. Widać było, że jest speszony.

– Bo tak nie można – wzięła go w obronę wokalistka. – Chłopak nie wie, o co chodzi. A ty jesteś jakaś narwana – zwróciła się do Agaty.

– No tak... Może po kolei – mruknął perkusista. – Bartek jestem. To jest gitarzysta Remus, czyli Roman, w saksofon dmie Kajtek, oficjalnie Kajetan, a to nasza gwiazda, Karioka, czyli Karolina. A ty na czym grasz? – zwrócił się do Dymitra.

– Ja? Na gitarze. Akustycznej. Na elektrycznej czasami też – odparł Dymitr i uśmiechnął się niepewnie.

– Co tam gra – obruszyła się Agata. – Posłuchajcie tylko, jak on śpiewa!

– Zaśpiewasz coś? – zaproponował Bartek i wyciągnął do niego przyjaźnie rękę.

– Ochir – mruknął Dymitr i znów obejrzał się na mnie. – Czyli Dymitr – roześmiał się, a ja odniosłam wrażenie, że tym śmiechem chciał zatuszować zakłopotanie. – Zaśpiewam – powiedział.

– Ale my nie potrzebujemy solisty – wyrwała się Karioka i natychmiast umilkła pod karcącym spojrzeniem Bartka.

– Posłuchamy, prawda? – zapytał Bartek pozostałych członków grupy i skinieniem głowy wskazał Dymitrowi miejsce przy mikrofonie.

Zauważyłam, że niektórzy z opuszczających właśnie klub cofnęli się od drzwi i przystanęli z zaciekawieniem. Dymitr poprawił mikrofon, trącił struny gitary i, co nie uszło mojej uwadze, puścił oko do Karioki. Nie polubiłam jej za to, że nie chciała dopuścić do występu Dymitra, ale mrugnięcie Dymitra zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Byłam o niego zazdrosna, co stwierdziłam z niejakim zdziwieniem. Łypnęłam na nią okiem, po czym pomachałam do Dymitra, żeby dodać mu otuchy, a Karioce pokazać, że nie powinna liczyć na jego względy.

Zaśpiewał. Ci, którzy jeszcze przed chwilą rozmawiali, zamilkli. Karioka poczerwieniała, a Bartek zacisnął obie dłonie na oparciu krzesła, przy którym stał, aż mu zbiełały kostki. Kajtek i Remus kiwali rytmicznie głowami i zerkali na Bartka z satysfakcją. Dymitr tymczasem przymknął oczy i swoim zwyczajem odpłynął w krainę pachnących wiatrem mongolskich stepów. Śpiewał w swoim języku i nikt nie rozumiał słów, ale głos, który z siebie wydawał, zniewalał. Skala

jego głosu była imponująca. Kiedy skończył, nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyliśmy na Bartka, który tu decydował.

– Nie – powiedział mocno Bartek, wywołując wyraz zdumienia na twarzach słuchaczy. – Nie – powtórzył i podszedł do Dymitra. – Tak nie może śpiewać ziemską istotą. Przyznaj, spadłeś nam z nieba, prawda? – powiedział i wziął Dymitra w ramiona. – Człowieku, jesteś nasz.

Karioka spąsowiała.

– Bartek, ale przecież... – zaczęła, rzucając złowrogie spojrzenie w kierunku Dymitra.

– Spokojnie – przerwał jej Bartek – dla ciebie też wystarczy miejsca przy mikrofonie. Skąd go wytrzasnęłaś? – zwrócił się do Agaty.

– Ja? – zdumiała się. – To jej facet – wskazała na mnie i uśmiechnęła się szelmowsko.

Dymitr spojrział na nią, a potem podszedł do mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko na mnie popatrzył, wciągając mocno powietrze.

Pierwsze marcowe piegi na nosach dziewcząt pojawiły się w tym samym momencie co świergot ożywionych wróbli wśród gałązek akacji, rosnącej w studni mojego podwórka. Nieśmiało skulone pączki puchły od świeżego powiewu wiosennego wiatru i wybuchały radosną zielenią drobnych listków. Zbliżający się finał konkursu malarskiego spędzał mi sen z powiek i nie raz wyciągałam z kąta obraz, by sprawdzić, czy na pewno nie potrzebuje korekty. Tego popołudnia musiałam się w końcu z nim rozstać, powierzyć pracę konkursową Juliuszowi. Miałam dużą treść. Rodzice wspierali mnie telefonicznie z odległej Ameryki, a Agata zapewniała, że wszystko jest jak trzeba. Juliusz zjawił się, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a mieszkanie nabrało barwy nasyconego oranżu. Odkąd pamiętam, zawsze byłam wrażliwa na otaczające mnie barwy. Zapatrzona w migotliwe smugi na ścianach pracowni, siedziałam na drewnianej skrzyni i wsłuchiwałam się w kroki dobiegające z klatki schodowej. Czułam się jak matka oddająca córkę w ręce właścicielki pensji. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na obraz i pobiegłam otworzyć drzwi. Juliusz trzymał za rączkę Amelię, która oświadczyła już od progu:

– Będę siedziała cicho – po czym spojrzała w oczy ojca, szukając w nich aprobaty.

Juliusz uśmiechnął się z zakłopotaniem i rozłożył bezradnie ręce.

– Żona w delegacji? – zapytałam ze zrozumieniem. Pokiwał tylko głową.

– Wejdźcie – powiedziałam, zerkając na małą. Trochę się jej bałam.

– A wpuścisz tatę do łazienki, jak już wypije herbatę? Bo ostatnio...

– Amelia! – syknął przez zęby Juliusz i spojrzał na mnie spłoszony.

Amelia zakryła usta dłonią i pokręciła głową, na znak, że nie będzie o nic więcej pytać.

– Ile ona ma lat? – zapytałam na stronie Juliusza, co jednak nie umknęło uszom małej.

– Pięć – ubiegła z odpowiedzią ojca.

– Myślałam, że masz cztery – zwróciłam się do niej z uśmiechem.

– Wszystko w rozum poszło – westchnął Juliusz i przewrócił oczami.

W gruncie rzeczy był bardzo dumny z córki.

Gdy już usiedli i poczęstowałam ich herbatą, przyniosłam obraz i kilka arkuszy szarego papieru do zapakowania *Dymitra*. Juliusz przyjrzał się mu z uwagą.

– Ciekawe to zestawienie mongolskiego mężczyzny ze zgliszczami. To Czyngis-chan?

– Nie... Niezupełnie, ale istotnie Mongoł – wyjaśniłam, ciesząc się, że rysy *Dymitra* zostały wyraźnie uchwycone.

– Dołącz parę słów, które chciałabyś przekazać. Może jakiś cytat – zauważył Juliusz.

Przymknęłam oczy.

– „Rewolucja, wojny, kataklizmy – cóż znaczy ta pianka w porównaniu z fundamentalną grozą istnienia” – zacytowałam.

– Kto to? – zapytał Juliusz i zmarszczył brwi, udając, że usiłuje sobie przypomnieć autora tych słów.

– Gombrowicz – odpowiedziałam.

– Ach, oczywiście, Gombrowicz! – wykrzyknął i klepnął się w kolano, udając, że właśnie sobie przypomniał.

– A czy Gombrowicz miał dzieci? – zapytała zniecierpliwiona Amelia, wywołując na mojej twarzy konsternację.

– Chyba nie – bąknęłam, ale wcale nie byłam tego pewna. – Czekaj – powiedziałam i bez wahania złapałam za telefon. Wybrałam numer Agaty.

– Halo – usłyszałam jej głos.

– Czy Gombrowicz miał dzieci? – rzuciłam w słuchawkę, nie spuszczając wzroku z Amelii.

– Wariatka – odparła Agata i się rozłączyła. Amelia trwała w niemym oczekiwaniu.

Zanim zdążyłam jej cokolwiek wyjaśnić, zadzwonił telefon.

– Gombrowicz i dzieci?! – zawołała Agata. – Taki gbur? Nie mam czasu, cześć!

– Nie miał – odpowiedziałam spokojnie Amelii i odłożyłam telefon.

Obraz znalazł się w rękach Juliusza, a ja, odczuwając zarazem niepokój i nadzieję co do wyników konkursu, odprowadziłam gości do przedpokoju.

– Wystawa w piątek – przypomniał Juliusz, podnosząc wskazujący palec do góry.

– Powodzenia, Dymitr – szepnęłam i zamknęłam za nimi drzwi.

Piątek jak na złość okazał się zimny i deszczowy. Rozstrzygnięcie konkursu zaplanowano na szesnastą i już wiedziałam, że do tego czasu nie zaznam spokoju. Próbowałam się czymś zająć, ale wszystko leciało mi z rąk. Z torebki wyjęłam małą kartkę, gdzie widniał numer telefonu napisany ręką Dymitra, ale się wahałam. On też miał mój numer, a jednak nie zadzwonił. Może wcale nie zależy mu na kontakcie ze mną? Wpisałam numer w telefon, a kartkę schowałam do portfela. Potem włożyłam kurtkę i wyszłam z domu bez pośpiechu. Dymitr czekał na mnie na dole. Stał pod czarnym, wielkim parasolem i niewiele brakowało, bym go w ogóle nie zauważyła.

– Dymitr! – zawołałam zaskoczona.

– Dziś jest ta wystawa, tak? – zapytał ostrożnie, jakby nie był pewien, czy powinien tam pójść.

- Tak. Ależ się cieszę, że jesteś! Dlaczego nie wszedłeś na górę?
- Dopiero przyszedłem – bąknął i uciekł wzrokiem w bok.
- Dobrze, że jeszcze mnie zastałeś – zauważyłam.

Sala wystawowa była przestronna i jasna. Okrycia zostawiliśmy w szatni. Obrzuciłam wzrokiem Dymitra.

Mógł ubrać się bardziej elegancko – westchnęłam w duchu.

Przy wejściu, na długim stole ustawiono kieliszki z szampanem. Tam też czekała na nas Agata.

Obrazów było ponad sześćdziesiąt. Wyeksponowane na grafitowym tle, prezentowały się znakomicie. Fala gości przelewała się z monotonnym szmerem wypowiedzianych półgłosem komentarzy. Punktualnie o szesnastej odczytano cel organizowanego konkursu, wymieniono nazwiska organizatorów, sponsorów i członków jury. Wszyscy czekali z zapartym tchem na werdykt. Serce zaczęło mi bić mocniej i czułam, jak lodowacieją mi ręce. Agata złapała mnie za łokieć i wstrzymała oddech. Dymitr zdawał się zupełnie obojętny na wszystko, co się działo. Wśród zebranych dostrzegłam Juliusza. Podniósł kciuk w górę, jakby był przekonany, że obraz wart jest nagrody. Najpierw odczytano wyróżnienia. Nie było mnie wśród nich, więc może... Trzecie miejsce zajął chłopak z Gdańska za *Gnijące owoce*. Drugie – młoda malarka z Torunia, która pokazała swoją *Martwą torturę*. Chwyciłam Dymitra za rękę i ścisnęłam ją aż do bólu. Chyba dopiero teraz zrozumiał, ile to wszystko dla mnie znaczy. Pierwszą nagrodę otrzymał dwukrotny już laureat z Poznania za *Kretowisko*, cokolwiek miał znaczyć ten tytuł. Poczułam ucisk w gardle, a łzy napłynęły mi do oczu. Jedyne, czego teraz pragnęłam, to wyjść stąd i nigdy więcej nie wrócić. Bałam się spojrzeć na Agatę czy Juliusza, żeby nie napotkać ich współczującego spojrzenia. Ale to właśnie Dymitr objął mnie ramieniem i szepnął:

– Dla mnie i tak twój obraz jest najładniejszy.

Myślałam, że ugryzę go ze złości. Przecież on wcale się na tym nie znał!

– Nagrodę specjalną – usłyszałam nagle – za głębię przekazu istnienia i wewnętrznej walki otrzymuje pani Jagoda Czajewska!

Nogi ugiwały się pode mną, gdy wśród burzy oklasków pokonywałam te kilka metrów, by odebrać z rąk przewodniczącego jury dyplom i tajemniczą kopertę.

– Wiedziałem! – krzyknął Juliusz, którego właśnie mijałam.

– Dodam jeszcze – grzmiał głos z mikrofonu – że wszystkie zgromadzone tu obrazy przeznaczone są na sprzedaż. Dochód przekażemy na promocję polskich artystów w kraju i za granicą. Jeszcze raz gratulujemy zwycięzcom.

Kiedy wróciłam na swoje miejsce, Agata wyściskała mnie serdecznie.

– Cudownie! Tak się cieszę! – wołała.

Przyjmowałam gratulacje, ale jednocześnie błdziłam wzrokiem

w poszukiwaniu Dymitra, który zniknął bez śladu.

– Gdzie podział się Dymitr? – zdołałam wreszcie zapytać Agatę.

– Nie wiem – odparła zdziwiona, jakby dopiero teraz zauważyła jego nieobecność. – Chodźmy na szampana. Na pewno tam nas znajdzie – dodała i pociągnęła mnie za rękę.

Przyszedł po kilkunastu minutach.

– To dla ciebie – powiedział, wręczając mi mój obraz.

Nie potrafiłam wyrazić słowami, co czuję, odzyskując portret. Przytuliłam mocno swój żywy oryginał i ucałowałam w obydwa policzki. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ten zakup wymagał od Dymitra prawdziwego poświęcenia.

– Zapraszam was do siebie na lampkę wina i kawałek tortu – powiedziałam spontanicznie.

– A więc przygotowałaś się na zwycięstwo – zauważyła Agata. – Ja niestety nie mogę iść. Muszę odwiedzić Robaka. Legł biedak, zwalony chorobą.

– Wobec tego życz mu zdrowia, a ja zabieram Dymitra. Ty mi nie odmówisz, prawda? – zwróciłam się do niego.

Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się uszczęśliwiony.

Na dworze zerwał się wiatr. Deszcz zacinał ze wszystkich stron i zanim dotarliśmy na parking, parasol kilkakrotnie wywracał mi się na drugą stronę.

– Piłaś szampana – mruknął Dymitr, kiedy siadałam za kierownicą.

– Tylko dwie lampki – odparłam. – Może nas nie złapią.

W mieszkaniu było ciepło, cicho i przytulnie. Pachniało jabłkami i cyprysem.

– Przyjemnie... – westchnął Dymitr, odbierając ode mnie kurtkę.

– Rozwieś na tych wieszakach, niech wyschną – poradziłam i poszłam do kuchni, by przygotować tort i wino.

– Dymitr, jeszcze raz dziękuję ci za wykupienie obrazu. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne – powiedziałam z wdzięcznością, kiedy siedzieliśmy już przy stole.

– Wiem, dlatego kupiłem. Nie mówmy już o tym – burknął.

– Dobrze. Opowiedz wobec tego o Corbie. Spotkałeś się z nimi po tamtym koncercie?

– Tak. Mam napisać kilka piosenek po polsku.

– Ty piszesz piosenki? – zdumiałam się.

– Śpiewam to, co piszę – odparł zwyczajnie, jakby pisanie piosenek było czymś codziennym.

– A muzyka?

– Też moja – powiedział i wzruszył nieznacznie ramionami.

– Te piosenki są piękne. Gdzieś ty się uchowal do tej pory?

– Pod Sukiennicami – odparł i roześmiał się. – Tam mnie znalazłaś.

– I z tego się cieszę. Napij się wina – podniosłam swój kieliszek, po czym go odstawiłam, nie pijąc.

– A ty? – zapytał.

– Tym razem sobie daruję. Chcę cię odwieźć do domu.

– Nie trzeba. Mówiłem ci już kiedyś. Nie chcę, żebyś mnie odwoziła.

– Nie bądź dziecinny. Nie pozwolę ci iść w taką paskudną pogodę ani sterczeć na przystankach.

– Pozwól mi zostać – powiedział i natychmiast się wycofał. – Żartowałem.

– Powiedz mi o nich, o tych ludziach – wróciłam do tematu.

– Zwyczajni są. Karioka lekko wkurzająca. Udaje gwiazdę. Pozostali są w porządku. Bartek trochę szefuje, szuka miejsc, gdzie można zarobić, ale kiepsko mu to wychodzi.

– Powinniście mieć jakiegoś impresario.

– Nie tak łatwo o dobrego, a słabego nie ma co brać. Szkoda kasy. Myśleliśmy o tym. Karioka podobno kogoś ma na oku... Ale czy my musimy teraz o tym rozmawiać?

– A o czym chcesz rozmawiać?

Dymitr spojrzał na mnie jakoś dziwnie i nie odpowiedział.

– Wiesz co? – wpadłam nagle na pomysł. – Powieśmy ten obraz. Przyniosę młotek i poszukam jakiegoś gwoźdźca.

– Gdzie chcesz go powiesić? – zapytał, gdy wróciłam z młotkiem.

– Nie wiem, może na tej ścianie w przedpokoju.

Dymitr wziął ode mnie młotek i przyłożył do ściany jedyny gwoździec, jaki znalazłam.

– Tutaj? – zapytał.

– Nie, trochę wyżej – poprawiłam jego rękę.

– Tutaj? – obniżył rękę i uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie, mówiłam, że wyżej!

– Pokaż.

Dotknęłam jego ręki, ale on już nie myślał o wbijaniu gwoźdźca. Obrócił się, zamknął mnie w ramionach i wyszeptał:

– Jagoda... Czy my musimy teraz wbijać te cholerne gwoździec?

Nie musieliśmy. I przez kolejne godziny robiliśmy zupełnie coś innego.

Kiedy Dymitr zaczął się zbierać, przypomniał sobie o obrazie.

– Powieśmy jeszcze to dzieło, zanim wyjdę – powiedział.

Mur był oporny i gwoździec wcale nie chciał wejść.

– Co tu jest? Cegła czy beton? – zapytał ze złością.

– Cegła – odparłam z miną winowajcy.

– W takim razie trafiłem na kamień. Spróbuję w innym miejscu... O, cholera, gwoździec się wygiął. Daj drugi.



– Nie mam.

– Czekaj, postaram się go wyprostować – Dymitr ukląkł i przyłożył solidnie młotkiem.

Jego zabiegi przerwał długi dzwonek do drzwi.

– Kto to? O tej porze? – zdziwił się.

– A która godzina? – zadałam pytanie, choć zegar miałam przed sobą.

– Pierwsza.

– Jezu, to szlafrok w kółka! – zawołałam szeptem, i nie wiem dlaczego przygniotłam Dymitra do podłogi.

– Co? – dobiegł spode mnie przyduszony głos. – Puść mnie, co ty robisz?

– Cicho! – szepnęłam i przygniotłam go jeszcze mocniej. Dzwonek ponownie zadzwonił.

– Kto to? – wydyszał Dymitr, usiłując się spode mnie wydostać.

Podniosłam się, położyłam palec na ustach i wyskandowałam bezgłośnie:

– Szla-frok w kół-ka.

Dymitr pokiwał głową i zakreślił kółko na czole. Nie dociekałam, czy ma na myśli mnie, czy sąsiadkę. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, a potem kroki zaczęły się oddalać i wspinać na górę.

– Przybijemy innym razem – zadecydowałam, gdy już poczułam się bezpiecznie.

– Kupię paczkę gwoździ – powiedział Dymitr i zaczął wkładać buty.

– Odwiozę cię – powiedziałam stanowczo i też się ubrałam.

Dymitr westchnął, ale już nie protestował.

Wyszliśmy na palcach, żeby nie budzić licha z góry. Wiatr szarpnął drzwiami prowadzącymi na klatkę i Dymitr musiał je mocno trzymać, gdy przechodziłam. Ulice były niemal puste. Prowadziłam szybko, rozchlapując kałuże. Kiedy przejeżdżaliśmy boczną uliczką obok starej, opuszczonej kamienicy, Dymitr poprosił:

– Zatrzymaj się.

– Tutaj? – zdziwiłam się. – Tu nikt nie mieszka.

– Ja tu mieszkam – odparł, nie patrząc na mnie.

Siedziałam w milczeniu, z rękami na kierownicy.

– Co to jest? Jakiś pustostan? – zapytałam w końcu.

– Tak – odparł.

– Dlaczego tu mieszkasz? Nie masz normalnego domu? Przecież ta chałupa może się w każdej chwili zawalić! Nie możesz sobie czegoś wynająć?

– Nie jestem tak bogaty jak ty – warknął. – Nie stać mnie na normalne mieszkanie. Nie każdy dostaje chatę w prezencie.

Puściłam uwagę mimo uszu i pomyślałam o obrazie, który dziś kupił. Jaki on właściwie jest, ten Dymitr?

– Nie będziesz tu mieszkał – powiedziałam z naciskiem i zawróciłam samochód.

– Jesteś pewna, że podjęłaś dobrą decyzję? – zapytała Agata, mieszając kawę w czarnej filiżance z białym wzorkiem. Uwielbiała tę filiżankę i nie wyobrażam sobie, w czym podałabym jej kawę, gdyby ta się stłukła.

– Jestem pewna. Warunki, w których mieszkał, były uwłaczające. Przecież on nie miał tam żadnego ogrzewania, a wodę przynosił ze sklepu w pięciolitrowych butlach.

– Daj spokój, to dorosły facet. Nie musiał tak żyć. Jak sobie pościelisz...

– Wiem, wiem. Ale zrozum, on jest tutaj obcy. Dał się wykorzystać jako cudzoziemiec. Wydaje mi się, że polskim kierowcom lepiej płacą. Mam nadzieję, że zrobi karierę jako muzyk. Trzeba dać mu szansę.

– Jasne, ale gdybyśmy mu nie pomogły, całe życie grałby pod Sukiennicami. A gdzie jest teraz? Jeszcze w pracy?

– Nie, poszedł na próbę... Agata, widzę, że jesteś bardzo negatywnie do niego nastawiona.

– Nie negatywnie, tylko sceptycznie. Nie wiem, co ty w nim widzisz. Chociaż raczej nic nie widzisz, bo jesteś teraz ślepa jak kret.

– Chcę mu pomóc, rozumiesz?! – podniosłam głos. – Jest tego wart.

– Dobrze, dobrze. Będiesz w końcu klepać biedę razem z nim, zobaczysz.

– Przekonasz się, że on do czegoś dojdzie.

– Oby – skwitowała.

Rozmowa nam się nie kleiła i Agata w końcu znalazła pretekst, żeby wyjść wcześniej, niż planowała. Byłam na nią zła i czułam się rozczarowana. Myślałam, że mnie wesprze. Ona tymczasem chciała osłabić moją wiarę w Dymitra. Spojrzałam na zegarek. Miałam przed sobą co najmniej dwie godziny do jego powrotu, postanowiłam więc zajrzeć do dziadka. Ostatnio trochę go zaniedbałam. Zapukałam, a ponieważ nikt nie zareagował, uchyliłam drzwi.

Pan Wiesław siedział w salonie i oglądał telewizję, posilając się racuchami, obficie przysypanymi cukrem.

– Jagódka! – zawołał na mój widok i gdy usiedliśmy w salonie, podsunął mi talerz z racuchami. – Weź, Grażynka smażyła. Dobre!

– Nie, dziękuję – odmówiłam. – Chciałam sprawdzić, jak się dziadek czuje.

– A jak mam się czuć? Grażynka mi gotuje, wnusia mnie odwiedza, jestem jak nowo narodzony. Wyłącz to brzęczące pudło – wskazał na telewizor. – Opowiedz, co tam w świecie słychać. Rysujesz jakieś nowe obrazki?

– Teraz maluję duży obraz. Na zamówienie.

– Na zamówienie? – gwizdnął przez zęby, co mnie natychmiast wprawiło w dobry nastrój. Czasem traktował mnie jak małą dziewczynkę. – A kto u ciebie taki duży obrazek zamówił?

– Jedna taka pani profesorowa. Do sypialni.

– I co ty jej na tym obrazku wypacykowałaś? Pewnie jakieś amorki, co? – zażartował i mrugnął do mnie okiem.

– Nie – zaśmiałam się. – Pani profesorowa to poważna kobieta. Zamówiła miłość przedstawioną w sposób metafizyczny.

– I ty potrafisz jej takie figle-migle wysmarować?

Dziadek był w znakomitym humorze.

– Dlaczego zaraz figle-migle? – zdziwiłam się.

– Co ty tam wiesz o miłości? Tyle co wróble na płocie wyćwierkają.

– Trochę wiem... – mruknęłam i zamilkłam, bo przypominałam sobie rozmowę z Agatą.

– Ale chyba nie poszukałaś sobie chłopaka ładniejszego ode mnie? – zapytał z udanym niepokojem i zmarszczył brwi w udawanym gniewie. Pomyślałam o ciemnych oczach Dymitra w mocno zarysowanej oprawie rzęs, pełnych ustach, lekko uwypuklonych kościach policzkowych.

– Nie ma ładniejszych chłopaków, dziadku – odpowiedziałam.

– Tylko uważaj – spoważniał nagle. – Miłość to nie żarty. Ja do dzisiaj nie mogę sobie wybaczyć, że tak moją Anielcię zostawiłem. A teraz człowiek stary i niczego odwrócić już nie może. Jeśli serce komuś powierzysz, zawsze musisz pomyśleć, czy on tego wart. I czy mu miłości do końca życia wystarczy. Anielcia nie pomyślała, a ja teraz cierpię.

– To Anielci wina? – zdumiałam się. – Przecież to dziadek ją zostawił i wyjechał.

– No tak, ale gdyby ona widziała, jaki ze mnie szalapat, to by mnie nie brała.

– Dziadek zawsze wie, jak kota ogonem obrócić – roześmiałam się.

Dobrze nam się razem gawędziło, ale wskazówki zegara nieubłaganie pędziły do przodu. Pożegnałam się z dziadkiem, chcąc zdążyć do domu przed powrotem Dymitra.

Przyszedł, roztoczył wokół siebie zapach chłodnego, wieczornego powietrza i usiadł zamyślony na sofie. Nastrój, który poprawiłam sobie podczas wizyty u dziadka, natychmiast się ulotnił. Pojawił się jakiś wewnętrzny niepokój. Nie lubiłam, gdy ktoś w mojej obecności był smutny. Powodowało to we mnie natychmiastowe poczucie winy.

– Stało się coś? – zagadnęłam łagodnie.

– Co? – spojrzał na mnie z roztargnieniem. – Nie, nic się nie stało – powiedział krótko.

– Wydaje mi się, że coś cię gnębi – drażyłam.

– Nie, Jagoda. Nie musisz się martwić. Nic mi nie jest.

– Może przygotujemy razem kolację? – zaproponowałam, żeby oderwać go od ponurych myśli.

Westchnął i spojrzał na mnie zniecierpliwiony. Wciąż stałam z czajnikiem w ręku i cierpliwie czekałam na odpowiedź.

– Kolację? – zreflektował się wreszcie. – Dobry pomysł – dodał z roztargnieniem, po czym zamknął się w sypialni.

Odczekałam kilka minut i zajrzałam do niego przez uchylone drzwi. Dymitr siedział przy biurku. Pisał coś i kreślił ze zmarszczonym czołem. Zostawiłam go i zajęłam się przygotowaniem spaghetti. Chyba polubił to włoskie danie. Wyszedł z sypialni dopiero, gdy kolacja stała już na stole.

– Skończyłem – oznajmił spokojnie.  
– Pisałeś piosenkę? – domyśliłam się.  
– Tak. Konkretnie ostatnią zwrotkę. Jadłeś już?  
– Nie, skąd! – oburzyłam się. – Czekałam na ciebie.  
– Może obejrzymy wieczorem jakiś film? – zapytał, nakładając sobie kopiastrą porcję makaronu.

– Planowałam dziś trochę pomalować.  
– Szkoda. Myślałem, że spędzimy razem czas.  
– Mogę malować jutro – powiedziałam szybko. – Dziś chętnie obejrzę z tobą film.

W dwudziestej minucie seansu Dymitr już chrapał. Wyłączyłam telewizor.

Następnego dnia musiałam ostro wziąć się do pracy. Termin oddania zamówionego obrazu upływał, a ja zmarnowałam wczorajszy wieczór. Dymitr pojechał do pracy, miałam więc czas tylko dla siebie. Przygotowałam pędzle i zaszłam się w pracowni. Około jedenastej zadzwoniła Agata.

– Jagoda, będziesz na wernisażu Michała?  
– Niestety – odparłam. – Mam pilną pracę, muszę szybko skończyć.  
– Szkoda, będzie cała nasza paczka, potem idziemy się upić. Może jednak ci się uda, spróbuj.

– Postaram się, ale raczej na to nie licz.  
– Staraj się, będziemy czekać.  
– Dobra, pa! – zakończyłam rozmowę i zabrałam się za obraz dla pani profesorowej.

Dymitr wrócił wcześniej niż zwykle. Wpadł do pracowni, pocałował mnie pośpiesznie i zatarł ręce.

– Cały dzień myślałem o tobie. Pamiętałem, że malujesz, dlatego zrobię dzisiaj obiad.

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, już był w kuchni.

– Tylko mi tu nie zaglądać! – zawołał jeszcze i zaczął trzaskać garnkami.

Nie poznawałam go. Z zapałem zabrałam się za malowanie i przyznam, że w tak radosnym nastroju szło mi dużo lepiej. Zapachy z kuchni przyprawiały mnie o niemożliwe ssanie w żołądku. Dawno nie czułam się tak głodna. Dymitr zawołał

mnie po dwóch długich godzinach. Na stole czekał półmisek parujących...

– Co to jest? – zapytałam zaintrygowana.

– Buudzy.

– Co?

– Buudzy. To coś takiego jak wasze pierogi. Tylko że gotuje się je na parze, nie w wodzie. Najpopularniejsza mongolska potrawa. Spróbuj.

– Uwielbiam pierogi. Co jest w środku?

– Niestety nie to, co powinno.

– A co powinno?

– Baranina. Ale tutaj nie można dostać baraniny. Zwłaszcza dobrej baraniny.

Nafaszerowałem wołowiną. Spróbuj.

Spróbowałam ostrożnie.

– Dobrze – pochwaliłam.

– Trzeba jeść szybko, póki gorące, żeby tłuszcz nie zastygł – poradził i sam zaczął pałaszować.

Jadłam, chwaliłam, ale gdzieś tam w środku tkwił niepokój związany z nieskończonym obrazem. Termin był coraz krótszy, a pracy przy nim było sporo.

– No, zbieraj się – powiedział Dymitr, gdy odstawiłam talerz.

– Dokąd? – zdumiałam się.

– Idziemy na spotkanie Corby z dziewczyną, która ma zostać naszym menadżerem.

– Ale po co ci ja?

– Bo to nie będzie takie zwyczajne spotkanie. Idziemy wszyscy razem do knajpy.

– I co z tego? To idź, ja muszę malować.

– Zdążysz. Chłopaki też zabierają swoje dziewczyny. Tak się umówiliśmy.

– Nie ma mowy. Mam termin. Muszę się wyrobić.

– Wyrobisz się, kochana moja – Dymitr zmienił ton i ciepło zajął mi w oczy. – Musisz ze mną pójść. Proszę. Specjalnie przygotowałem dzisiaj obiad, żebyś ze mną była. Jagoda, no? Jagódka...

– Dymitr... – mięknęłam pod jego spojrzeniem. – Nic mi wcześniej nie mówiłeś.

– Wyleciało mi z głowy. No, proszę cię, Jagódka. Zdejmij ten fartuch i chodź.

– Czekaj, muszę się ogarnąć – skapitulowałam.

Spotkanie było w Rynku, wieczór przyjemny. W środku byli już wszyscy oprócz Karioki. Od razu zauważyłam dziewczynę, której nie znałam. Charakteryzowała ją burza rudych włosów, miała na sobie czerwoną krótką sukienkę, która podkreślała jej długie nogi. Mierzyła nas wzrokiem. Nie wyglądałam przecież źle, ale przy niej poczułam się jak Kopciuszek.

– Elwira – wyciągnęła dłoń z czerwonymi szponami i wydeła krwistoczerwone wargi. – To ty śpiewasz?

Na szczęście nie – pomyślałam w duchu i już współczułam Dymitrowi i całej reszcie. W ogóle mi się nie spodobała. Postanowiłam nie dać się stłamsić. W końcu, co ona mnie może obchodzić?

– Nie – odparłam – powinnaś wiedzieć, że śpiewa Karioka. Przecież to ona cię tutaj ściągnęła.

– Wiem, wiem, że Karioka – machnęła lekceważąco ręką. – Ale jeszcze ktoś tu u was śpiewa. Ty? – zwróciła się do Dymitra.

Zanim Dymitr zdążył się odezwać, z odpowiedzią pośpieszył Bartek.

– Tak, on. Ale jak! Musisz posłuchać.

– Naprawdę? – wydeła lekceważąco usta, najwyraźniej miała taki nawyk, i zapaliła papierosa. W tym czasie zjawiała się Karioka.

– Przetawiałam twój samochód – powiedziała zdyszana, wręczając jej kluczyki. Elwira skinęła łaskawie głową i wrzuciła klucze do torebki.

Patrzyłam na to z niedowierzaniem.

– Który z was pisze teksty? – rzuciła krótkie pytanie i powiodła po wszystkich wyzywającym spojrzeniem. Na miejscu Dymitra nie przyznałabym się. Za nic!

– Ja – powiedział Dymitr i poprawił się na krześle.

– Naprawdę? – zdziwiła się i ponownie zmierzyła go wzrokiem. To napisz jeszcze ze dwie, trzy piosenki. Macie bardzo skromny repertuar.

– Na kiedy? – zapytał Dymitr. Spojrzała na niego spod przymrużonych rzęs i uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Masz tydzień, kotku – odparła, machając ręką, jakby odprawiała lokaja.

– Mrau – miauknęłam jak kot, patrząc na nią z niechęcią.

W spojrzeniu, którym mnie spiorunowała, były wszystkie wojny świata. Ale moja reakcja pomogła. Przestała się zgrywać.

– Chłopaki – odezwała się bardziej konkretnym tonem. – Macie dwa tygodnie na zorganizowanie się. Żadnych chorób, żadnego opuszczania prób – nie będę tego tolerować. Za czternaście dni zaczynamy koncertować. I myślę, że najpierw zdobędziemy Kraków. Kiedy macie najbliższą próbę?

– Jutro – powiedzieli wszyscy naraz.

– Przyjdę – rzuciła krótko i wstała z miejsca.

I już jej nie było.

– Jezu – jęknął Kajetan i osunął się na krześle. – Jaka jędza!

– Nie narzekaj – wzięła ją w obronę Karioka. – Zobaczysz, ona cuda potrafi zdziałać. Jeszcze będziecie mi dziękowali.

Polzło się piwo i atmosfera się rozluźniła. Siedziałam nieco znudzona, od niechcienia przysłuchując się rozmowom, gdy nagle w drzwiach stanęła Agata

z całą swiątą. Wyprostowałam się na krześle i już chciałam skryć się za Dymitrem, gdy ona mnie zauważyła. Podeszła szybkim krokiem, wyciągając do mnie obie ręce.

– Jagoda, jak się cieszę! Skąd wiedziałaś, że będziemy właśnie tutaj?

Znałam Agatę. Bardzo dobrze ją znałam. I wiedziałam, że tym gestem chciała wybawić mnie z kłopotliwej sytuacji. Złączyliśmy kilka stolików i bawiliśmy się niemal do samego zamknięcia lokalu. Obraz malowałam w nocy, po kilku kufkach piwa. I to była chyba najlepsza forma metafizycznej miłości, jaką kiedykolwiek udało mi się przedstawić pędzlem.



Pod koniec maja dostałam duże zamówienie. Scenografia na płótnie do spektaklu o życiu Fridy Kahlo. Byłam zaszczycona, że to mnie właśnie poproszono o jej wykonanie. Czułam tu palec nie tyle Boży, co Konrada, który z upodobaniem opiekował się moją artystyczną karierą. Wprawdzie tym razem nie mogłam wykazać się własną inwencją, bo otrzymałam konkretne wytyczne, ale cieszyłam się, bo uwielbiałam tę malarzkę i miałam dobrą okazję posłużyć się jej stylem. Dymitr w tym samym czasie przygotowywał się do pierwszego koncertu, nic więc dziwnego, że muzy rozpychały się w naszym mieszkaniu łokciami, co nie pozostało bez wpływu na nasze relacje.

– Przestań się wściekać – zirytowałam się któregoś wieczoru, gdy po raz kolejny cisnął notesem w kąt pokoju.

– Nie mogę pisać – warknął. – Wyłącz to gównno!

– Radio – poprawiłam z naciskiem i poszłam do pracowni, skąd dobiegały dźwięki jakiejś piosenki. – Zamknij się w sypialni i spróbuj się skoncentrować – poradziłam.

Siedział tam całą noc i pisał, skazując mnie tym samym na nocleg w salonie. Rano niewyspany powlókł się do pracy. Bałam się, że roztrzaska się na pierwszym przydrożnym drzewie i odrywałam się od zajęć, by dzwonić z częstotliwością zegarowej kukułki. Zaraz po pracy udał się na próbę. Wrócił przed północą i znowu zatrasnął się w sypialni. Przygotowałam mu kolację, zastanawiając się jednak, czy nie powinnam podsunąć mu talerza na długim kijku.

– Dymitr, zjedz coś – poprosiłam, uchylając lekko drzwi. Spodziewałam się ataku, ale on spojrzał na mnie oczami skatowanego wyżła i wyciągnął rękę.

– Chodź tu, Jagoda.

Weszłam, nie zamykając za sobą drzwi, jakbym chciała pozostawić sobie wolną drogę w razie konieczności ucieczki. Uśmiechnął się rozbrojony.

– Przepraszam – mruknął. – Ale ta cholera podarła dziś na strzępy mój tekst.

– Elwira? – zapytałam retorycznie, bo doskonale znałam odpowiedź.

– Tak – mruknął. – Mam dość. Nie daję rady z tym wszystkim. Chyba rzucę to całe śpiewanie.

– Nie, Dymitr. Nie śpiewanie. Zwolnij się z pracy, damy sobie radę.

Nie odpowiedział. Usiadł przy stole i zaczął bębnić palcami. Potem sięgnął po notes.

– O, zobacz – podetknął mi go pod nos.

– Co to jest? – zerknęłam na pokreślone bazgroły.

– Napisałem to dzisiaj, na schodach.

– Na schodach? – patrzyłam na niego jak na idiotę.

– Jagoda, jak się ma coś w sercu, nie trzeba myśleć całą noc, żeby to

wyrazić. Napisałem o tym teraz, na schodach.

Przebiegłam wzrokiem kartkę i popatrzyłam na Dymitra. Nie czułam się bohaterką tego, co tam napisał, ale uważałam, że jest to jeden z lepszych tekstów, jakie czytałam.

– Napisz do tego muzykę, Dymitr. To jest świetne!

– Tak myślisz? – zapytał z powątpiewaniem i sięgnął po gitarę. – Uważasz, że to się nadaje?

– Jestem tego pewna.

Kolejną noc spędziłam na sofie, w dodatku z poduszką na głowie. Dziwiłam się tylko, że Kosiakowa nie stoi jeszcze z dzielnicowym pod drzwiami. Rankiem nie wypuściłam Dymitra do pracy.

– Nigdzie nie pójdziesz – zdecydowałam. – Pracujesz za psie pieniądze. Graj.

Coś we mnie pękło, kiedy zaczął śpiewać. Słowa, które nabazgrał na schodach, okazały się jedynie szkieletem powstałego dzieła. Gitarowe dźwięki piosenki w połączeniu z jego głosem i uczuciem, z jakim wykonał nową balladę, powaliły mnie na kolana.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, gdy skończył.

Kiedy opowiadałam o tym Agacie w Żarówce, pokręciła tylko głową.

– Nie śpiesz się z tym małżeństwem – poradziła. – On mi się wydaje trochę niepoważny.

– Ma fantazję – stwierdziłam z rozculeniem, jakbym opowiadała o pupilu z pozłacaną obrózką.

– No właśnie – westchnęła Agata i popatrzyła na mnie z troską. – Nie śpiesz się – powtórzyła.

Pierwszy koncert miał się odbyć na wolnym powietrzu, pod Wawelem, gdzie Corba miała zagrać wśród wielu znaczących zespołów prezentujących różne odmiany muzyki. Elwira spodziewała się licznie zgromadzonej publiczności, co powinno zagwarantować skuteczną promocję grupy. Zarówno ja, jak i Agata poruszyłyśmy niebo i ziemię, by ściągnąć tam jak najwięcej znajomych. Tej soboty Dymitra prawie nie widziałam. Od rana kapela przebywała w klubie, zapinając wszystko na ostatni guzik. Trzęsły mi się nogi, gdy wczesnym wieczorem zbliżałam się do bulwaru. Scenę okupował właśnie jakiś nieznany mi solista. Corba powinna wystąpić za kwadrans, z półgodzinnym recitalem. Na widok członków grupy ustawiających na estradzie swoje instrumenty, ogarnęła mnie trema, jakbym to ja sama za chwilę miała stanąć na scenie. Obsługa techniczna poprawiała mikrofony, przekładała jakieś kable. Przedostałam się do przodu, nie chcąc uronić żadnego dźwięku. Wreszcie wyszli na scenę. Publiczność przyjęła ich dość chłodno. Gdzieniedzie rozległy się pojedyncze oklaski. Zanim zaczęli grać, zaśpiewała Karioka. Jej niski głos zelektryzował słuchaczy. Potem włączyła się

perkusja i jęknęły gitary. Wreszcie Dymitr. Przymknął oczy i odpłynął ze swoją muzyką. Widownia przestała dla niego istnieć. Zaśpiewał jedną ze swoich ulubionych mongolskich pieśni, która dzięki profesjonalnemu nagłośnieniu zabrzmiała zupełnie inaczej niż pod Sukiennicami. Potem ustąpił miejsca Karioce, która ożywiła zebranych bardzo szybkim rytmem. I znowu on, ze swoją balladą pisaną pośpiesznie na schodach. Zacisnęłam pięści i trwałam tak, aż do końca, do ostatniego szarpnięcia strun, aż do momentu, gdy ten mongolski chłopak powrócił ze swojego świata, poszukał mnie wzrokiem i podniósł dłoń, wyrażając radość, że jestem. Najpierw długa cisza, a potem burza braw dała wyraz uznania, jakim obdarzyła Corbę publiczność.

Po tym występie nawet Elwira zdobyła się na gratulacje. Ale nie pozwoliła na odpoczynek. Zapowiedziała kolejne trzy koncerty w Krakowie i obiecała przygotować dalszą trasę. Dymitrowi natomiast zaleciła zmienić wizerunek.

– Kup sobie jakąś bardziej fantastyczną koszulę. I z tymi włosami coś zrób. Zwiąż je albo coś... Sama nie wiem.

– Co mam zrobić z włosami? – zamęczał mnie w domu. Omówiliśmy już cały koncert, minuta po minucie, a ja zabrałam się za mieszanie farb. – Może je przytnę, co? Albo będę zaczesywał do góry. Spójrz, Jagoda, może do góry?

Rzuciłam okiem i pokręciłam głową, marszcząc nos.

– To może obetnę? Jak wyglądałbym w krótkich? Chyba za bardzo pyzato, co? – zastanawiał się głośno, kręcąc przed lustrem głową jak jakaś zdziwiona kura. – Zobacz, Jagoda...

– Narcyz – mruknęłam pod nosem, pochylona nad zapaćkaną farbami paletą.

– Co mówiłaś?

– Kup sobie pióropusz! – odskrzyknęłam z pracowni i założyłam słuchawki na uszy.

Kolejny tydzień był naprawdę ciężki. Musiałam się spinać, by zdążyć na czas ze scenografią. Tymczasem we wtorek po południu trafił do mnie niespodziewany gość. Dymitr był w klubie. W poplamionym fartuchu i z niewybrednym słowem na ustach poszłam otworzyć drzwi. W progu stał Juliusz. Na twarzy miał przepaszający uśmiech, w dłoni zaś dzierżył małą torbę. U jego boku uśmiechała się Amelia.

– Babcia w sanatorium, a ja mam pilny wyjazd. Nie mogę wziąć jej z sobą...

– wyjąkał i popchnął dziewczynkę do przodu.

– Co? – Popatrzyłam na Juliusza jak na widmo.

– Dwa dni i ani minuty więcej – dodał.

– Dwa dni? – wymamrotałam zbielełymi ustami i przerzuciłam wzrok z Juliusza na małą.

Dziewczynka przyciskała do piersi brudnego pluszowego wielbłąda i spoglądała na mnie rozszerzonymi oczami, w których czaiła się niepewność.

– Wejdźcie, proszę – otworzyłam szerzej drzwi i odsunęłam się, by mogli przejść. Gdy mnie minęli, wzniosłam oczy ku niebu.

Usiedli na sofie i nie spuszczały ze mnie wzroku.

– Amelio – zwróciłam się do małej – w pracowni jest blok rysunkowy i ołówki. Idź i narysuj coś ładnego.

– Ile czasu potrzebujecie na rozmowę bez świadków? – zapytała. Juliusz uniósł się lekko z miejsca, marszcząc groźnie brwi, więc szybko dorzuciła, wskazując na moją twarz: – Masz niebieską brew. – Wstała z ociąganiem.

– Jagoda – odezwał się szeptem Juliusz. – W tobie nadzieja. Nikt inny nie przyszedł mi do głowy.

– A szkoda – zauważyłam uszczypliwie – bo mam pilną robotę. Możesz mi powiedzieć, gdzie jest znowu twoja żona?

– Nie – rzucił krótko, chrząknął i poprawił się na sofie.

– Juliusz, co tu jest grane? – zdenerwowałam się. – Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, bądź ze mną szczerzy.

– Dobrze – zgodził się i zerknął na zegarek.

Ten gest nie umknął mojej uwadze.

– O której musisz wyjechać? – spytałam.

– Za jakieś dwie, trzy godziny. Mam jeszcze chwilę, żeby ci co nieco opowiedzieć, pod warunkiem, że przyjmiesz Amelię. W przeciwnym razie będę musiał poszukać dla niej innej opieki.

Zawahałam się. Zerknęłam w stronę pracowni, skąd dobiegał głosik nucącej pod nosem dziewczynki.

– Przyjmę – zdecydowałam z ciężkim westchnieniem. – Mów.

– Moja żona jest typową bizneswoman – zaczął. – Ale gdy ją poznałem, wcale taka nie była. Złamał jej się obcas, którym wpadła między płyty chodnikowe. Buty zresztą nie najlepszej jakości. Rozczuliła mnie wtedy swoją bezradnością. Tak się zaczęło. Skończyła zarządzanie i postanowiliśmy się pobrać. Zamieszkaliśmy w wynajętej kawalerce. Ja miałem wolny zawód, jak to artysta, ona dopiero zaczynała, więc różnie nam się wiodło. W końcu poznała prezesa znanej firmy kosmetycznej. Wciągnął ją do interesu i od razu ustawił na wysokiej pozycji. Wtedy zaszła w ciążę. Ustaliliśmy, że dziecko nie może stanąć na drodze jej kariery, dlatego zgodziłem się zająć małą, gdy tylko przyjdzie na świat. Paula szybko wróciła do firmy. Karmiła, więc jeździłem za nią z Amelią w te różne delegacje i w przerwach podtykałem dziecko do karmienia. Nie muszę chyba dodawać, że moja praca zeszła na dalszy plan. Tak było do czasu, aż Amelia zagorączkowała w Wiedniu i wylądowałam z nią w szpitalu. Od tej pory przestałem jeździć za Paulą. Po dwóch latach kupiliśmy porządne mieszkanie na strzeżonym osiedlu. Żona zatrzasnęła mnie w złotej klatce i pojawiała się jedynie na weekendy. Tylko że wtedy była zmęczona i chciała mieć spokój. Nasze życie

rodzinne nie istniało. Potem i tych weekendów zabrakło. Bo integracyjne narty w Szwajcarii, symposium w Norwegii, szkolenie w Szwecji, karnawał w Brazylii... Miałem żonę i jej nie miałem, nie wspominając o tym, że Amelia zupełnie nie знаła matki. Do przedszkola ja, do lekarza ja, na zebrania ja... Gdyby nie babcia, która ją zabierała, gdy miałem coś pilnego, zupełnie rzuciłbym pracę. Jestem grafikiem, a teraz jeszcze koordynatorem do spraw artystycznych. Pracowałem głównie w nocy, bo wtedy miałem spokojniejszą głowę. W końcu bomba wybuchła. Paula pewnego dnia przyjechała z Paryża, ale dosłownie na kilka godzin. Wieczorem miała zaplanowany wylot do Anglii. Wzięła więc prysznic i z miejsca położyła się spać. Zająłem się więc jej walizką. Wyciągałem rzeczy do prania. Aż się natknąłem na zawiniątko, do którego przypięta była kartka z serduszkami podpisana „Cezary”. Z ciekawości sprawdziłem, co było w środku. A tam ... – tu Juliusz obejrzał się na wejście do pracowni i zniżył głos do szeptu – czerwone majtki z piórami. Od razu nabrałem podejrzeń. Każdy facet by nabrał. Pozwoliłem Pauli się wyspać, a potem zapytałem, co to za bielizna. Nawet nie zaprzeczała, że ma romans, tylko od razu zażądała rozwodu.

– A co z Amelią?

– Nie wiem. Sprawa dopiero w listopadzie. Zobaczymy.

– Dobra, Juliusz. Zostaw ją i zmykaj. Jakoś sobie poradzimy – powiedziałam i obdarzyłam go czymś w rodzaju uśmiechu. Przynajmniej taka była moja intencja.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – wymamrotał, przytulając mnie mocno.

– Też bym była... Pożegnasz się z Amelią?

– Jasne.

Juliusz zajrzał do pracowni. Ściskając mocno córeczkę, szeptał jej coś do ucha. Mała kiwała głową i raz po raz zerknęła na mnie. Kiedy wyszedł, zwróciłam się do Amelii:

– No to pokaż, co tam narysowałaś.

– Nic – odparła, nieznacznie wzruszając ramionami. – Nie lubię rysować. Namalowałam motylka.

– Gdzie?

– Tutaj – wskazała na płótno.

– Amelio, jeśli chcesz malować, przygotuję ci wszystko. Ale nie wolno ci malować na moim płótnie – pouczyłam ją.

– Dobrze, nie będę.

– Powiedz mi też, jeśli będziesz głodna. Przygotuję ci coś do jedzenia.

– Dobrze, powiem – odparła tak grzecznie, że aż mnie to zastanowiło.

– Jesteś wciąż tą samą Amelią? – zapytałam, jednocześnie wzmacniając patyną seledyn na sukni Fridy.

– Nigdy nie będę już tą samą Amelią – odrzekła, kręcąc z powagą głową.

– Nie? A dlaczego? – zerknęłam na nią między ruchami pędzla.

– Bo nigdy już nie będę miała pięciu lat, tylko ciągle o jeden dzień więcej.  
Dymitr wrócił niebawem i obrzucił Amelię zdziwionym wzrokiem.  
– Mamy dziecko? – zapytał.  
– Chwilowo – odparłam, nie przerywając malowania.  
– No i dobrze – mruknął i wycofał się do kuchni. Spojrzałyśmy po sobie, nawiązując cieniutką nić porozumienia. Amelia jeszcze chwilę przyglądała się mojej pracy, potem cicho wymknęła się z atelier.

Gdy poszłam po jakimś czasie do kuchni, przeraził mnie widok, jaki tam zastałam. Dymitr mieszał coś w garnku, Amelia natomiast siekała cebulę wielkim nożem. W skupieniu wysunęła na brodę pół języka.

– Oszalałeś! – zawołałam. – Przecież ona nie potrafi posługiwać się nożem! Obetnie sobie palce!

– Nie obetnie – odparł ze stoickim spokojem. – Jak ma się nauczyć, jeżeli nie będzie próbować?

– Już – wysapała dziewczynka i odłożyła nóż. Odetchnęłam, ale na krótko.

– Dobrze – pochwalił ją Dymitr i wskazał na patelnię z rozgrzanym tłuszczem. – Wsyp tutaj cebulę.

– Poparzy się – jęknęłam.

– To na przyszłość będzie ostrożniejsza – skwitował Dymitr i przesunął się, żeby zrobić jej miejsce przy kuchence. – Teraz sprzątnij podłogę – zwrócił się do małej, widząc, że nie wszystko trafiło tam, gdzie trzeba.

– Tak się wychowuje dzieci w Mongolii? – zapytałam.

– W Mongolii bardzo kocha się dzieci, dlatego uczy się je pracy – odparł. – Żaden mężczyzna nie uderzy dziecka, tak jak nigdy nie położy czapki na podłodze, bo to największa hańba.

– Ostatnio słuchałam w radiu wywiadu z misjonarzem, który jest teraz w Ułan Bator. Zajmuje się dziećmi wyrzuconymi z domu lub takimi, które same uciekły z powodu biedy. Mówił o dzieciach bitych i gwał... – zamilkłam, bo Amelia wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– To, co mówisz jest bardzo niesprawiedliwe. Krzywdzi kochających rodziców, których jest tam większość. Dzieci, o których mówisz, są z takich rodzin... No, to ofiary alkoholu. A co? Tutaj takich nie ma? Wszędzie są. Ksiądz, który o tym mówił, chciał zwyczajnie pokazać swoje zasługi.

– Czy w Mongolii rośnie cebula? – przerwała nam Amelia, grzebiąc w talerzu.

– Rośnie – odparł wciąż jeszcze wzburzony Dymitr.

– A pomidorki?

– Nie – mruknął, spoglądając na mnie spode łba.

– A co rośnie?

– Nic – burknął.

– Co to jest nic? – zapytała Amelia, a ja aż usiadłam z wrażenia.

Dymitr rzucił na mnie ostatnie piorunujące spojrzenie, po czym łagodnie zwrócił się do dziewczynki:

– Podaj mi swój kubeczek.

Amelia posłusznie podsunęła mu kubek. Dymitr postawił go obok swojego.

– Spójrz. Twój kubek jest pusty, czyli to jest nic, i mój kubek też jest pusty. Razem to są dwa nice. Przy czym twój nic jest mały, a mój duży. Rozumiesz?

– Tak – pokiwała główką i poprosiła o herbatę.

Następnego dnia Amelia nie zamierzała rozstawać się z Dymitrem. Zresztą on wcale nie narzekał na jej towarzystwo. Podczas śniadania testowali dźwięki wydawane przez sztuce, a po południu układali razem nową piosenkę. Pytania typu: dlaczego wesoła muzyka jest wesoła i jak smakuje dwutlenek węgla nie przerażały Dymitra. Zastanowił się jedynie nad sprawą życia i śmierci, które w ustach Amelii nabierały jakiegoś nowego wymiaru. Ku rozczerowaniu dziewczynki, wieczorem zjawił się Juliusz i, bijąc nam dziękczynne pokłony, zabrał ją do domu. Zaraz potem Dymitr usiadł z gitarą na drewnianej skrzyni w pracowni.

– Posłuchaj tego – powiedział.

Zagrał kilka akordów i zaczął śpiewać:

*Świątynie mglistych oddechów*

*mają puste dłonie i twarze*

*pełne*

*śladów pomarańczy*

*mongolscy pasterze karmią nimi konie*

*a słońce umiera i tańczy.*

Przerwałam malowanie i wydułam usta w wyrazie najwyższej pogardy.

– Przecież to jest bez sensu.

– Nie jest takie bez sensu, posłuchaj.

*Nie ma nic na łonie pustyni*

*nic prócz dusz ściganych ogniem*

*prócz daru stepowego życia*

*nie ma nic.*

– Bez sensu – powtórzyłam.

– E, tam. Zaraz bez sensu. Ułożyliśmy to razem z Amelią – oznajmił z dumą i zaśpiewał jeszcze raz. Trzeba przyznać, że melodia była urzekająca.

– To do niej podobne. Moim zdaniem tekst jest absurdalny.

– Bo nie rozumiesz Mongolii.

– To mi ją wyjaśnij.

– Jak ci mam ją wyjaśnić? Zresztą, przecież jesteś artystką, Jagoda. Przemyśl to w twojej artystycznej duszy – powiedział i poszedł do sypialni.

– Artystycznej duszy – mruknęłam pod nosem i wróciłam do pracy. Z sypialni dobiegały twórcze zmagania Dymitra. Widocznie układał dalszą część niezrozumiałej dla mnie piosenki.



Dziadek stał w ogrodzie i wydłubywał laską z ziemi opadłe żołądździe.

– Nie potrzeba mi tu dąbczaków – mruczał – i tak ogród zarósł, nie ma kto robić.

– Poszukam dziadkowi ogrodnika – powiedziałam i schyliłam się, żeby pozbierać żołądździe do woreczka.

– A tam, ogrodnika. Niech sobie roślina rośnie, takie jej prawo – mamrotał i dla odmiany zaczął wciskać żołądździe z powrotem. – Zanim wyrosną, już mnie i tak nie będzie – burczał.

– Czemu dziadek dziś taki zły? – ośmieliłam się zapytać.

– Zły, zły... Paweł był wczoraj.

– Kto to Paweł? – zdziwiłam się.

– Syn Zygmunta.

– To chyba dobrze, że odwiedził dziadka?

– Już ja bym tam wolał, żeby nie odwiedzał. Po domu zaczął mi się kręcić, kąty mierzyć, okna opukiwać. Potem na strych poszedł, do tej twojej pracowni i siedział tam z godzinę. A ja go pytam, kto mu pozwolił po cudzym się panoszyć jak po swoim. To mi odpowiedział, że i tak dom dostanie w spadku, więc może sobie mierzyć... Wysyp no tutaj te żołądździe, niech rosną na zdrowie – zwrócił się do mnie i postukał laską w rozpulchnioną wilgocią ziemię. – Chodź już, zimno – dodał i ruszył pierwszy w stronę domu, gdzie natychmiast zajął swój ulubiony fotel.

– Daj mi, Jagódka, tych kropelek na serce. W kredensie za szybką stoją.

Przyniosłam krople i łyżkę, odmierzyłam odpowiednią porcję i podałam ją dziadkowi.

– Taki dziś nieswój jestem – powiedział. – Nie pogniewasz się, jak położę się trochę? Żadne ze mnie towarzystwo.

– Niech się dziadek położy, a ja wezwę lekarza – zdecydowałam, patrząc na niego z niepokojem.

– A po co mi lekarz? Niech cię ręka boska broni. Nikogo mi nie wołaj, zaraz przejdzie. Idź już, idź dziecko do domu, a ja się trochę prześpię.

Zanim wyszłam, zajrzałam jeszcze do lodówki, by sprawdzić, czy dziadkowi czegoś nie trzeba dokupić, zagotowałam wodę i zaparzyłam w termosie herbatę. Wtedy usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z sypialni. Zajrzałam tam i zbladłam. Dziadek siedział na łóżku, trzymając się za gardło. Twarz wykrzywioną miał bólem. Złapałam telefon i czym prędzej wystukałam numer pogotowia. W ciemno zgłosiłam atak serca i podałam adres. Potem pobiegłam do dziadka. Był biały jak papier. Z trudem łapał powietrze.

– Niech dziadek kaszle! – krzyknęłam. – Niech dziadek mocno kaszle!

Ale on upadł na poduszkę i całkowicie znieruchomiał. Wyjęłam poduszkę i rzuciłam ją na podłogę. Boże, co mam robić? – myślałam gorączkowo. Gdzieś głęboko w pamięci majaczyły mi się fragmenty kursu pierwszej pomocy, który kiedyś musiałam przejść. Oddech. Trzeba sprawdzić, czy oddycha. Odgięłam mu głowę do tyłu i pochyliłam się nad nim. Nie wyczułam żadnego oddechu. Masaż serca. Jak to było? Boże, dawno nie miałam takiego pietra... Ile to było uciśnień? Dwadzieścia? Trzydzieści? Wyprostowałam ręce, splotłam nadgarstki i rytmicznie zaczęłam uciskać klatkę piersiową. Raz, dwa, trzy, cztery... Trzydzieści. Chyba trzydzieści. Teraz dopiero oddech. Powoli. I jeszcze raz. Znowu masaż: raz, dwa, trzy... Niech oni już przyjadą! Cztery, pięć, sześć... Bogu dzięki, słyszę sygnał karetki, zaraz tu będą... siedem, osiem, dziewięć... Już są, odsuwają mnie, podłączają jakąś aparaturę... Wyszłam do kuchni na trzęsących się nogach. Ręce też mi drżały i z nerwów, z żalu nad dziadkiem chciało mi się płakać. Stałam przy oknie i wciąż liczyłam do trzydziestu, a potem znów, od nowa i od nowa. Nie wiem, ile czasu to trwało.

– Żyje, zabieramy! – rzucił mi w przelocie ratownik w czerwonym kombinezonie. – Proszę dostarczyć nam jego dowód. Dobrze, że pani była, bo... – machnął ręką.

Po chwili rozległ się przeciągły sygnał karetki i zaraz potem nastała cisza. Opadłam ciężko na kuchenny taboret i siedziałam tak przez kilka minut, zanim zdołałam się pozbierać. Potem zaczęłam szukać dokumentów dziadka. Szuflada starego biurka otwierała się ciężko, pełno tam było różnych rachunków, starych umów, dokumentów i listów. Zerknęłam na jedną z kopert. Była zaadresowana do dziadka, jeszcze na amerykański adres. Przypuszczałam, że mógł to być list od Anielci. Leżał na wierzchu, osobno, dlatego pomyślałam, że dziadek zaglądał do niego częściej niż do innych. Z koperty wystawał rożek fotografii. Brzydziłam się tym, co robię, ale chciałam tylko zobaczyć zdjęcie Anielci z tamtych czasów. Jeśli dziadek tak je lubi, mogłabym mu namalować ją w prezencie... Zdjęcie przedstawiało malutkie dziecko. Na odwrocie przeczytałam: „Krzyś, osiem m”. Osiem miesięcy? Poszukałam na kopercie daty, ale była nieczytelna. Wysunęłam więc list i zerknęłam na nagłówek. Dwunasty października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Boże, czyżby? Ten Krzyś mógł być synem pana Wiesława, urodzonym już po jego ucieczce z Polski. Dziadek nie wspomniał o tym ani słowa, ale tajemnicę pewnie wyjaśniał list... Nie, nie mogę go przeczytać. Schowałam list i zatrasnęłam szufladę. Przeszukałam jeszcze pudełko ze szpargałami stojące na biurku i kieszenie kurtki dziadka. W kieszeni znalazłam portfel, a w nim dokumenty. Zabrałam dowód i udałam się do szpitala. Niestety, dziadek leżał na oddziale intensywnej terapii i nie mogłam do niego wejść nawet na chwilę. Zostawiłam dokument i wróciłam do domu. Dymitr czekał na mnie zniecierpliwiony.

– Pozwalasz, żebym ja tak za tobą tęsknił? – zasypał mnie wyrzutami. – Jutro mam koncert w Katowicach, wyjadę na cały dzień, a ciebie nie ma! Chodź, napijemy się wina.

Otworzył butelkę i rozsiadł się wygodnie.

– Będziemy pociągać z butelki? – zdziwiłam się. – Jak powiedziałeś A, powiedz i B.

– Nie mówiłem żadnego A – obruszył się.

– Tyle lat jesteś w Polsce i jeszcze nie wiesz, że jest takie powiedzenie? Jeśli coś zacząłeś, skończ.

– A, chodzi ci o kieliszki! – rozpromienił się i natychmiast poderwał się z miejsca.

Byłam wciąż pod wrażeniem dzisiejszego popołudnia i nie mogłam przestać myśleć o dziadku. Dymitr paplał o koncercie i nie zwracał uwagi na mój nastrój.

– Mówiłem już, że nasza piosenka bardzo spodobała się Elwirze?

– Nasza?

– Moja i Amelii.

– Ach, ta piosenka – powiedziałam i myślami pobiegłam do tych chwil, kiedy ratowałam dziadka.

– Widzę, że tobie wcale się nie podoba. A to będzie przebój.

– Skoro tak mówisz – odparłam, zastanawiając się, czy dziadek doszedł już do siebie.

– Jagoda, czy ty mnie słuchasz? – zniecierpliwił się Dymitr.

– Oczywiście, że cię słucham – powiedziałam, a w moim głosie zabrzmiał beżmierny smutek.

– Ja chyba nie rozumiem polskich kobiet – naburmuszył się.

– Dymitr, przepraszam. Dzisiaj dziadek omal nie umarł mi na rękach. Jest w szpitalu.

– Nie mogłaś mi o tym powiedzieć?

– Mogłam, ale ty z tym winem i w ogóle... Przytul mnie.

Nie kazał się długo prosić. Oplótł mnie ramionami i zaczął nucić nad uchem tę nieszczęsną piosenkę.

Następnego dnia, gdy tylko odprowadziłam Dymitra razem z gitarą, zadzwoniłam po Agatę. Potrzebna mi była jak powietrze do oddychania. Pojawiła się spóźniona, w zabłoconych botkach i z ociekającym parasolem.

– Samochód odmówił współpracy. Jakiś koleś zepchnął mnie ze skrzyżowania, a potem odholował do warsztatu. Buty mi przemokły. Zrób mi coś gorącego do picia.

Przygotowałam herbatę i otworzyłam słoiczek jej ulubionych wiśni. Zawsze trzymałam je dla niej w zanadrzu.

– Agata, bardzo doceniam, że mimo wszystko przyczłapałaś – powiedziałam

i ze wzruszenia otarłam jej buty z błota.

– Daj spokój, nic się przecież nie stało. Lubię deszcz – powiedziała i siąknęła nosem. Rzuciłam jej paczkę chusteczek i koc. Po namyśle dałam jeszcze aspirynę.

– Możesz zostać u mnie na noc – zaproponowałam.

– Coś ty! Robak umrze z żalu.

– Odratuję go, mam wprawę – stwierdziłam grobowym głosem.

– Coś z Dymitrem? – zapytała i rozejrzała się, jakby spodziewała się zobaczyć mongolskiego ducha.

– Dymitr pojechał na koncert do Katowic. A wczoraj reanimowałam dziadka.

– Przeżył?

– Przeżył, ale chyba ma dziecko.

Agata nie odpowiedziała. Wlepiała we mnie okrągłe oczy i gapiła się długo. W tym czasie zdążyłam przeanalizować to, co powiedziałam.

– To był skrót myślowy. Ja myślę, że on ma dziecko.

Wciąż nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Niewiele zmieniłaś – powiedziała powoli. – Jakie dziecko? Teraz? Mówiłaś, że on ma osiemdziesiąt cztery lata.

– No tak. I chyba miał zawał.

– Nic dziwnego...

– Agata, to dziecko jest stare, rozumiesz? Jeśli to jego oczywiście.

– Nie, Jagoda. Wybacz. Pleciesz jak na mękach.

– Skup się. Dziadek miał zawał. Wezwałam karetkę i zaczęłam go ratować.

Karetką przyjechała, zabrała dziadka do szpitala. Ja miałam dostarczyć dokumenty. Szukałam ich w szufladzie, ale ich tam nie było. Wtedy to dziecko znalazłam.

– Gdzie?

– No przecież mówię. W szufladzie.

– To metafora jakaś? W trumnie?

– W jakiej trumnie?

– Jezu, nie wiem... Może ja powtórzę aspirynę, w głowie mi się kręci.

Mówisz, że stare dziecko...

– Ale nie aż tak stare. Co ty z tą trumną? Malutkie dziecko, ośmiomiesięczne, leżało w szufladzie.

– Jagoda, idę do domu. Wyśpij się.

– Agata, zdjęcie tego dziecka, rozumiesz? Fo-to-gra-fia. Fotografia leżała w szufladzie. I ona była podpisana, że to Krzyś, co ma osiem miesięcy.

– Osem miesięcy to nie taki stary.

– No tak, ale osiem miesięcy to on miał w pięćdziesiątym trzecim, teraz jest stary.

– Skąd wiesz, że ten Krzyś jest dziadka?

- Nie wiem. Przypuszczam.
- Ale dlaczego robisz z tego sensację. Niech sobie ma tego syna. Nie on jeden.
- To nie jest takie proste. Jeśli to jego syn, będzie miał prawo do dziedziczenia po ojcu. A tymczasem nadzieję na spadek robi sobie Zygmus, bratanek dziadka, który tylko czeka na jego ostatnie tchnienie.
- A on nie wie, czy to jego syn?
- Kto?
- Dziadek.
- Dziadek wie, ja nie wiem. I ten Zygmus też nie wie.
- Dziadek ma syna, a jego bratanek o tym nie wie?
- Wydaje mi się, że dziadek też o tym synu nic nie wie.
- Przed chwilą mówiłaś, że wie. Masz coś mocniejszego? Herbata nie daje rady...
- On wie, że go ma, ale nie wie, gdzie. I to jest ta cała tajemnica.
- To trzeba go poszukać. Jeśli to syn, powinien mieć to samo nazwisko. Wiemy, że Krzyś. Krzysztof. A nazwisko?
- Kowalski.
- Żartujesz.
- Nie.
- Naprawdę Kowalski?
- Niestety.
- Włącz komputer.
- Włączyłam. Aktor, dziennikarz, adwokat, aptekarz, duchowny, starosta...
- Szukać dalej? – zapytałam z rezygnacją.
- Nie, to nie ma sensu. Trzeba jakoś inaczej. Po prostu Kowalskich jest zatrzęsienie.
- Ale jak inaczej?
- Skąd mam wiedzieć? Nie sposób miliona Kowalskich wypytywać o imiona rodziców. Może jednak ten dziadek coś wie?
- Ale co mam mu powiedzieć? Że grzebałam w jego szufladzie? Skoro sam nic o nim nie mówi, to znaczy, że z jakiegoś powodu nie chce.
- Może mu wstyd, że zostawił żonę z dzieckiem.
- Wyjeżdżając, prawdopodobnie nie wiedział, że ona jest w ciąży.
- Ale potem się dowiedział.
- Tak, tylko że ona gdzieś zniknęła, bo była prześladowana. On z tego samego powodu nie mógł wrócić do kraju. I kontakt się urwał.
- Amen – skwitowała Agata i dopiła duszkiem herbatę.
- Dymitr wrócił późnym wieczorem. Był rozpromieniony i na lekkim rauszu.
- Piosenka im się spodobała, też mówią, że może być z niej hit! – zawołał

już od progu. – Amelii należeć się będzie połowa honorarium. Tęskniłaś za mną trochę? – zapytał, przyciskając mnie do siebie tak mocno, aż zabrakło mi tchu. – Tęskniłaś za swoim Czyngis-chanem?

– Uhm... – zdołałam wydusić w jego ramię.

– To dziś będziesz moją branką! Wiesz, jak to w dawnej Mongolii bywało? – zapytał, pochylając się nad podróżną torbę. – Mongoł nie pytał kobiety, czy ona go chce. Jak sobie upatrzył żonę, to wsiadał na konia i jechał po nią, choćby przez całą pustynię. Potem ją brał na konia i uwoził do swojej jurty.

Wydobył z torby pięknie zapakowane pudełko.

– To dla ciebie, kochana. Zawsze pragnąłem obsypywać swoją kobietę prezentami. Spójrz, co ci przywozłem.

Ostrożnie rozwiązałam delikatny sznureczek i otworzyłam pudełko. To, co zobaczyłam, wprawiło mnie w stan najwyższego zdumienia.

– Co to jest?

Dymitr, a teraz raczej w najprawdziwszym wydaniu Ochir, uśmiechał się bardzo zadowolony z siebie. Na dnie pudełka spoczywał mongolski kapelusz, jaki kobiety noszą podczas regionalnych tańców. Był niebieski, stożkowaty, z maleńkim czerwonym pomponem na czubku. Jego brzegi obszyte były imitacją pereł.

– Przymierz – zażądał. W jego głosie brzmiał nieklamany zachwyt.

– Mam to przymierzyć? – upewniłam się.

– Tak!

– Skąd to wzięłeś? – zapytałam, wkładając kapelusz na głowę. Czułam się jak klaun.

– Kupiłem w takim specjalnym sklepie. Etnicznym? – upewnił się i popatrzył na mnie z dumą.

– Tak, w etnicznym... Dziękuję – ucałowałam go w obydwie policzki. – Ale nie spodziewasz się chyba, że będę to nosić?

– Nie, no skąd – odparł Dymitr, który na nowo stał się prawdziwym Dymitrem. – Ale zauważyłem, że w twojej pracowni stoi łyśy manekin, więc...

– Ach, rozumiem – zaśmiałam się z ulgą. – Doskonały wybór!

– A to kupiłem dla Amelii – dodał, podając mi długie pudełko.

– Lalka?

– Tak – rzekł i napuszył się jeszcze bardziej.

– Śliczna – przyznałam, choć przemknęło mi przez myśl, że lepszym prezentem dla tej dziewczynki byłaby encyklopedia albo zestaw do chemicznych eksperymentów.

– W piątek gramy koncert w Kwadracie. Będiesz? Zaśpiewam coś specjalnie dla ciebie.

– Będę! – ucieszyłam się.

Amelia przydreptała z samego rana. Kiedy zapukała, kończyliśmy pić kawę. Stała w progu ze skruszoną miną i patrzyła z nadzieją, że ją wpuszczę. Wyrzłam na klatkę schodową i rozejrzałam się uważnie.

– A tata? – zapytałam.

– Tata pojechał do Poznania. Ja jestem u babci – wyjaśniła i zerknęła w kierunku schodów prowadzących na piętro.

– Ach! Babcia pozwoliła ci nas odwiedzić – domyśliłam się i odsunęłam, żeby mogła przejść.

Bez słowa wsunęła się do mieszkania i szybko zamknęła za sobą drzwi. Na widok Dymitra jej twarz rozjaśnił uśmiech. Minęła mnie i pobiegła, by rzucić mu się na szyję.

– Napiszemy piosenkę? – zapytała natychmiast, gdy po powitalnych czułościach Dymitr postawił ją na podłodze.

– Pewnie, że napiszemy. Ale najpierw coś ci dam – odparł i poszedł do sypialni po lalkę.

Wbrew moim przypuszczeniom Amelia zachwyciła się lalką i przez następne pół godziny analizowała sposób mocowania włosów, technikę mrugania i skład chemiczny tworzywa, z którego była wykonana. Połączone buciki i falbaniasta sukienka nie robiły na niej wrażenia. Potem podeszła do mnie i dyskretnie pociągnęła za rękaw.

– Nie zjadłam śniadania...

– Nie? A dlaczego?

– Bo babcia zrobiła ześcierki.

– Ze ścierki? – moje zdumienie nie miało granic. – Co ci babcia zrobiła ze ścierki? Śniadanie?

– Tak, a ja nie lubię. Lubię leniwą mańkę. Zrobisz mi?

– Chryste – jęknęłam i wychyliłam się zza kuchennego barku. – Dymitr, chodź tu... Znasz leniwą mańkę? – zapytałam, gdy przyszedł.

– Nie, no coś ty... – zmieszał się i spojrzał na mnie jak winowajca. – Nie znam.

– Tata zna – wyjaśniła Amelia. – Sam ją wymyślił.

– To coś do jedzenia? – upewniałam się.

– Tak. Taka paćka z banana i serka. Tata gotuje to w wodzie.

– Jesteś pewna, że podałaś wszystkie składniki?

– Nie wiem.

– Zadzwońię do Juliusza – zwróciłam się do Dymitra. – Banan z serem na wrzątku? To nie może się udać.

Juliusz długo nie odbierał, ale byłam uparta. W końcu usłyszałam jego zdyszane „halo”.

– Wiem, że się śpieszysz, ale jak się robi leniwą mańkę?

– Co się robi? Przepraszam, nie dosłyszałem, tu jest straszny harmider!

– Leniwą mańkę!

– Co?

– Leniwą mańkę! – wrzasnęłam na całą kamienicę, ryzykując nalot szlafroka w kółka.

– Czekaj, zaraz... Stanę w jakimś spokojnym miejscu. Skąd wiesz o leniwej mańce?

– Jak to skąd? Amelia jest u mnie.

– Dlaczego? Przecież zaprowadziłem ją do babci.

– Ona chyba nie chce być u babci. Jedzenie jej nie smakuje, czy coś...

– Cholera, mówiłem mamie, żeby nie karmiła jej pasztetową...

– Nie, nie Juliusz, babcia nie dawała jej pasztetowej, tylko coś ze ścierki...

– Co?

– Nie wiem, co! Coś ze ścierki, a ona tego nie chciała i przyszła do nas. Chce leniwą mańkę!

– Zmiksuj jednego banana z serkiem mascarpone i jajkiem, dodaj pół szklanki mąki i wrzucaj łyżką na wrzątek. Gotuj, aż wypłyną, plus jeszcze półtorej minuty. Muszę kończyć, przepraszam. Mocz we wrzątku! Pa!

– Co mam moczyć we wrzątku?! Halo, Juliusz, halo! Cholera... Leć do sklepu – zwróciłam się do stojącego obok Dymitra. – Kup ser mascarpone i banany. Jajka i mąkę mam. Szybko!

Dymitr wyszedł i natychmiast wrócił. Z babcią Amelii. Dziewczynka ukryła się za moimi plecami i złapała mnie za nogę.

– Co ja się naszukałam! – zawołała łzawo pani Kotoń. – Tylko do łazienki weszłam, a kiedy wyszłam, już jej nie było. I dlaczego nic nie powiedziałaś? – napadła na małą. – Zacierki całkiem wystygły!

– Zacierki! – krzyknęłam odkrywczco, po czym wstawiłam się za małą. – Proszę pozwolić jej zostać. Damy jej tutaj śniadanie. Ona się świetnie bawi.

– Właśnie widzę – burknęła pani Kotoń.

– Amelio, przeproś babcię – pouczyłam.

– Przepraszam – powiedziała grzecznie mała i puściła moją nogę.

We wrzątku moczyć miałam łyżkę. W przeciwnym razie ciasto lepiło się do niej i nie chciało się odkleić. Wygląd klusek pozostawiał wiele do życzenia, ale Amelia zjadła je z apetytem. Potem usiadła w kącie z lalką na kolanach i zajęła się przeglądaniem dzieł Salvadora Dalego w dużym albumie. Spodziewałam się licznych pytań, usiadłam więc ze szkicownikiem w fotelu, żeby w razie potrzeby być w pobliżu. Dymitr dołączył do nas z gitarą i brzdąkał, co chwilę zapisując jakieś nuty. Pomyślałam, że tak mogłaby wyglądać moja rodzina. Do tej pory nie wspomniałam o Dymitrze rodzicom i właśnie teraz zaczęłam dojrzywać do przekazania tej informacji. Zamierzałam zrobić to przy najbliższej rozmowie. Moje



rozmyślania przerwała Amelia, która podniosła głowę i zapytała:

– Dlaczego ten pan ma na brzuchu szuflady?

– Taka była wizja malarza – odparłam zaniepokojona, że zaraz zainteresuje się moim wyobrażeniem świata.

– A jakie są twoje wizje? – zapytała.

Po południu, kiedy babcia odebrała Amelię, a Dymitr poszedł do klubu, wybrałam się do szpitala. Dziadek wciąż był bardzo słaby, ale na mój widok uśmiechnął się promiennie.

– Jak się dziadek czuje? – zapytałam i poprawiłam mu poduszkę.

– Jak młody bóg – powiedział. – Wszystkie pielęgniarki za mną oczy wypatrują.

– Bo dziadek niczego sobie mężczyzna – powiedziałam, nachylając się konspiracyjnie nad jego uchem. Złapał moją rękę i przyciągnął mnie do siebie.

– Dziękuję – szepnął.

– Drobiazg, nie ma za co – zbagatelizowałam. Myślałam, że dziękuję mi za poprawienie poduszki.

– Nie, nie mów tak, bo grzeszysz. A może to wtedy zgrzeszyłaś, Panu Bogu się sprzeciwiając?

– O czym dziadek mówi?

Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, jakby nie chciał mieć świadków tej rozmowy.

– Ja to widziałem, Jagódka.

– Co dziadek widział? – zapytałam, niczego nie rozumiejąc.

– Wtedy, w domu... Widziałem na łóżku siebie. Stamtąd – szepnął i pokazał palcem sufit.

– Co też dziadek opowiada? – wzdrygnęłam się.

– Ja wiem, co mówię. Wszystko pamiętam, wszystko. Jak mnie ratowałaś. Najpierw ty, potem oni. Ja to widziałem. Mieli czerwone ubrania. Ale gdyby nie ty... Już by mnie nie było.

– Może dziadkowi się zdawało.

– Et, zdawało – zdenerwował się. – Słuchaj, wiem, co mówię. Potem zrobiło się ciemno. A na dnie tej ciemności było światło. Ja do tego światła chciałem iść. I ktoś wtedy powiedział: „wracaj”. Nie wiem, kto powiedział, ale znalazłem się z powrotem na łóżku. Coś, widać; jeszcze mnie tu czeka.

Byłam wstrząśnięta opowieścią dziadka.

– Nikomu o tym nie mówiłem, ale pomyślałem, że tobie muszę powiedzieć.

Wierzysz mi?

– Wierzę, dziadku – zapewniłam. – Wierzę.

– Jagódka, ja tu w sercu – poklepał się po chudej piersi – tajemnicę noszę. Sprawy niezłałatwione mam. Dlatego nie umarłem – powiedział.

Przez chwilę milczałam.

– Niczego dziadek nie potrzebuje? – zapytałam wreszcie, żeby odejść od tych metafizycznych tematów.

– Kapatnie. Przywieź mi z domu kapatnie, bo swoich tu nie mam. Na zmianę z tamtym nosimy. – Wskazał na pacjenta leżącego pod przeciwległą ścianą. – On pierwszy chodzi do łazienki, a ja później, jak już kapatnie ciepłe. Weź kapatnie.

– Dobrze, przywiozę dziadkowi – wyjęłam kapatnie z szufladki.

Do domu dziadka pojechałam od razu po wyjściu ze szpitala. Samochód musiałam zaparkować w innej uliczce, bo pod bramą jakiś cwaniak postawił bus. Drzwi były zamknięte tylko na górny zamek, więc ofuknęłam się w myślach za roztargnienie podczas ostatniej wizyty. Kiedy weszłam do środka, usłyszałam dobiegające z kuchni męskie głosy. Zawahałam się. Widocznie Zygmunt postanowił pogospodarzyć tu trochę, wykorzystując nieobecność wuja. Zanim się ruszyłam, do przedpokoju wszedł młody człowiek. Na pewno nie był Zygmuntem, chociaż trochę go przypominał.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał, nie bawiąc się w konwenanse.

– Przyjechałam po kapatnie pana Wiesława – bąknęłam zaskoczona.

– A gdzie stary? – zdziwił się, mierzając mnie jednocześnie wzrokiem od stóp do głów.

– W szpitalu.

– Tak? A co z nim?

– Zawał.

– O? Słyszałeś? – zwrócił się do kogoś, zaglądając do kuchni. – Staruszek sercowy.

Z kuchni dobiegł czyjś grubiański rechot.

– Bierz te kapatnie i spadaj – powiedział.

– Przepraszam, ty jesteś Paweł? – odważyłam się zapytać.

– Zjeżdżaj mówię i nie kręć się tutaj – zdenerwował się. – I oddaj kapatnie – wyciągnął rękę.

– Oddam panu Wiesławowi – powiedziałam i schyliłam się po kapatnie.

– Dawaj. Sam mu oddam.

– Odniosę tam, skąd wzięłam – odparłam z uporem.

– To spadaj. Ale już! – krzyknął, widząc, że nic nie wskóra.

Schowałam kapatnie do torby i wyszłam, trzasnąwszy drzwiami.

Był już listopad w pełnej, niechlubnej krasie. Deszcz zalewał szyby i rozmazywał obraz ogołoconej akacji. W studni podwórka wiatr rozdmuchiwał resztkę nadgniłych liści, które przylepiały się do murku śmietnika. Dymitr, a może dziś bardziej Ochir, chodził po mieszkaniu jak potępiona dusza, jakby nie mógł pomieścić się w czterech ścianach. Od rana nie odezwał się do mnie ani słowem. Jeszcze niedawno próbowałambym nawiązać z nim jakiś kontakt, ale dziś już wiedziałam, że lepiej w takich chwilach zostawić go w spokoju. Dlatego umknęłam do pracowni, włączyłam radio i zajęłam się malowaniem żołnierza z medalionu. W pewnym momencie usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. Kiedy wyjrzałam z pracowni, Dymitra nie było. Czasami zastanawiałam się, czy jesteśmy razem, czy jedynie mieszkamy pod jednym dachem. Ale nie mogłam wyrzucić z pamięci wszystkich chwil, gdy było nam naprawdę dobrze. Dymitr jednak często stawał się Ochirem. Szukał przestrzeni i swobody dla swoich myśli. Zwykle wtedy wychodził i wracał po kilku godzinach. Z takich ucieczek przynosił nową piosenkę, fragmenty kompozycji, złość albo smutek. Tych dwóch ostatnich bałam się najbardziej. Czasem wydawało mi się, że szantażuje mnie swoimi humorami, chce zwrócić na siebie uwagę. Milczał wtedy uparcie, a ja trwałam w poczuciu winy.

Wyjrzałam przez okno. Deszcz nie ustawał. Sąsiad z dołu stał pod akacją, trzymając na smyczy małego psa, który ujadał na dziobiące pod śmietnikiem gołębie. Wzdrygnęłam się na samą myśl opuszczenia ciepłego domu, dlatego sądziłam, że Dymitr nie będzie miał ochoty na spacer i wkrótce wróci. Przyszedł, kiedy zapadł zmrok. Był przemoknięty i jakiś dziwny.

– Mogłeś wziąć parasol – zauważyłam, wieszając mokrą kurtkę, którą niefrasobliwie rzucił na sofę. W odpowiedzi tylko coś odburknął i zamknął się w sypialni. Pokręciłam z dezaprobatą głową i wróciłam do malowania. Przyszedł po chwili, odrzucił pędzel, który trzymałam w ręku i zaczął mnie całować. Mocno, brutalnie.

– Och, odejdz! – warknęłam, odpychając go od siebie.

Nie musiałam powtarzać mu tego dwa razy. Odwrócił się na pięcie i wyszedł do przedpokoju. Wsunął nogi w przemoczone buty, złapał w locie kurtkę i nie zważając na moje starania, by go zatrzymać, wypadł jak burza w ciemność.

– Dymitr! – zawołałam za nim rozpaczliwie, ale usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwi na dole. Przysiadłam na skraju szafki na buty i opuściłam bezradnie ręce. Taki był mój Dymitr-Ochir. Trudny, trochę niezrównoważony, porywczy. Jego brak wiary w siebie skutecznie niszczył chęć działania. Uwagi Elwiry drażniły go, pogłębiały jego kompleksy. Dymitr nie potrafił się dostosować ani podporządkować. Chciał śpiewać dla samego śpiewania, tworzyć z potrzeby ducha. Syn wiatru i przestrzeni, który dusił się w murach miasta, choć pewnie nie zdawał

sobie z tego sprawy. Nagle moje rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Zerknęłam na zegarek. Było już po dwudziestej drugiej. O tej porze mogła dzwonić tylko Agata albo on, Dymitr.

Dzwonił Juliusz. W dodatku bardzo zdenerwowany.

– Jagoda, przepraszam, że dzwonię tak późno, ale stało się coś takiego... Mogę przyjść? Jestem na gorze, u matki.

– Tak, oczywiście – zgodziłam się niechętnie. Podejrzewałam, że znów chce mi podrzucić Amelię. Nie miałam teraz głowy do zajmowania się dzieckiem.

Zapukał po kilku minutach. Był sam.

– Dobry wieczór. Jeszcze raz przepraszam – krygował się.

– Wejdz, przecież nie śpię. I tak czekam na... – przerwałam. Nie chciałam wtajemniczać Juliusza w nasze sprawy. Poza tym widziałam, że ma większe zmartwienie. – Amelia u babci? – zmieniłam temat.

– No właśnie, ja w tej sprawie. Amelii nie ma – wyrzucił jednym tchem i wypuścił resztę powietrza. Wyglądał jak sflaczały balon.

– Nie ma? – zdziwiłam się.

– Nie ma. Ktoś ją odebrał z przedszkola. Wychowawczynie nie potrafiła powiedzieć, kto to był.

– Jak to? Oddała dziecko, nie wiedząc komu? Co zrobiłeś?

– Zgłosiłem na policję, co miałem zrobić?

– Może zabrała ją matka?

– Dzwoniłem do niej. Nie odbiera. Zasugerowałem policji, że to może być jej sprawa, ale tylko sobie zaszkodziłem. Powiedzieli, że matka ma prawo zabrać dziecko, jeśli nie ma ograniczonych praw rodzicielskich.

– I nie będą szukać?

– Będą, ale mojej żony. Bo ja przecież nawet nie wiem, gdzie ona teraz mieszka. I czy to na pewno była ona. Może odebrał ją ktoś obcy, nie wiem.

– Powiedziałeś to wszystko policji?

– Powiedziałem.

– I co oni na to?

– Nic. Kazali mi dogadać się z żoną, kiedy ją znajdą.

– Moim zdaniem to skandal. W tym czasie Amelia może być już bardzo daleko. A ta wychowawczynie? Powinna zostać ukarana.

– Tłumaczyła się przypadkami, gdy po Amelię przychodziły moje koleżanki z pracy. Zdarzyło się to dwa albo trzy razy. Tylko że zawsze dzwoniłem do przedszkola i o tym uprzedzałem. Poza tym dawałem upoważnienie na piśmie. Nauczycielka myślała, że to jedna z koleżanek.

– Myślała! Ona ma wiedzieć, komu daje dziecko. A policja powinna zareagować. Może ktoś ją porwał. I co teraz?

– Nie wiem – powiedział Juliusz i wytarł chustką oczy.

– Mogę ci jakoś pomóc?  
– Nie wiem. Może masz jakiś pomysł...  
– Nie mam żadnego. Nie wiem, co w takiej sytuacji można zrobić. Szukać samemu?

– Na miłość boską, gdzie?

Rozłożyłam bezradnie ręce. Siedzieliśmy w milczeniu. Nie miałam odwagi spojrzeć Juliuszowi w oczy. Wiedziałam, jak jest mu ciężko. Mój własny problem z Dymitrem zbladł w obliczu tego, co przytrafiło się jemu.

– Napijesz się czegoś? – przerwałam niepewnie ciszę.

– Nie, pójdę już. Gdybyś coś wymyśliła, dzwoń. Pora nie gra roli.

– Dobrze, zadzwonię. Trzymaj się.

Juliusz wyszedł, a ja zostałam sama, przytłoczona jego zmartwieniem i humorami Dymitra. Wzięłam gorącą kąpiel i położyłam się do łóżka. Nie zmrużyłam jednak oka. Wsłuchiwałam się w ciszę, oczekując ruchu na schodach. Czekałam na Dymitra.

Chrobot klucza w zamku usłyszałam nad ranem. Była może czwarta lub wpół do piątej. Słyszałam, jak leje wodę do wanny, nastawia czajnik. Potem uchylił drzwi i stał w nich przez dłuższą chwilę. Udawałam, że śpię. Nagle podszedł, odgarnął mi włosy z twarzy i szepnął:

– Kocham cię, Jagoda. Cholera, kocham cię jak diabli.

Nie otworzyłam oczu. Postać jeszcze chwilę, w końcu poszedł do łazienki. Zasnąłam. Porę, o której się obudziłam, trudno nazwać rankiem. Było około południa. Obok mnie leżał Dymitr. Spał, oddychając przez uchylone usta. Drgnął, gdy wysuwałam nogę spod kołdry i zanim zdążyłam wstać, otoczył mnie ramionami.

– Nie gniewaj się, Jagoda – szepnął. Jego gorący oddech zelektryzował mnie i obezwładnił.

– Nie gniewam się przecież – mruknęłam w jego nagie ramię i... przepadłam.

Wstaliśmy naprawdę późno i tylko dlatego, że telefon darł się wniebogłosy.

– Zostaw, niech sobie dzwoni – powiedział Dymitr, przyciągając mnie do siebie.

– Może to rodzice – zaprotestowałam, próbując się uwolnić.

– Zadzwonią później, zostaw.

– Będą się martwić.

– Nie będą. Pomyślą, że...

Telefon rozdzwonił się znowu.

– Nie, Dymitr, puść. Muszę odebrać. To może być Juliusz. Ma kłopoty.

– No to idź do tego swojego Juliusza, idź – nachmurzył się.

Dzwoniła Agata.

– Jagoda, chcę ci powiedzieć, że nie będzie mnie jakiś czas, więc jeśli masz do mnie coś pilnego, to teraz.

– Wyjeżdżasz? – zapytała zdziwiona. Nic nie wspominała o takich planach.

– Tak, w poniedziałek.

– Kiedy wracasz?

– Nie pytaj, nie wiem. Odezwę się.

– Dobrze. Agata...

– Tak?

– Masz dziwny głos.

– Wydaje ci się. Do zobaczenia, pa! – zakończyła szybko rozmowę.

Odłożyła telefon. Dziwna ta Agata. Zawsze taka wesoła, a tu... Może znowu pokłóciła się z Robakiem?

– Jagoda, wyjdiesz za mnie? – dobiegł z sypialni głos Dymitra.

– Teraz? – zapytała głupio.

– To znaczy nie w tej chwili – roześmiał się.

– Przepraszam, miałam na myśli coś innego. Czy teraz musimy o tym rozmawiać?

– Chwila dobra jak każda inna – obruszył się.

Nie miał racji. Ta chwila nie była dobra. Czułam, że otacza mnie jakaś zła aura. Najpierw dziadek, potem kłopoty Juliusza, teraz ta Agata... Niby nie moje problemy, a jednak kleiły się do mnie jak glina do butów. Było mi z nimi coraz ciężiej.

Wieczorem Dymitr poszedł na próbę. Szykowali się do koncertu w Warszawie i cała Corba była tym niesamowicie przejęta. Najbardziej jednak przejmowała się Elwira. Stała się nerwowa i krytykowała najmniejsze potknięcie.

– Jak ja nie znoszę tej baby – burczał Dymitr, zakładając kurtkę.

– Nie daj się jej – poradziłam. – Nie musisz jej słuchać na każdym kroku. Zresztą też masz język i możesz coś powiedzieć.

– Ty jej nie znasz. To awanturnica. Wszystkiego się czepia.

– Awanturnica, być może. Trzeba jednak przyznać, że jesteście coraz lepsi. To, że jest wymagająca, dobrze wam zrobiło. Po innych jakoś wszystko spływa. Śmieją jej się w twarz i nic sobie z tego nie robią. Tylko ty się jej boisz.

– Nie boję się jej, boję się, że kiedyś ją uderzę. Wiecznie się czepia moich tekstów. Do tej pory pisałem to, co czułem, i były to najlepsze moje piosenki. A teraz? Szkoda gadać. Ostatnio... Zresztą, nieważne...

– Co ostatnio?

– Nic. Idę, bo się spóźnię.

Wyszedł w pośpiechu. Przez moment słuchałam tupotu jego nóg na schodach, potem trzasnęły drzwi wejściowe i zapadła cisza. Resztę wieczoru

postanowiłam spędzić u dziadka.

– Jagódka – ucieszył się na mój widok i pogłaskał mnie po włosach. – Już myślałam, że zapomniałaś o starym. Ale ty pewno czasu nie masz?

Zrobiło mi się głupio. Ostatnio nie narzekałam na brak czasu. Zleceń jakby ubyło. Dobrze, że rodzice zabezpieczyli mnie finansowo. Musiałam sięgnąć po te zasoby. Tak naprawdę mój czas pochłaniał Dymitr, poza tym nie chciałam spotkać gburowatego Pawła, który buszował w domu pod nieobecność gospodarza. Myślę, że dziadek do dziś się o tym nie dowiedział, ale nie chciałam go o tym informować. Każde zdenerwowanie mogło mu zaszkodzić.

– Tak jakoś zeszło – bąknęłam.

Mimo że dziadek opuścił szpital już jakiś czas temu, wcale nie czuł się dobrze. Był osłabiony i często odpoczywał. Odniosłam też wrażenie, że często snuł się po domu beczynnym. Dobrze, że Grażyna wpadała do niego z obiadem i drobnymi zakupami.

– Miło, że przyszedłaś, Jagódka, bo chciałem ci coś powiedzieć. Ale skoro takie dziś święto, to... – zrobił tajemniczą minę i sięgnął do szafy. Już wiedziałam, że za chwilę dostanę miętowego cukierka. – Co to ja chciałem? – mruczał przez chwilę, grzebiąc w szafie, po czym wyprostował się i spojrzał na mnie bezradnie.

– Pomogę – zaproponowałam i wyjęłam blaszane pudełko.

– Oj to, to! – ucieszył się. – Widzisz, tak schowałem, że nie mogłem znaleźć. Co młode oczy, to młode. No weź jeden i jeden daj mnie. Resztę schowaj.

Zrobiłam, jak kazał, potem obserwowałam, jak celebryje odwijanie cukierka i składanie zielonego papierka w małą kosteczkę. Włożył cukierek do ust i aż przymknął oczy, ssąc go z rozkoszą. Pomyślałam, że muszę wpadać częściej, skoro jestem pretekstem do tej jedynej radości.

– Chciał mi dziadek coś powiedzieć – przypomniałam mu. Spojrzał na mnie trochę nieprzytomnie.

– Powiedzieć... Co ja chciałem ci powiedzieć? – zastanowił się. Potem przechylił się w moją stronę i zniżył głos, jakby w obawie, że ktoś nas usłyszy: – W tym szpitalu dali mi coś takiego, że nie mam pamięci. Ale poczekaj, zaraz sobie przypomnę... Jagódka, sama widzisz, że mi bliżej na tamtą stronę – otworzyłam usta, żeby zaprzeczyć, ale powstrzymał mnie ruchem ręki. – Nic nie mów, ja wiem, czuję. Każdy chyba czuje, gdy zbliża się jego koniec. Ale nie o tym chciałem mówić. W sercu noszę tajemnicę. Chcę, żeby ktoś ją znał, żeby o tym wiedział. A komu powiem, jeśli nikogo oprócz ciebie nie mam? Ty mi teraz jesteś najbliższa, jak prawdziwa wnuczka.

Słuchałam uważnie, zastanawiając się, czy chce mi wyjawić tajemnicę Krzysia. Krążył wokół tematu, kluczył, jakby nie umiał sprecyzować własnych myśli.

– A dziadek nie ma prawdziwej wnuczki? – podsunęłam koncept, którego

mógł się uchwycić.

– Właśnie – westchnął z ulgą i spojrzął na mnie z wdzięcznością. – Może i miałbym, gdybym miał syna. Ale już nie mam. Dawno nie mam...

– Syna? – zapytałam ostrożnie. Nie chciałam go spłoszyć.

– Syna. Nikomu nie mówiłem, bo umarł biedak na zapalenie płuc. Nawet go nie poznałem. Anielcia pisała o nim w liście, kiedy się urodził. Nie mogłem wtedy przyjechać, bo oni tylko na to czekali. Wiesz, milicja i tamci z UB. Nie po myśli im było, że ktoś im się z tej komuny wymknał. Gdybym przyjechał, to bym go chował. Może nawet by nie umarł. Kto to może wiedzieć? A Anielcia przepadła.

– Jak mogła przepaść? Dlaczego dziadek jej nie szukał? – zapytałam z wyrzutem.

– To nie było tak, jak myślisz, że nie chciałem. Tylko... Ona poszła z innym. To ona nie chciała czekać. Może i miała rację, ciężko jej było.

– Skąd dziadek o tym wie?

– Skąd wiem, skąd wiem – zdenerwował się. – Zygmus mi powiedział.

– Ale o śmierci syna, skąd dziadek wie? Od Anielci?

– Gdzież tam, od Anielci. Mówię przecież, że z innym poszła. O tym też Zygmunt powiedział, jak się dowiedział, że chcę go szukać.

– Skąd Zygmus miał takie informacje?

– Miał z nimi kontakt, tak mówił. A ja teraz sobie myślę, jaki ze mnie był ojciec. Dałem dzieciakowi życie i nazwisko, więcej niczego ode mnie nie dostał. A nawet tego nie chciał. Umarł.

– Dostał życie. Choćby na krótko. To dużo.

– Życie, życie. Każdy inny mógł dać życie.

– Ale to nie byłby on, tylko ktoś inny.

– Tak mówisz?

– Jestem o tym przekonana.

– Widzisz, gdyby Anielcia nie poszła do innego, ja bym jej szukał. A tak, honor mi nie pozwala. Poszła, znaczy, że mnie już nie chciała, pocieszyła się innym. Ale syna to chciałbym mieć. Cóż, przepadło...

Dziadek zamyślił się i potarł brodę. Dopiero teraz zauważyłam, że po raz pierwszy odkąd go znałam był nieogolony.

– Dam ci coś – powiedział i podszedł do biurka. Otworzył szufladę i zaczął się przyglądać zgromadzonym tam papierom. – Co ja tu chciałem?

– Pewnie zdjęcie Krzysia – odpowiedziałam. I tak się nie domyśli, że grzebałam w szufladzie.

– Nie, co ci po zdjęciu? Dam listy od Anielci. Może poczujesz to samo co ja, kiedy czytałem je z tysiąc razy. A może wyczytasz z nich coś, czego ja nie doczytałem... Ale ja czego innego w nich szukałem.

– Czego dziadek szukał?



– Miłości.

Nie odezwałam się. Bo co mogłam powiedzieć człowiekowi, który tak niewiele jej w życiu zaznał? Dziadek wręczył mi kilka listów, po chwili dołożył jeszcze znane mi zdjęcie Krzysia.

– Weź to – powiedział. – A jak będę umierał, włóż mi do trumny. To jedyna rzecz, z którą nie chciałbym się rozstać.

Pożegnałam się i z ciężkim sercem oraz listami w torebce wróciłam do domu.

Dymitr stał w łazience przed lustrem i manipulował nożyczkami przy włosach. Natychmiast zapomniałam o dziadku i jego listach.

– Co ty robisz?! – zawołałam.

– Próbuję obciąć włosy, ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Zwariowałaś? Po co chcesz ścinać włosy?

– Muszę zmienić wizerunek.

– Jakbym słyszała Elwirę – mruknęłam. – Dymitr – zaczęłam łagodnie. – Bądź sobą. Nie zmieniaj niczego na siłę tylko dlatego, że komuś się to nie podoba.

– A komu się nie podoba? – zdziwił się.

– Nie wiem. Elwirze?

– Elwirze nie musi się podobać. Nic mnie to nie obchodzi. Sam to wymyśliłem.

– W takim razie nie będę się wtrącać. Rób co chcesz.

Rzucił nożyczki i wrzasnął:

– Cholera, nie wiem, co chcę! Nie wiem! W sobotę mam koncert. Nie umiem się ubrać, nie umiem stać na scenie, nie umiem się uśmiechać! Nie umiem się wykreować! I nie będę sobą, jeśli się tego wszystkiego nauczę!

– Nie musisz się tego uczyć, Dymitr. Teraz jesteś sobą.

– Nie jestem, do cholery, żaden Dymitr! Wszystko we mnie zmieniacie, wszystko! Nawet imię!

– Przepraszam, Ochir.

– Ochir. Teraz już nie jestem nawet Ochir. Nie wiem, kim jestem. Jagoda, nie wiem, kim jestem!

Podeszłam do niego i objęłam go w pół. Staliśmy tak naprzeciw lustra, w które nie śmieliśmy spojrzeć, żeby nie spotkać nawzajem swoich oczu. Przez cienką koszulę czułam bicie jego serca. Moje serce. Bo on cały był mój, ten Dymitr. Ochir.

– Pomóż mi, Jagoda – powiedział cicho. – Nie umiem tak żyć.

Podniosłam czarną gumkę spoczywającą na półce i związałam mu włosy.

– Spójrz w lustro. Taki jesteś. Takiego cię pamiętam, takiego namalowałam i nazwałam Dymitrem. Takiego pokochałam.

– Kochasz mnie, Jagoda?

- Tak.
- Będziesz ze mną?
- Będę... Ochir.
- Dymitr.
- Będę, Dymitr.

Rozłożyłam listy na podłodze i ułożyłam je chronologicznie. Nie było ich wiele. Jeden z lipca pięćdziesiątego drugiego, kolejne z listopada, z grudnia, z lutego pięćdziesiątego trzeciego, z marca, z czerwca i ostatni z października pięćdziesiątego trzeciego roku. Siedem listów. Przebiegałam ich treść wzrokiem, zatrzymując się tylko na bardziej istotnych fragmentach:

*12 lipca 1952 r.*

*Kochany Wiesiu. Nie ma cię prawie miesiąc, a ja nie mogę sobie miejsca znaleźć. Lato przyszło, ludzie chodzą parami, trzymają się za ręce i tylko ja sama, jak ten palec. Przy Sosnowej nowy sklep otworzyli i teraz bliżej nam po chleb chodzić. Ta sąsiadka, co pod nami mieszkała, wyprowadziła się z mężem do Nowej Huty i mieszkanie przez chwilę stało wolne. W urzędzie powiedzieli, że gdybyś był na miejscu, to moglibyśmy się o nie postarać. Teraz już nowi lokatorzy tam mieszkają, więc wszystko przepadło. Mama wczoraj się potknęła i wykręciła nogę, więc wszystko teraz na mojej głowie. Wyobraź sobie, że udało mi się kupić skórzane buciki z wyprzedazy. Tak się cieszyłam, ludzie brali jak świeże bułeczki. Dopiero w domu okazało się, że wszystkie buty były lewe i nie nadawały się na eksport. Dzisiaj byli tu jacyś dwaj mężczyźni i czegoś chcieli szukać, ale mama powiedziała, żeś tu nigdy nie mieszkał, to i szukać nie mają czego. Boję się, że do ciotki, gdzieśmy mieszkali, pójdą. Ale co oni tam mogą znaleźć? Powiedzieli mi, że jak wrócisz, to ci nic nie zrobią. Wracaj, Wiesiu, tęskno mi za tobą...*

*19 listopada 1952 r.*

*Kochany Wiesiu, nie wiem, dlaczego nic nie piszesz. Wysłałam do ciebie już dwa listy i nie ma żadnej odpowiedzi. A ja tak czekam, zwłaszcza teraz, gdy dowiedziałeś się takiej rzeczy. W tamtym tygodniu byłam wzywana na komisariat. Mówili mi, że musisz wrócić, skoro będziesz ojcem i żebym cię do tego gorąco namawiała. Mówią, że nic ci nie zrobią. Wracaj, Wiesiu. Bardzo mi tęskno. Napisz choć parę słów, bo nie wiem, czy mam pisać i czy jeszcze tam jesteś, bo...*

*20 grudnia 1952 r.*

*Kochany Wiesiu, dziękuję za paczkę, którą nam przysłałeś. Na święta bardzo się przyda, choć i tak myślę, że ktoś ją otwierał, bo brakowało tych rzeczy, o których pisałeś. Święta smutne będą bez Ciebie. Bardzo ucieszyłam się z sukienki, ale na razie nie mogę jej nosić. Złożę na wiosnę, kiedy będzie po wszystkim. Pytasz, jak się czuję. Ciężko mi i nie tylko dlatego, że dziecko noszę, ale dlatego, że Ciebie nie ma. I już Cię prosić nie mam siły. Tutaj spokoju nie ma, ciągle pytają o Ciebie. Mówią, że jesteś wrogiem narodu, boś uciekł jak zbieg i Polskę zdradził. Znajoma, z którą do szkoły chodziłam, dzisiaj na moje powitanie nawet nie odpowiedziała, tak się boi zadawać z żoną zdrajcy. A kobiety, które do mnie z sukienkami do poprawki przychodziły, też już nie przychodzą. Ja tak nie myślę*

*o Tobie, tylko powtarzam, co ludzie mówią, że taki los nam zgotowałeś...*

*26 lutego 1953 r.*

*Wiesiu, masz syna. Urodził się siedemnastego lutego. Dałam mu na imię Krzyś. Zdecydowałam sama, bo i kogo miałam o to zapytać? I teraz myślę, jak mu bez ojca przyjdzie żyć? Ciężko mi...*

*6 marca 1953 r.*

*Wiesiu, dziś u nas słońce zaszło, ale od jutra już będzie pogoda. Ludziom lżej będzie, jak ciężkie paltro schowają do kufra. A u ciebie też ptaszki śpiewają? Aniela.*

Przeczytałam ten list jeszcze dwa razy. Tylko tyle? Czy Aniela postradała zmysły? Dlaczego pisze o pogodzie? To idiotyczne – wydawać pieniądze na znaczek, żeby mu takie rzeczy pisać. Może o cenzurę chodziło? Wzięli ją pod lupę i ona o tym wiedziała. Pewnie to jakaś przenośnia, na przykład, że ludzie o czymś mówią. *Palto do kufra...* To jak dziecko do szuflady, a stare dziecko do trumny, jak to wymyśliła Agata. Szkoda, że jej tu nie ma. Razem może byśmy na coś wpadły. Zaraz... Kiedy Aniela pisała ten list? Szóstego marca. Co takiego działo się na początku marca?

*17 czerwca 1953 r.*

*Drogi Wiesiu. Pisz teraz na adres cioci Bogumiły z Częstochowy. Musiałyśmy opuścić z mamą nasze miasteczko, bo trudno było wytrzymać te szykany ludzi. Wujek, który w urzędzie pracuje, poradził, żeby na stałe wynieść się z naszego miasta, bo inaczej nigdy nie będę miała spokoju. Ty nie chcesz wracać, a ja nie mogę tak żyć. W tamtym tygodniu do Krakowa musiałam jechać, żeby stawić się na komisariacie. Wypytywali mnie o Ciebie. Ja chcę żyć spokojnie i naszego Krzysia wychować. Już sama nie wiem, co robić...*

*27 października 1953 r.*

*Drogi Wiesiu. Krzyś rośnie i pięknie się uśmiecha. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć. Jutro wyjeżdżam z Częstochowy. Znajomy załatwił mi pracę w fabryce odzieży. To taki duży zakład, przy którym jest złobek. Mama wróciła do domu i teraz sama muszę sobie poradzić. Najważniejsze, że nikt mnie tam nie zna i nie będzie prześladował. Nie pisz do mnie. Nie chcę mieć znowu kłopotów. Może kiedyś wrócisz i zobaczysz Krzysia...*

Odłożyłam ostatni list i zamyśliłam się. A może by tak pojechać do Zygmunta i wypytać go, jak było naprawdę? Skoro miał kontakt z żoną Wiesława i jego synem, może wie, gdzie ona jest. Gdzie pochowano jego syna? A może dziadek powinien spróbować jeszcze raz z nim porozmawiać? Nonsens. Jeśli kłamie, ma w tym swój cel, ponieważ chodzi mu o spadek.

Znów pomyślałam o Agacie i zerknęłam na telefon. Przecież mogę do niej zadzwonić. Chyba nie wyjechała na koniec świata? Wybrałam numer, ale natychmiast odezwała się automatyczna sekretarka.

Zrezygnowana spakowałam listy do kopert, potem poszłam do pracowni

i zajęłam się lotnikiem z medalionu.

Dymitr bawił w Warszawie, gdzie po raz pierwszy miał koncert. Spodziewałam się go dopiero jutro. Miałam więc cały dzień na malowanie. Jeśli udałoby mi się sprzedać obraz, zarobiłabym parę groszy. Ostatnio krucho było z pieniędzmi. Nawet zasoby pozostawione przez rodziców znacząco stopniały. Niewiele miałam zleceń, ale pochłonięta Dymitrem, przestałam się o nie starać. Postanowiłam wziąć się w garść i w najbliższym czasie wybrać się do Konrada. On zwykle miał coś w zanadrzu. Liczyłam też na grudniowe upominki w postaci portretów pod choinkę.

Okolo szesnastej przyszedł Juliusz. Po minie widziałam, że nie jest dobrze. Mimo to zapytałam:

– Znalazłeś Amelię?

Pokręcił tylko głową i usiadł ciężko na sofie.

– Minęły cztery dni i dalej nic?

– Nic.

– A twoja żona?

– Namierzyl ją. Jest w Holandii. Nie odbiera telefonów.

– Czyli nic jeszcze nie wie?

– Albo dobrze wie i dlatego nie chce ze mną rozmawiać. Policja zabrała się za poszukiwania. Nie wiem, co ze sobą robić – powiedział i spojrzał na mnie z nadzieją, jakby spodziewał się, że znajdę złoty środek na odnalezienie dziewczynki.

– Juliusz, nie możesz się załamywać. Może dziś, jutro ją znajdą. Musisz wierzyć, że nic złego się nie stało – usiłowałam go pocieszyć, choć sama byłam przerażona tym, co podpowiadała mi wyobraźnia. Dlaczego spotkało to Amelię?

– Nigdy nie byłem tak bardzo bezradny. Najgorsza jest bezsilność, to, że nic nie mogę zrobić. I ten strach na samą myśl, co mogło się stać z moim dzieckiem.

– Wiem, Juliusz, wiem – powiedziałam cicho, choć nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co może przeżywać ojciec porwanej pięciolatki.

– Jagoda, nie masz pojęcia, jak potrzebuję czyjejś obecności, ciepła. Zostałem sam jak palec. Byłem u matki, ale ona tylko płacze po kątach i łyka tabletki na uspokojenie. Przytul mnie, proszę. Jest mi cholernie ciężko...

Usiadłam obok niego i położyłam głowę na jego ramieniu. Przygarnął mnie do siebie tak mocno, że aż bolało.

– Będzie dobrze, zobaczysz – powtarzałam beznamiętnie, sama nie bardzo w to wierząc. Tyle się teraz słyszy o porwaniach, gwałtach, zabójstwach. Ciarki przebiegły mi po plecach na samo wspomnienie tego, co czytałam w gazetach.

– Musimy w to wierzyć – szepnął Juliusz i przycisnął mnie jeszcze mocniej.

Tak zastał nas Dymitr. Drzwi nie były zamknięte na klucz, wszedł więc po cichu, niczym kot. Być może chciał zrobić mi niespodziankę. Na nasz widok

odwrócił się na pięcie i wypadł z domu jak wichher, pozostawiając otwarte na oścież drzwi. Nie zdążyłam nawet za nim zawołać.

Ku zdumieniu Juliusza zerwałam się jak oparzona.

– Boże, to był Dymitr! – zawołałam z przerażeniem. – Co on o mnie pomyśli?!

– Jagoda, przecież my nic takiego... Nie bój się, wytłumaczę mu.

– Wytłumaczysz? Nie znasz go. On tu nie wróci!

– Wróci. Przecież cię kocha, prawda?

– I co z tego? Ty nie wiesz, jaki on jest. Uniesie się honorem i nawet na mnie nie spojrzy.

– Nie płacz, Jagoda... Cholera, jeszcze tego brakowało... Przestań już – powiedział i wyciągnął ramiona, jakby znów chciał mnie przytulić.

– Idź już sobie! – krzyknęłam, rzuciłam się na sofę i zatopiłam twarz w ozdobnej poduszce.

Noc nie przyniosła rozwiązania. Leżałam na sofie, wodząc oczami po konturach sprzętów, które w świetle dziennym wyglądają zupełnie inaczej. Teraz nawet one były nieprzyjazne, dziwnie obce. Liczyłam tyknięcia zegara wiszącego na ścianie, zmieniającego każdą minutę w wiek. Nie wierzyłam w powrót Dymitra, jak nie wierzyłam w odnalezienie Amelii, przyjaźń Agaty, życie dziadka. Nie wierzyłam w siebie i w to, że coś dobrego mnie jeszcze spotka. Kiedy za oknem zaczęło jaśnieć, nakryłam twarz poduszką. Nie chciałam tego dnia. Bałam się go, tak jak bałam się samotności, która mnie osaczała. Nigdy jeszcze nie było mi tak bardzo źle. Ruch na schodach, trzaskanie drzwi, czyjeś głosy i warkot samochodów dobiegający z ulicy uświadomiły mi, że wokół toczy się życie. Może to jeszcze nie koniec. Wystarczy odsłonić twarz, zwlec się z sofy, zaparzyć mocną kawę. Zsunęłam nogi na podłogę, jej chłód nieco mnie orzeźwił. Poszłam do łazienki. Twarz w lustrze w jednej chwili opowiedziała mi o minionej nocy. Zrzuciłam z siebie wymięte ubranie i zanurzyłam się w wannie. Muszę się pozbierać. Przepraszę Juliusza, odnajdę Dymitra i wyjaśnię mu wszystko. Odwiedzę rodziców Agaty. Może od nich dowiem się, gdzie ona jest. Pójdę do Konrada i postaram się o nowe zlecenia. Zacznę pracować. Nie wiem jeszcze jak, ale go znajdę. Natłok spraw, optymizm, który miałam po matce, i stanowczość odziedziczona po ojcu pobudziły mnie do działania. Zaczęłam od kawy. Usiadłam przy stoliku i położyłam przed sobą kartkę, po czym rozejrzałam się za długopisem. Zamierzałam wypunktować wszystko, od spraw najpilniejszych. Tak robiłam zawsze na studiach, gdy spiętrzały się obowiązki. Wtedy usłyszałam chrobot klucza w zamku. Dymitr stanął w drzwiach salonu i przyglądał mi się beczelnie. Chwiał się na nogach i mogłam dać głowę, że spędził tę noc na pijaństwie.

– Już sama? – zapytał kpiąco. – A gdzie kochaś?

W jednej chwili mój zamiar przeproszenia go czy choćby wyjaśnienia uleciał

w niebyt.

– Kretyn – mruknęłam wbrew sobie, bo przecież nie chciałam nowej wojny.

Nie odezwał się więcej. Wszedł do sypialni i wyciągnął z szafy wielką torbę. Kątem oka obserwowałam, jak opróżnia swoje szuflady, zbiera drobiazgi z nocnej szafki. Milczałam tylko dlatego, że zdrętwiałałam i nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Siedziałam oniemiała nad pustą kartką z zawieszonym w dłoni długopisem. Myśli goniły w takim tempie, że żadnej z nich nie potrafiłam zatrzymać. Co mam teraz zrobić? Jeśli pozwolę mu odejść, stracę go na zawsze. Jeśli zacznę płakać, poczuje się silny i będzie mnie upokarzał. Jeżeli zrobię mu awanturę, nie pozostanie mi dłużny. Nie będzie też słuchał moich tłumaczeń. Jedynym sposobem na rozwiązanie tej sytuacji jest spokojna, zasadnicza rozmowa. Postanowiłam zaryzykować, choć on może nie będzie chciał wziąć w niej udziału. Zgrzyt suwaka torby uświadomił mi, że Dymitr zakończył pakowanie. Wyniósł torbę do przedpokoju, oparł się o ścianę i patrząc na swój portret, który dał mi w prezencie, choć był mojego pędzla, zapytał:

– Sprzedasz mi ten obraz?

– Jest bardzo drogi – odparłam, nie odrywając oczu od kartki.

– Nie szkodzi. Stać mnie na to – powiedział z butą.

– To jest tylko kopia, nie opłaca się go kupować.

– Co? – nie zrozumiał.

– Ceną jest wyłącznie oryginał. Mogę ci go wymienić. Dla mnie to znakomita okazja, bo zależy mi na oryginale.

– Skąd ci wezmę oryginał? – naburmuszył się, patrząc mętnie na obraz. Wypity alkohol wyraźnie mu nie służył.

– Stoi w przedpokoju oparty plecami o ścianę. Należy do ciebie. Możemy się wymienić.

Oderwał się od ściany i obejrzał za siebie. Mimo całego dramatyzmu sytuacji, uśmiechnęłam się lekko.

– Tu nic nie ma – bąknął z głupią miną.

– Jest.

– Gdzie?

Wstałam z miejsca i podeszłam do niego.

– Tutaj, głupku – klepnęłam go w czoło i spokojnie wróciłam na swoje miejsce. Przez chwilę patrzył zbaraniały, potem jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu pełnym zrozumienia.

– A! Oryginał! Jasne! – zawołał i również klepnął się w czoło. – Chcesz oryginał? Serio?

– Tak. Połóż go w sypialni na łóżku, potem możesz sobie zabrać kopię ze ściany.

Dymitr pokręcił głową i zaniósł się od śmiechu. Nagle jednak podniósł torbę,

spoważniał i wypalił:

– Jego też malujesz?

Oślupiałam. To, co z pozoru przyszło nad podziw łatwo, nagle wymknęło mi się z rąk.

– Usiądź, Dy... – chciałam nazwać go tym nieszczęsnym, wymyślonym imieniem, ale nie byłam pewna, czy sobie tego życzy. – Usiądź, proszę. Chcę z tobą porozmawiać.

Odstawił torbę i padł na sofie, jakby czynił łaskę.

– Słucham – powiedział nieprzyjemnym tonem.

Siliłam się na spokój, choć sporo mnie to kosztowało.

– Zmień ton, proszę. Nie zamierzam błagać cię, żebyś został. Masz wolną wolę i zrobisz, co uważasz. Nie mam ochoty też ci się z niczego tłumaczyć, bo tak naprawdę nie ma ku temu powodu. Wystarczy, że wysłuchasz, co się wydarzyło, a potem podejmiesz decyzję.

Byłam z siebie dumna. Zachowałam się jak ojciec. Dobrze, że nie odezwał się we mnie porywczy charakter mamy.

– Mów, słucham – powtórzył i łypnął na mnie okiem.

– Znasz Juliusza, prawda?

– Tego zniewieściałego dupka? – zapytał. Widocznie złość w nim jeszcze nie okrzepla. – Znam.

– Gdybyś nie widział tylko czubka własnego nosa, powstrzymałbyś się od podobnych uwag – powiedziałam wyniośle. – Juliusza spotkało nieszczęście.

– I przyszedł pocieszyć się w twoich ramionach? – zauważył uszczypliwie.

– Idiota – burknęłam na tyle głośno, żeby usłyszał. Spojrzał na mnie z ukosa, po czym zaczął kiwać z politowaniem głową, jakby czekał, kiedy skończę. – Ktoś porwał Amelię – dodałam mocno.

W Dymitra jakby piorun strzelił. Zerwał się z miejsca i wybałuszył na mnie oczy.

– Kto?! – krzyknął, aż zadrżało powietrze. – Kto, do cholery?!

Wiedziałam, że jest do małej przywiązany, ale nie przypuszczałam, że aż tak bardzo.

– Siadaj – powiedziałam spokojnie. – Nie wiemy, kto. Szuka jej policja. Juliusz wychodzi z siebie z rozpacz.

– Niech ja dorwę gnoja – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Potem wstał i, trzaskające szufladami komody, rozpakował torbę. Kiedy skończył, podszedł do mnie i powiedział:

– Znajdę ją, choćby pod ziemią.

– Przestań mówić takie rzeczy! – zawołałam z przerażeniem.

– No nie... Nie to miałem na myśli. Tak mi się powiedziało. Ale będę jej szukał.



Potem pogrzebał w kieszeni i podał mi kopertę.

– Weź, to dla ciebie.

– Co to jest? – zapytałam.

– Honorarium za koncert.

Byłam zdziwiona, że zarobił aż tyle.

– Nie doceniasz nas – rzekł chełpliwie. – Będziemy nagrywać płytę.

– Gratuluję – ucieszyłam się. – Jednak Elwira jest skuteczna.

– Może, ale to jędza – uciał krótko.

Dzięki temu zastrzykowi gotówki, po południu mogliśmy wybrać się po zakupy. Lodówka świeciła pustkami i warto było ją uzupełnić. W najbliższym sklepie był tłum ludzi, pojechaliśmy więc do sąsiedniej dzielnicy. Zaparkowałam w jakiejś uliczce i dalej ruszyliśmy pieszo. Przez całą drogę milczeliśmy, bo wobec porwania Amelii wszystkie tematy wydawały się nam banalne i nieważne. Zakupy trwały długo. Towar z półek wybieraliśmy starannie, żeby potem nie wyrzucać połowy niepotrzebnych produktów. Mimo to wracaliśmy obładowani jak wielbłądy. Pojechałam bocznymi ulicami, żeby uniknąć korków. Chodnikiem szła kobieta z małą dziewczynką wzrostu Amelii. Zwolniłam, żeby móc dłużej na nie popatrzeć. Serce ścisnęło mi się z tęsknoty. Dymitrowi chyba też, bo wymieniliśmy spojrzenia. Dziewczynka szła spokojnie, trzymając kobietę za rękę. Na głowie miała duży, zielony kaptur od nieprzemakalnej kurtki. Wyglądała tak wdzięcznie, że mijając je, aż się obejrzałam. Serce podeszło mi do gardła. To jednak była Amelia. Nie mogłam się mylić, nie ma dwóch jednakowych dziewczynek.

– Dymitr – powiedziałam zaskakująco spokojnym głosem. – To Amelia.

Przyhamowałam, ale zaraz ruszyłam do przodu.

– Podjadę jeszcze kilka metrów i zatrzymam się koło latarni. Nie spuszczaaj ich z oka – powiedziałam półgłosem. Poczekaliśmy w aucie aż nas miną. Kobieta prowadziła Amelię, nie spodziewając się niczego złego. Nagle skręciła do jednego z bloków i przystanęła w poszukiwaniu kluczy. Dymitr spojrzał na mnie i dał znak głową. Wysiedliśmy błyskawicznie i ruszyliśmy za nimi. Złapaliśmy je w momencie, gdy kobieta otwierała drzwi.

– Amelia! – zawołałam i przyklęknęłam na mokrym betonie. Dziewczynka szarpnęła się i momentalnie jej ręce znalazły się na mojej szyi.

– Jagoda! Jagoda! – wołała, śmiejąc się i płacząc równocześnie. Kobieta stała oszołomiona. W pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje. Potem złapała małą za ramię i rozkazała:

– Amelia, do domu!

Dziewczynka wygięła buzię w podkówkę, a broda zatrzęsała się w hamowanym płaczu.

– Chwileczkę – wtrącił się Dymitr. – Do jakiego domu?

– A pan to kto? – zapytała zaczepnie kobieta i nie czekając na odpowiedź,

zwróciła się do małej:

- Chodź, Amelia.
- Dymitr – pisnęła Amelia i teraz jemu z kolei rzuciła się na szyję.
- Ona nigdzie z panią nie pójdzie. Jakim prawem porwała pani dziecko?
- Ja? Porwałam?! – zawołała ze świętym oburzeniem. – Nikogo nie porywałam! Chryste Panie – przeżegnała się szerokim krzyżem. – Gdzieżbym ja... Jestem jej opiekunką!
- Jaką opiekunką? Kto panią zatrudnił? – nie wytrzymałam.
- Spojrzała na mnie spłoszona.
- Jak to kto? Matka Amelii. Pani Kotoniova.
- Spokojnie. Paula Kotoń? Czy to ona kazała pani odebrać kilka dni temu dziecko z przedszkola?
- Taka była umowa. Miałam odebrać ją z przedszkola i zająć się nią przez kilka dni. Przecież matka wyjechała do Holandii i nie miała komu zostawić dziecka.
- Nie mówiła, że Amelia ma ojca, który się nią opiekuje?
- Pani! Jakiego ojca? Tego alkoholika?
- Dobrze – powiedziałam ugodowo. – Pani... Jak pani na imię?
- Sabina – podpowiedziała Amelia, szczęśliwa w ramionach Dymitra.
- Pani Sabino – powiedziałam ostrożnie w obawie, żeby Amelia ze swoją wrodzoną uczciwością nie próbowała niczego prostować. – Ja jestem ciotką Amelii, a to mój mąż, jej wujek. Chętnie zaopiekujemy się małą do powrotu jej mamy.
- Mowy nie ma. Pani Paula mi zapłaciła i kazała strzec jak oka w głowie.
- Proszę zatrzymać te pieniądze i o nic się nie martwić. My to z Paulą załatwimy, a dziecko na pewno lepiej poczuje się w rodzinie. Prawda, Amelio? – zwróciłam się do małej, która z zapalem pokiwała głową.
- Nigdy! – podniosła głos kobieta. – Jakże tak, obcym ludziom? Skąd mam wiedzieć, że pani jest jej ciotką?
- Amelko, powiedz pani – zwróciłam się do małej – jestem twoją ciotką?
- Dziewczynka pokiwała tylko głową i przytuliła się do Dymitra jeszcze mocniej.
- Ja tam dzieciakowi nie wierzę. Matka kazała pilnować. Chodź, Amelia – powtórzyła znowu, usiłując wyrwać dziecko Dymitrowi.
- Proszę zabrać ręce – zaprotestował ostro, po czym zwrócił się do mnie: – Dzwon po Juliusza.

W tym samym czasie, kiedy dzwoniłam do Juliusza, roztrzęsiona kobieta wezwała policję. Radiowóz przyjechał pierwszy i wysiadło z niego dwóch policjantów.

- Dokumenty proszę – odezwał się jeden z nich, zanim zdążyliśmy się

odezwać. Ja i Dymitr okazaliśmy je natychmiast, kobieta nie miała ich przy sobie.

– Muszę pójść do domu. Tutaj mieszkam. Niech panowie dzieciaka pilnują – przykazała policjantom i zniknęła w drzwiach.

– Ona porwała dziecko – próbowałam wyjaśnić, ale policjant spojrzał na mnie z naganą.

– Chwileczkę. Jak wróci obywatelka z dokumentem, wtedy będziemy wyjaśniać.

– Dobrze, poczekam – mruknęłam potulnie.

Opiekunka wróciła w kilka minut, cała zziębnięta.

– Więc słucham, o co chodzi? – zapytał, kiedy ten drugi spisywał nasze dane.

– Panie! – zaczęła kobieta i złapała się za serce. – Ja przez nich mało zawału nie dostałam. Dziecko chcą mi odebrać. A ja ich wcale nie znam!

– Po kolei, obywatelko. Po kolei – pouczył ją flegmatycznie policjant i rzucił okiem na Dymitra. – To pańskie dziecko?

– Nie – odparł Dymitr i przytulił małą.

– Pani? – zapytał z kolei kobiety.

– Tak jakby. Jestem opiekunką. To znaczy nianią.

– A czyje jest dziecko? Pani? – zapytał i spojrzał na mnie.

– Nie, ale...

– Ja powiem – zamachała rękami kobieta i już nabrała powietrza, gdy nieopodal zatrzymał się z piskiem opon samochód Juliusza.

– Amelia! – wołał już z daleka. – Nareszcie, znalazłaś się! Kochanie!

– Tata! – pisnęło dziecko, uwolniło się z objęć Dymitra i rzuciło wprost w ramiona Juliusza, który natychmiast chwycił ją na ręce i zaczął obsypywać pocałunkami. Następnie podszedł do policjanta i wyciągnął do niego rękę.

– Dziękuję! Bardzo dziękuję. Znaleźli panowie!

– Dokumenty – mruknął służbowo policjant i zdezorientowany powiódł wzrokiem po naszych twarzach. Ten drugi popatrzył na wszystkich groźnie.

Juliusz, nie wypuszczając z objęć małej, przeszukał wolną ręką kieszenie, po czym podał dowód osobisty, który stróż prawa uważnie przestudiował.

– Ja zgłaszałem... Zgłaszałem zaginięcie dziecka. Nazywam się Juliusz Kotoń. Zgłaszałem kilka dni temu... Na pewno jest to zgłoszenie, niech pan sprawdzi – jękał się, przyciskając Amelię do siebie.

– Chwileczkę – przerwał mu policjant, wszedł do radiowozu i połączył się z centralą. Co pewien czas zerkał na Juliusza. Drugi policjant wyraźnie nas w tym czasie pilnował. Nie odzywał się ani słowem.

– Rzeczywiście było takie zgłoszenie – powiedział policjant z radiowozu.

– Nie dam dziecka pijakowi – wtrąciła się piskliwym głosem opiekunka i złapała się pod boki. – Matka kazała pilnować!

– Proszę obywatelkę do radiowozu – zwrócił się do niej policjant. –  
Obywatela Kotonia też. Wyjaśnimy wszystko na komendzie.

Na początku grudnia spadł pierwszy śnieg. Sypał wielkimi, lepкими płatami, czepiając się gałęzi drzew i parapetów. Siedziałam nad ilustracjami do nowej książki, którą podsunął mi Konrad. Chociaż nie była to moja ulubiona praca, cieszyłam się, że mam zajęcie, które przyniesie jakiś zarobek. Dymitr wprawdzie dostawał niemałe pieniądze za koncertowanie, ale były to nieregularne wpływy i nigdy nie wiedzieliśmy, czym będziemy mogli dysponować. W dodatku planowaliśmy ślub. Kiedy poinformowałam rodziców, nie chcieli o tym słyszeć.

– Jagoda – mitygował ojciec – to nierozsądne. Nawet nie znamy tego człowieka. Kim on jest? Czym się zajmuje? Czy ty na pewno dobrze się zastanowiłaś?

– Jagódko! – wołała histerycznie w słuchawkę mama. – Ja się nie zgadzam! Kategoriecznie się nie zgadzam! Na pewno wybierzesz jakąś rozwleczoną kieckę do ślubu! I kto ci welon upnie?! Proszę cię, nie rób mi tego. Jagódka, zaczekajcie, przecież niedługo wrócimy. No i jaki on jest? Ładny chociaż? Przystojny? Kochasz go? – zasypywała mnie pytaniami.

Dymitr nie chciał w nieskończoność odkładać terminu, uznając ślub jedynie za formalność, na której mu zależało, by przypieczętować nasz związek. Przypuszczałam również, że chce żyć w zgodzie z mongolskimi zasadami.

– Szkoda, że ślub nie odbędzie się u nas, w Mongolii – powiedział któregoś dnia. – To duża uroczystość.

– Tak? – zaciekałam się. – A jak to u was wygląda?

– Nie wiem, czy wszędzie tak jest, ale w naszej społeczności dziewczyna, która jest zaręczona, nosi warkoczyki po dwóch stronach głowy, żeby było widać, że jest już zajęta. Wtedy żaden Juliusz nie podejdzie – zauważył sarkastycznie. Wciąż nie mógł mi wybaczyć tamtego przytulania.

– Też coś – zachnęłam się. – U nas chłopak dziewczynie daje pierścionek, bo takie warkoczyki noszą prawie wszystkie dziewczynki w przedszkolach.

– Wcale nie takie, bo nasze panny plotą po sześć z każdej strony, a poza tym mają jeszcze normalny warkocz z tyłu głowy – wyjaśnił.

– A co potem? Jak wygląda wesele?

– Goście ubierają się w najlepsze ubrania...

– Też mi odkrycie. Wszędzie tak jest.

– Chcesz, żebym opowiadał czy nie?

– Chcę, już ci nie przerywam.

– Nasi goście przyjeżdżają konno i przywożą prezenty osobno do domu panny młodej i do domu pana młodego. Potem pan młody i jego goście jadą do panny młodej. Okrążają na koniach jej dom i na znak szacunku wręczają jej biały szal. To takie pozdrowienie. A kucharzom dają jagnię.

– Żywe?

– Nie, nawet bez skóry, żeby można było szybko zacząć przyjęcie weselne. Pan młody zsiada z konia i składa pod słupem z chorągwią łuk i strzały, jako symbol odwagi. Wtedy podbiegają do niego dziewczęta ze strony panny młodej i szukają butelki z alkoholem, którą wcześniej ukrył pod końską grzywą.

– A to spryciarz!

– Nie spryciarz, tylko taka tradycja. A mężczyźni częstują się tabaką. Wtedy wychodzą rodzice panny młodej i narzeczony składa im wyrazy szacunku. Wesele zawsze urządza rodzina narzeczonej. Dużo się pije i śpiewa pieśni. Na pana młodego czeka próba siły, która wcale nie jest przyjemna. Musi przejść do osobnego pomieszczenia i przełamać na pół dopiero co wyjęty z wrzątku najwyższy krąg z kręgosłupa owcy. To nie takie łatwe.

– I po co on to robi?

– Przecież mówię ci, że to próba siły.

– Aha... Dziwne te wasze zwyczaje.

– Dla nas wasze są dziwne – naburmuszył się.

– To się nie żeń!

– Nie żeń się? Chodź, zaplotę ci dwanaście warkoczyków, żeby cię nikt nie ukradł.

– Nie ma mowy. Sam sobie zapleć.

Przekomarzaliśmy się i kłóciliśmy, ale w sumie czułam się szczęśliwa. Przynajmniej, jeśli chodzi o Dymitra. Ślub jednak zdecydowałam odwlec w czasie, nie chcąc robić przykrości rodzicom.

Telefon Agaty uparcie milczał, z Robakiem nie miałam kontaktu, więc tego popołudnia postanowiłam zobaczyć się z mamą przyjaciółki. Kto jak kto, ale matka powinna wiedzieć, co dzieje się z jej córką. Rodzice Agaty mieszkali w dwóch pokojach ogromnego wieżowca na ósmym piętrze. Zawsze bałam się tej windy, która zacinała się między piętrami. Kiedy zadzwoniłam do drzwi, rozległo się szczekanie psa, a potem kroki. Ktoś wyjrzał przez wizjer, ale mi nie otworzył. Stałam ogłupiała, nie wiedząc, co zrobić. Może mama Agaty mnie nie poznała i nie chce otwierać obcym? Nacisnęłam jeszcze raz dzwonek. Tym razem tylko rozszczękał się pies. Odwróciłam się i powlokłam schodami w dół.

Co się dzieje? – myślałam. – Dlaczego Agata i jej rodzina nie chcą mnie widzieć?

Na dole natknęłam się na rodziców Agaty. A więc to żadne z nich nie wyglądało przez wizjer. Więc kto?

– O, Jagoda! – ucieszyła się pani Ola. – Byłaś u Agatki?

– Nie, przecież jej nie ma. Byłam u państwa, żeby się czegoś dowiedzieć, ale nikogo nie zastałam.

Rodzice Agaty wymienili znaczące spojrzenia.

– Chodź na górę – zdecydowała pani Ola.

W windzie patrzyli na mnie dziwnym wzrokiem. Czułam się winna. Zawsze tak jest, gdy coś się dzieje, a ja nie wiem, o co chodzi. Wysiedliśmy z windy. Ojciec wydobył klucz i otworzył drzwi. Młody labrador rzucił się na mnie, kręcąc ogonem jak wiatrakiem.

– Leżeć, Afar – wydał komendę ojciec, a pani Ola zawołała w głąb mieszkania:

– Agatko, masz gościa!

– Agata jest tutaj? – zapytałam i spojrzałam zdziwiona na panią Olę.

– Tak – odparła krótko. – Jest w pokoju. Wejdz.

Nie wiem, dlaczego serce waliło mi jak młotem. Ostrożnie zajrzałam do pokoju. Agata siedziała w fotelu, tyłem do drzwi i nie raczyła się ruszyć. Na głowie miała zawiązaną fikuśnie czarną chustkę, spod której nie wystawał ani jeden włos. Podeszłam bliżej.

– Agata – odezwałam się. – Odbiło ci? Ścięłaś włosy? – Nie wiedziałam, od czego zacząć tę rozmowę.

– Mam raka, wariatko – odparła i odwróciła wzrok.

Opadłam na wersalkę, przy której stałam, i nie wiedziałam, co powiedzieć. W głowie miałam kompletną pustkę.

– Nie musisz się na mnie gapić ani nade mną litować. Idź do domu – powiedziała po dłuższej chwili. Dopiero teraz zaczął do mnie docierać jej dramat. Ta silna, odporna dziewczyna wstydziła się choroby, wstydziła się słabości, bezsilności. To nie było zgodne z jej naturą.

– Agata... – zaczęłam ostrożnie.

– Po co przysłaś? – przerwała mi. – Użalać się nade mną?

– Nie mam zamiaru się nad tobą użalać. Przyszłam, bo cię kocham jak własną siostrę, bo tęskniłam za tobą, nie wiedziałam, co się z tobą dzieje, rozumiesz? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym?

Milczała. Zerwałam się z miejsca i krzyknęłam:

– Nie mogłaś mi powiedzieć?!

Otworzyła szeroko oczy i patrzyła na mnie zaskoczona.

– Agata, na litość boską, dlaczego wykluczyłaś mnie ze swojego życia właśnie teraz?!

– Przestań krzyczeć – powiedziała, rozciągając głoski. – Myślisz, że tak łatwo dzielić się z kimś swoim bólem, przerażeniem? Myślisz, że łatwo powiedzieć komuś: Pa! Umieram. Do zobaczenia na tamtym świecie? Komuś, z kim dzieliło się wszystkie radości życia, planowało tysiące rzeczy? Myślisz, że łatwo zostawać z tyłu, coraz dalej i dalej, aż w końcu upaść i nigdy nie dogonić? Wolałabym umrzeć od razu, niż przeżywać to wszystko. Codziennie myślałam o tobie i każdego dnia bałam się coraz bardziej, że sprawię ci ból, przestraszę cię tym, co

dzieje się teraz ze mną. A wiesz dlaczego? Bo jesteś dla mnie kimś wyjątkowym...

– Boże, Agata – wyjąkałam. Przyklęłam przy fotelu i położyłam głowę na jej kolanach. – Przecież ty wyzdrowiejesz, musisz być zdrowa. Ty nigdy się nie poddajesz. Zawsze byłaś w tym lepsza ode mnie. Dasz radę.

Położyła mi rękę na głowie, wyraźnie czułam jej ciepło.

– Masz włosy – powiedziała. – Cholera, masz włosy!

Podniosłam się z kolan i usiadłam z powrotem na wysłużonej wersalce.

– Przestań, ty też przecież będziesz miała. Odrośną ci.

– Nie wiem – westchnęła.

– Zawsze odrastają.

– Nie wiem, czy zdążą.

– Nie bądź głupia. Raka można wyleczyć. A wiesz, kto umiera? Ten, kto nie wierzy w życie. Tobie się uda, zobaczysz. Tylko podnieś się z kolan, nie daj się zmóc chorobie, wygrasz. Ja ci pomogę, Agata. Będę ci robiła sok z marchewki, podobno pomaga. I będziemy chodziły na spacer... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Nie mów tak, Jagoda. Nie chcę cię zawieść. Nigdy nie zawiodłam.

Jeśli jesteś tam, Boże, uzdrów ją – błagałam w duchu tę niewidzialną moc podczas powrotu do domu. Nigdy dotąd nie uświadamiałam sobie tak namacalnie istnienia kogoś ponad nami. Błagałam tę niewidzialną istotę i nienawidziłam jej za to, że upodobała sobie właśnie Agatę, że zdecydowała ją do siebie zabrać. Miałam ochotę tłuc głową w kierownicę i wrzeszczeć na całe gardło. Tymczasem szepnęłam tylko:

– Nie odbieraj mi jej, Boże...

Dymitr zbierał się do wyjazdu. Grupa jechała do Gdańska podbić tamtejszą publiczność. Chodził po domu, zbierał swoje drobiazgi i nucił:

*Odłożę wszystko, co mam*

*niebu popatrzę w twarz i powiem*

*idę, idę do ciebie*

*przecież mnie dobrze znasz.*

*Runął ostatni mur*

*nie ma już dla mnie ścian, więc powiem*

*idę, idę do ciebie*



*przecież cię dobrze znam.*

W pierwszej chwili nie wsłuchiwałam się w słowa, ale kiedy dotarł do mnie ich sens, zacisnęłam pięści i syknęłam ze złością:

– Zamknij się, Dymitr.

Spojrzał na mnie z wyrazem najwyższego zdumienia.

– O co ci chodzi?

– Agata jest bardzo chora, rozumiesz? Nie wiadomo, co z nią będzie, a ty tu z takim tekstem...

– Skąd mogłem wiedzieć? – bąknął. – To nowa piosenka, muszę ją utrwalić... Co z Agatą? Myślałem, że jest niezniszczalna.

– Nie ma ludzi niezniszczalnych. Nie wiadomo, kiedy kogo trafi. Boję się o nią.

– Co z nią?

– Guz w głowie. Jak śliwka. Część udało się zlikwidować lekami, ale nie wszystko. Zostało jakieś trzy procent. Trzeba to dobić, ale drań jest silny. Nie można dopuścić, żeby rósł na nowo, bo będzie silniejszy i odporny na poprzednie leki.

– Chryste... I co się z tym robi?

– Nie znam się. Agata miała chemię, teraz łyka jakieś tabletki.

– Dziwię się, że wy tutaj bierzecie tak dużo leków. U nas lekarze mówią, że organizm jest zdolny się obronić. Trzeba mu przywrócić równowagę, żeby był w harmonii z naturą. I w ogóle mniej ludzie chorują. Ale tu, u was samym jedzeniem można się zatruć. I nie ma czym oddychać.

– Mówisz „u was”, a sam mieszkasz tu dziesięć lat. I też się trujesz. Na własne życzenie.

– Wiem, wiem. Przyzwyczailem się. Muszę już iść, za dwa dni przyjadę. Nie zamartwiaj się. Będzie dobrze.

Dziwne, że kiedy Dymitr powiedział „będzie dobrze”, uwierzyłam w to. W nocy śniła mi się Agata. Z długimi, rudymi włosami. Biegała boso po trawie i coś wołała, ale nie mogłam jej usłyszeć.

Ranek przyniósł deszcz ze śniegiem. Wszystko razem tworzyło błotnistą maź na ulicach i nie nakłaniało do spacerów. Od wczoraj byłam rozbita i w tej chwili nie stać mnie było na nic więcej niż gapienie się przez okno. Zwracałam uwagę na wszystko, co dotąd wydawało mi się obojętne: jedyny liść, drżący na ogołoconej akacji, gawron na murku śmietnika, przekrzywiający śmiesznie głowę, posiniąłe niebo, sypiące szczerze topniejącym w locie śniegiem. To wszystko stanowiło mój świat, tu i teraz. Niepowtarzalny, bo jutro będzie już inaczej. Ta ulotność zdarzeń i obrazów przywiodła mi na myśl Agatę, która teraz się śpieszy z patrzeniem, żeby zgromadzić jak najwięcej. Nigdy jeszcze śmierć nie czała się

tak blisko mnie. My, ludzie jesteśmy wobec niej bezsilni, dlatego odsuwamy od niej myśli. To nasza jedyna obrona. Moje rozmyślenia przerwał hałas na schodach. Krzyk kobiet splatał się z płaczem jakiegoś dziecka. Podbiegłam do drzwi i uchyliłam je, żeby zobaczyć, co się dzieje. Na półpiętrze stała pani Kotoń, trzymająca w objęciach Amelię. Nieco niżej elegancko ubrana kobieta wymachiwała rękami i krzyczała na całą klatkę schodową.

– Niech mama odda mi dziecko, bo zwołam policję!

– Uspokój się, Paula – mitygowała ją pani Kotoń. – Amelię przyprowadził Juliusz i powierzył mojej opiece. Oddam ją tylko...

– Gównu mnie to obchodzi! Skoro przyprowadził, to znaczy że nie ma dla niej czasu. Taki ojciec!

– Juliusz jest dobrym ojcem. To ciebie nigdy nie ma!

– Odda mi mama czy nie?!

– Nie. Raz ją nam zabrałaś i poleciałaś za kochasiem. A dziecko z obcą babą zostawiłaś. Taka z ciebie matka!

– Za jakim kochasiem? Zarabiałam pieniądze, bo mamy synalek tylko o niebieskich migdałach myśli. Gdyby nie ja, gryzłby tynk ze ściany i pod gołym niebem mieszkał.

– Już ty nie przesadzaj, dobrze? Nie przesadzaj!

– Przesadzam? A kto kupuje małej ubrania? Kto płaci za angielski, balet, konie? Kto przywozi prezenty? Daje pieniądze na jedzenie? Ja!

– Tak, dajesz to wszystko, tylko dzieciak miłości matczynej nie zaznał!

– A to, że haruję dla niej, żeby wszystko miała, to nie miłość?

– Taka tam miłość. Amelia rodzonej matki nie zna. Ot co!

– Właśnie chcę, żeby poznała. Żeby była ze mną, to mi nie pozwalacie!

– U mnie jej lepiej.

– Akurat. Ostatnio się skarżyła, że pasztetową musi jeść, chociaż nie lubi. Mama nie wie nawet, jak ją karmić. Mogła mama swojego synalka wychować na mężczyznę, a nie teraz za moje dziecko się bierze. Nie te lata!

– Miarkuj się, co mówisz, bo...

– Bo co? Niech mi mama odda Amelię!

– Po co? Przecież masz już nową zabawkę, nowego chłopca. Po co ci jeszcze dziecko?

– Jest moje! Kocham ją.

– Wielkie mi mecyje. Ja też ją kocham. I Juliusz też.

– Oddaj dziecko!

– Nie!

– Nie? To dzwonię po policję – powiedziała Paula i trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami sięgnęła po telefon. Amelia chlupała w rękaw babci.

Wycofałam się do mieszkania i zadzwoniłam do Juliusza. Odebrał

nadspodziewanie szybko.

– Juliusz, przyjeżdżaj. Twoja matka awanturuje się z Paulą na całą kamienicę.

– Już jadę – rzucił i się rozłączył.

Do czasu jego przyjazdu odgłosy na schodach ucichły. Widocznie pani Kotoń wróciła do domu, a Paula warowała pod jej drzwiami. Niebawem zjawił się Juliusz. Potem trzasnęły drzwi na górze i nastąpiła cisza. Po kłótni, której świadkiem stałam się niechcący, nie byłam już pewna, czy to, co mówił mi Juliusz, nie jest tylko elementem walki z żoną, która związała się z innym mężczyzną. Czy wojna o Amelię nie jest przypadkiem zazdrością o zaradność Pauli? Nie negowałam jego miłości do dziecka, ale nie mogłam też odmówić tej miłości matce. Każde z nich kochało małą na swój sposób, ale Paula miała zdecydowanie mniejsze szanse na okazywanie uczuć bezpośrednio. Kochała dziecko i chciała stworzyć jej nowy dom. Dom bez negatywnych emocji, które były udziałem dziewczynki, gdy nienawidzący się rodzice mieszkali razem.

Wciąż o tym myśląc, ubrałam się i wyszłam po marchew dla Agaty. Pojechałam aż na Kleparz w poszukiwaniu ekologicznych i świeżych warzyw. Może to nie pomoże Agacie odzyskać zdrowia, ale na pewno nie zaszkodzi, a ja będę miała poczucie, że coś dla niej zrobiłam. Nie potrafiłam siedzieć z założonymi rękami. W domu wyszorowałam dwa kilogramy marchewki i przepuściłam ją przez sokowirówkę. Sok przelałam do szklanej butelki i wstawiłam do lodówki. Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. W progu stał Juliusz. Minę miał strapioną i już wiedziałam, że coś poszło nie po jego myśli.

– Zabrała – mruknął. – Można?

– Tak, proszę – powiedziałam i zerknęłam dyskretnie na zegarek, co nie umknęło jego uwadze.

– Śpieszysz się?

– Trochę. Nic pilnego.

– To dobrze. Muszę z kimś porozmawiać, a ty znasz mnie i Amelię... I wiesz, jak jest.

– Usiądź, zrobię kawę.

– Dziękuję, piłem u matki. Paula próbuje udowodnić w sądzie, że źle zajmowałam się dzieckiem. Chce, żeby opiekę nad Amelią przyznano jej na stałe. A ja wiem, jak to będzie wyglądało. Ona wiecznie w rozjazdach, a mała u opiekunki, za którą ja będę płacił, bo Paula będzie wnioskować o wysokie alimenty.

– Skąd wiesz, że będzie o to wnioskować? Nie brakuje jej pieniędzy.

– Jak to skąd wiem? Domyślałam się. Zrobi to, żeby mi dopiec.

– Proszę, nie sądź innych po sobie. Ty pewnie tak właśnie byś zrobił. Ale jej zależy na dziecku, nie na tym, żeby pogrzyść ciebie.

– Nie poznaję cię. Zawsze stałaś po mojej stronie.  
– O nie. Nie stałam po żadnej stronie. Oceniam obiektywnie, chociaż wcale nie powinnam oceniać. Ty mnie do tego zmuszasz, mieszając mnie w to wszystko.  
– Nie mieszam cię. Opowiadam ci tylko, bo nie mam komu.  
– Właśnie. Opowiadasz. Dlatego znam tylko jedną stronę medalu. Nie dajesz Pauli Amelii, a ona też ją kocha.

Juliusz zamilkł i patrzył na mnie z uwagą.

– Masz już rozwód? – zapytałam.  
– Nie, ale wszystko jest na najlepszej drodze. Nikomu tego nie mówiłem, ale teraz, gdy mamy się na dobre rozstać, uświadomiłem sobie, że wcale, cholera, nie przestałem jej kochać. Wkurza mnie, to prawda, ale ją Kocham.

– To może spróbujcie się dogadać.  
– Ona jest z tym facetem. Poza tym i tak ciągle w podróży, nic się nie zmieni. Bolał mnie tylko jej oszczerstwa. Jak może twierdzić, że źle zajmowałem się Amelią?

– Ma w tym swój cel. Chce zawalczyć o dziecko. A ty jej nie dajesz na to szans. Przecież można to wszystko jakoś pogodzić.

– Mam ją oddać? Amelia jest do mnie przywiązana, poza tym i tak nie byłaby z matką, tylko z jakąś niańką.

– Jeśli tak uważasz, udowodnij to wszystko w sądzie.

– Ale jak?

– Są przecież świadkowie. Panie w przedszkolu, personel w przychodni, ekspedientka w osiedlowym sklepie, sąsiedzi... Wszyscy, którzy wciąż widywali dziecko z tobą, a nie z matką. To są fakty, przeciwko jej słowom. Tylko przygotuj się, że ona też będzie miała argumenty. Pewnie równie słuszne jak ty.

– Może masz rację. Zrobię tak... Będę się bronił. No dobra, dziękuję za rady. Pójdę już, śpieszysz się, nie chcę zajmować ci czasu.

– Idę do Agaty.

– O, do Agaty! Dawno jej nie widziałem.

– Agata ma guza mózgu. Potrzebuje pomocy.

– Agata? Rany boskie. Mam kumpla, który jest lekarzem. Pogadam z nim. Może ma jakieś znajomości.

– Będę ci wdzięczna. Dzwoń, jak tylko się czegoś dowiesz.

– Dobra, cześć!

Juliusz wyszedł, a jego szybkie kroki na schodach wskazywały na to, że trochę się jednak pozbierał. Zapakowałam butelkę z sokiem i pojechałam do Agaty.

Wydawałoby się, że od wczoraj nic się nie zmieniło. Ten sam fotel, ta sama chustka na głowie. Tylko w Agacie nie było już tyle buntu. Była rezygnacja.

– Zrobiłam sok z marchwi! – zawołałam od drzwi i pomachałam butelką. Agata nawet się nie obejrzała, a pani Ola pokręciła tylko głową.

– Prawie się nie odzywa – szepnęła.

Poprosiłam o dwie szklanki i weszłam do pokoju.

– Napijemy się razem? – zapytałam pogodnym głosem, choć serce kroilo mi się na jej widok.

– Daj spokój, nie będę tego piła – mruknęła, wzruszając ramionami. – Co to da?

– Przyjemność. Jest smaczny, a poza tym wypijemy go razem, jak dawniej.

– Nic nie będzie jak dawniej.

– Agata, ja wiem, że trudno zaakceptować pewne rzeczy, ale to jest życie. Nawet choroba jest jego częścią. Zawsze starałaś się być najlepsza, chciałaś we wszystkim wygrywać. To też jest gra. Dlaczego się poddajesz?

– Bo mam zbyt silnego przeciwnika.

– Skąd wiesz? Na razie ty jesteś większa od niego, masz przewagę. Nie pozwól, żeby się rozpanoszył w twoim ciele. On nie lubi soku z marchwi, a ty owszem. Pij!

Niechętnie podniosła szklankę i umoczyła usta.

– Dobry – powiedziała, uśmiechając się blado. – Wiesz, zawsze myślałam, że takie choroby dotyczą innych, a tymczasem przydarzyła się mnie. Nie mogę w to uwierzyć, że moje życie zawisło na włosku. Tyle jeszcze miałam do zrobienia.

– Dlaczego mówisz: miałam? Robota nie zając, zrobisz to.

Pokręciła głową, a jej twarz wykrzywił grymas, namiastka uśmiechu.

– Mówisz tak, bo nie czujesz tego, co ja. Łatwo pocieszać, prawda? Można poczuć się takim szlachetnym. Nie, nie – powstrzymała mnie ruchem ręki. – Wysłuchaj mnie do końca. Może zrozumiesz to, gdy pewnego dnia zadzwoni telefon i to nie będę ja, choć będziesz na to czekała. Wtedy dowiesz się, że nie pojedziemy razem do Paryża, jak planowałyśmy, nie pójdziemy na koncert, nawet nie wypijemy soku z marchewki. Będę gdzieś po drugiej stronie, gdzie dla takich jak ty, żywych, nie będzie wstępu. Zostaniesz tu i będziesz się zastanawiała, jak tam jest i czy patrzę na ciebie z drugiego świata. Widzisz? Znowu będę pierwsza. Lepsza o to doświadczenie.

– Agata, co ty mówisz? Skąd w tobie tyle okrucieństwa dla mnie, dla twojej matki, ojca...? My chcemy walczyć o twoje życie, nie dopuścić, żeby w nim ciebie zabrakło. Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać. Masz jeszcze czas, więc weź się w garść. Przestań myśleć o śmierci. Wokół ciebie jest mnóstwo ludzi, którzy cię kochają... – Przerwałam i pomyślałam o Robaku. Dlaczego nie ma go przy niej? Nie wiedziałam, czy mogę o to zapytać, czy nie zranię jej jeszcze bardziej. Jeśli teraz odszedł, to znaczy, że jest największym dupkiem, jakiego widziałam. – Błagam, pomóż nam walczyć o ciebie. Nie chcę, żeby było za późno.

Podeszłam do niej i przytuliłam jej głowę do piersi. Chustka zsunęła się, ukazując króciutki meszek na jej czaszce. Rozplakałam się. Czułam, że Agata też

trzęsie się od hamowanego płaczu. Objęła mnie wpół i tak trwałyśmy, chlipiąc i pociągając nosami. I nie to było ważne, że łączyły nas łzy, tylko to, że znów robiłyśmy coś razem.

– Obiecuję – powiedziała w końcu łamanym głosem. – Będę walczyć. Daj ten sok.

– Gdzie Robak? – wypaliłam, choć wcale nie chciałam o to pytać. Tak jakoś wyszło.

Agata spojrzała na mnie i wytarła nos.

– Poleciał do kliniki w Houston. Tam leczą takie przypadki. Wziął wszystkie zdjęcia i wyniki badań. Dzwonił wczoraj. Jest szansa, że mnie zakwalifikują.

– To cudownie! Agata! Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Bo to nie takie proste. Robak dobrze zarabia, ale i tak nie stać nas na to, nawet jeśli sprzedamy mieszkanie i obydwie samochody.

– Nie martw się. Zrobimy natychmiast zbiórkę. Są przecież fundacje...

– Tak, wiem. Robak już się tym zajął. Zbierają. Ale to ciągle mało.

– Sprzedam samochód.

– Nie możesz sprzedać samochodu ojca – zauważyła trzeźwo.

– No tak... Ale nie martw się, nie zostawię cię z tym. Na pewno coś wymyślę.

– Wiem, Jagoda.

W poniedziałek Dymitr przyjechał z Gdańska. Padł w ubraniu na łóżko i natychmiast zasnął. Zdjęłam mu buty i przykryłam kocem. Byłam ciekawa, co Corba robiła przez trzy dni, skoro wrócił tak zmaltretowany. W wolnej chwili zadzwoniłam do Juliusza.

- Posłuchaj, teraz ty musisz mi pomóc – powiedziałam bez wstępów.
- Oczywiście, jeśli tylko będę mógł – zgodził się ostrożnie.
- Agata potrzebuje pieniędzy.
- Cholera, wiesz, że u mnie krucho.
- Nie chodzi mi o twoje pieniądze. Ona potrzebuje ogromnej kwoty na leczenie. Zbiera na ten cel fundacja, Robak sprzedał samochód i zamierzają sprzedać mieszkanie. Ale to wszystko mało.
- Rozumiem. Jak mogę pomóc?
- Pamiętasz tę wystawę na rzecz promocji artystów, którą pilotowałeś?
- Jasne, pamiętam.
- Zorganizujcie coś takiego dla Agaty, błagam!
- No wiesz... To potrwa.
- No więc zacznij działać już, od zaraz. Ona nie ma czasu. Przecież ty wiesz, jak to zrobić. Ja mam kilka obrazów za szafą, chętnie je przekażę. Jestem pewna, że każdy coś ma.

– Dobra, zajmę się tym. Zawiadam znajomych, ja przygotuję informacje i roześlę, gdzie trzeba. Mimo wszystko daj mi trochę czasu. Tego się nie da zorganizować tak szybko, jak myślisz.

– Wiem o tym, ale zrób, co w twojej mocy.

Rozłączyłam się i zaczęłam grzebać za szafą w pracowni. Miałam tam pięć obrazów, których nie chciałam sprzedać ze zwykłego sentymentu. Teraz to nie miało znaczenia. Odkurzyłam je i zapakowałam w szary papier, na którym napisałam czarnym markerem imię Agaty. Zdeterminowana przesunęłam bliżej okna niedokończony portret lotnika z medalionu i wyjęłam pędzle. Jeśli go skończę, może wpaść dodatkowy grosz – pomyślałam. Dymitr wstał, gdy zapadał zmierzch. Wszedł do pracowni, przeciągając się.

– Malujesz – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak – odparłam. Pochłonięta obrazem nawet na niego nie spojrzałam. Zaraz zresztą wrócił do sypialni, pogwizdując. Słyszałam, że zadzwonił jego telefon. Dymitr odebrał i zamknął drzwi. Słyszałam tylko jego śmiech, nie rozróżniałam słów. Może, gdybym nie śpieszyła się tak z obrazem i nie zamartwiała Agatą, pokusiłabym się o podsłuchanie rozmowy. Teraz jednak tylko ratowanie Agaty było dla mnie istotne.

– Dzwoniła do mnie Karioka – oznajmił Dymitr, ponownie stając

w drzwiach.

- Tak? I co mówiła? – zapytałam obojętnie.
- Będziemy grać w sylwestrową noc na Rynku w Krakowie.
- Czyli nie spędzimy tej nocy razem?
- Dlaczego? Przecież możesz przyjść i posłuchać.
- Nie lubię takich imprez. Jest tłok, ludzie wciąż się popychają i zieją wódą.

W dodatku jest zimno. A poza tym...

- Co poza tym?
- Nie chcę się bawić, kiedy Agata, no wiesz...
- Jak chcesz. Wypijesz drinka?
- Nie. Muszę skończyć lotnika.
- Chcesz go sprzedać?
- Poniekąd. Przekażę na wystawę. Będziemy zbierać pieniądze na leczenie.

Coś tam mruknął pod nosem i wyszedł do kuchni. Po chwili wrócił ze szklanką wypełnioną alkoholem.

- To jakiś konkurs będzie? Jak wtedy?
- Nie wiem, czy będzie to konkurs. Na pewno wystawa.
- Aha – mruknął, dopił duszkiem drinka i poszedł po nową porcję.
- Co ty tak dużo pijesz? – zaniepokoiłam się.
- Nie żartuj. To dopiero druga szklanka. Nic mi nie będzie.
- A czemu przyjechałeś taki zmordowany? Nie spaliście trzy doby?
- Fakt, spaliśmy niewiele.
- Imprezowaliście trzy noce z rzędu?
- Co zrobić – mruknął z udanym dramatyзмом. – Taka praca.

Westchnęłam tylko, bo nie miałam teraz głowy do tej walki.

– Dymitr, tak sobie pomyślałam – zmieniłam temat. – Czy wy nie moglibyście zrobić koncertu dla Agaty?

- Jakiego koncertu?
- Z którego zyski przeznaczylibyście na jej leczenie.
- Pogadam z chłopakami. Jeśli się zgodzą, to czemu nie?

Skończył tę drugą szklankę i wyszedł z pracowni. Po chwili do moich uszu dobiegła często przerywana melodia. Widocznie zajął się komponowaniem. Do północy opróżnił całą butelkę żubrówki.

Robak przywiózł dobre wieści. Siedziałam akurat u Agaty, której przyniosłam sok z marchewki, gdy wszedł. Gdy patrzyłam, jak się witają, z żalu pękało mi serce. Twarz Robaka wyrażała tyle miłości, co bólu i rozpacz. Pomyślałam, że Dymitr nawet w połowie mnie tak nie kochał. Ciekawe, czy walczyłby o moje życie tak, jak Robak walczy o Agatę.

– Kochanie, piątego stycznia lecimy do Houston. Tam cię wyleczą, zobaczysz.



– A pieniądze?

– Zapłacimy pierwszą ratę, drugą po leczeniu. Będzie dobrze.

Agata uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową. Nie pytała o nic więcej. Miała zaufanie do Robaka, wiedziała, że załatwi sprawy jak należy. Staraliśmy się nie rozmawiać o chorobie. Robak trzymał jej dłonie w swoich wielkich łapskach i opowiadał wesołe historyjki, a Agata śmiała się, prawie tak samo, jak dawniej. Zaczęłam wierzyć, że wróci do zdrowia.

Kończyłam właśnie Lotnika, gdy usłyszałam trzask drzwi. Dymitr zajrzał do pracowni i oznajmił obojętnym tonem:

– W piątek wieczorem gramy w Strefie.

– W piątek? Mieliśmy pójść na wernisaż Konrada. Mówiłeś, że nie grasz w piątek.

– Gramy dla Agaty. Elwira załatwiła.

– Naprawdę?! Tak się cieszę! Chrzanić Konrada! – zawołałam i zarzuciłam Dymitrowi ręce na szyję. Kochany jesteś. I ta Elwira... Wcale nie jest taka zła.

– Jest zła – powiedział i zdjął moje ręce z szyi. – Swoją dolę bierze dla siebie. Nie obchodzi jej, co my zrobimy z kasą. Ale puściła plakaty, że to koncert charytatywny. Napijesz się?

– Nie. I ty też nie powinienes.

– Daj spokój – mruknął i poszedł do kuchni.

Lotnik był podobny do zdjęcia z medalionu, jak dwie krople wody. Malowałam go wprawdzie długo, ale efekt końcowy był bardzo dobry. Gdyby nie Agata, zatrzymałabym go dla siebie. Oczy lotnika zdawały się wodzić za patrzącym, jak żywe. Przyjrzałam się im uważniej, bo nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już natknęłam się na takie spojrzenie.

Na koncercie w Strefie zebrały się tłumy. Jedni przyszli z miłości do Corby, inni do Agaty. A Corba nie była tą samą kapelą. Zarówno wizerunek, jak i pewność siebie członków zespołu świadczyły o tym, że znajdują się w dobrych rękach. Przywitały ich gromkie brawa, które już nie robiły na nich wrażenia. Pomyślałam, że Corba zaczęła zadzierać nosa. Niedługo przekonałam się, iż ma ku temu powody. Pierwsze dźwięki gitary wywołały ciarki na plecach. Potem było już tylko lepiej. Dymitr śpiewał na zmianę z Karioką. Solistka była niezła, ale to jego witano z aplauzem, aż mury trzęsły się w posadach od oklasków. Dziewczyny podskakiwały i piszczały histerycznie. Nie przypuszczałam, że mój Dymitr ma takie powodzenie. Z jednej strony byłam dumna, z drugiej zaś poczułam ukłucie zazdrości. To był moment, w którym uświadomiłam sobie wyraźnie, jak bardzo mi na nim zależy. Tak bardzo, że zaczęłam się bać. To był lęk o Dymitra. O to, że go stracę.

– Jak pewnie wiecie, nasz koncert dedykujemy Agacie Rojewskiej – dotarł do mnie głos Bartka. – Wiemy, że zapłaciliście za bilety, ale czy widzicie tę

czapkę? To czapka Dymitra!

Publiczność zawyła i zaczęła klaskać, jego przeszłość ulicznego grajka już stanowiła część legendy zespołu.

– Puszczę ją teraz w obieg! – darł się Bartek, wymachując wytartą czapką z daszkiem. – Mam nadzieję, że będzie za mała na to wszystko, co chcecie do niej wrzucić! Ale nie martwcie się, mamy więcej czapek! Damy radę!

– Dy-mitr! Dy-mitr! – skandowała publiczność wśród gwizdów i oklasków.

Zamilkli natychmiast, gdy zabrzmiały pierwsze słowa:

*Nienawidzę tulipanów*

*Wiosny*

*Tego wszystkiego*

*Czego nie zobaczysz.*

Tak śpiewał Dymitr, a moje serce skurczyło się z bólu.

– Agata – szepnęłam – nie rób mi tego, do cholery. Żyj!

Zanim Dymitr skończył kolejną piosenkę, jakiś chłopak wskoczył na scenę i postawił przed nim wypełnioną czapkę. Prócz pieniędzy były tam też liściki do Agaty, które Corba obiecała przekazać. Byłam naprawdę wzruszona.

Następnego dnia zadzwonił Juliusz i powiedział, że wystawę da się zorganizować już w połowie stycznia, tyle że musiałyby to być w Warszawie. Zgodziłam się. Chodziło o czas. Wtedy Agata będzie już w Houston. Oczami wyobraźni widziałam ją już zdrową i cieszyłam się, że mogę do tego przyłożyć rękę.

Pochłonięta chorobą przyjaciółki, nawet nie zauważyłam, że zbliżały się święta. Codziennie biegałam do Agaty z wyciśniętym sokiem, choć prócz mnie nikt nie wierzył w tę marchewkę. Z każdą wizytą siedziałam u niej krócej, Agata słabła w oczach. Do dziadka wpadłam tylko na chwilę, by zwrócić medalion i sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje. Z tego wszystkiego prawie zapomniałam o choince. W ostatniej chwili wysłałam po nią Dymitra.

– Co za pomysły – burzył się pod nosem. – W Mongolii nikt nie zabiera drzew do domu.

– Powinieneś się przyzwyczaić – ofuknęłam go. – Jeśli trafisz między wrony, musisz krakać tak jak one – przytoczyłam stare przysłowie i wypchnęłam go za drzwi. Z sentymentem wspomniałam ubiegłoroczne święta, które spędziłam z Agatą i jej rodziną. Teraz stałam nad książką z wigilijnymi przepisami, gdy w drzwiach rozległo się chrobotanie. Dymitr przytaszczył krzywy świerk z wyłysiałym czubkiem. Skrzywiłam się.

– Ładniejszych nie było – oświadczył, widząc moje spojrzenie, i oparł drzewko o ścianę. – Obwiesz ją tymi swoimi błyskotkami i będzie dobrze – pocieszył mnie.

– Sam ją obwieszisz. Ja robię uszka.

– Śmieszne są te wasze potrawy. My zwykle gotowaliśmy barana.

– Chyba piekliście.

– Nie. Gotowaliśmy. Pieczonego można zjeść na co dzień. A od święta był gotowany.

– Dlaczego?

– Gdybyś musiała przynieść wodę z wioski odległej o kilka kilometrów albo zebrać wiadro śniegu, który trzeba stopić na piecu, wiedziałabyś, dlaczego gotowanego barana jadaliśmy tylko od święta.

– Tak trudno zebrać wiadro śniegu?

– U nas nie ma tyle śniegu. Jak już spadło go trochę więcej, to było duże wydarzenie. Wtedy dawaliśmy sobie prezenty związane z zimą. Na przykład śniegową kulkę albo kawałek lodu. I życzyliśmy sobie, żeby zima nie była sroga, chociaż mogła być długa.

Gapiłam się na niego, jak na dzikusa z wymierającego plemienia. Zdawał się tego nie zauważać.

– Aha, rozumiem – mruknęłam tylko, rezygnując z pytania o higienę. Mogło się zrobić niezręcznie.

Tak więc ja zajęłam się kuchnią, Dymitr zaś zaciągnął choinkę w kąt pokoju i długo zabierał się za jej zdobienie, burcząc coś pod nosem. Nie omieszkał przedtem wychylić szklaneczki wódki.

Z przedświąteczną wizytą wpadł, ku naszemu zaskoczeniu, Juliusz. Stał w progu, trzymając w jednej ręce lukrowany makowiec, w drugiej zaś ściskając rączkę Amelii.

– O! – ucieszyłam się. – Odzyskałeś Amelię?

– Odzyskał – odparła dziewczynka, zanim Juliusz zdążył otworzyć usta. – Wczoraj wieczorem.

– Nie na długo, niestety – westchnął i puścił rękę małej, wrywającej się do Dymitra. – Paula wyjeżdża na święta w Alpy i zostanie tam do Nowego Roku. A potem zobaczymy, chociaż niczego dobrego się nie spodziewam. – Westchnął, ścisząc głos. – Wzięła adwokata i za wszelką cenę chce mi zabrać Amelię. Powiedz – dodał rozżalony – po co jej dziecko, dla którego nie ma ani chwili czasu?

– Do kochania – powiedziałam i uśmiechnęłam się ciepło. – Każdy ma do tego prawo. Wejdz do środka, nie będziemy stać tak w przedpokoju – zreflektowałam się, gdy Juliusz zaczął niepewnie przebierać nogami.

– Nie chcę przeszkadzać – sumitował się. – Makowiec tylko od matki

przyniosłem. Choć żał wyjść, tak u was miło. I Amelia... Zobacz, jak stęskniła się za Dymitrem.

– Może raczej chodzi jej o choinkę – popatrzyłam na grzebiącą w koszyku ze świecidełkami dziewczynkę.

– Może i tak – przyznał. – U nas w tym roku nie będzie choinki. Jakoś nie chce mi się bez Pauli robić tych wszystkich rzeczy. Zresztą i tak przyjdziemy do matki – zakończył i wzniosł oczy do sufitu, jakby chciał się przez niego przebić i ukazać mieszkanie piętro wyżej.

– Nie obrazisz się, jeśli posiedzimy w kuchni? Lepiej uszka z grzybami.

– Jasne, że nie. Zresztą chętnie ci pomogę, tylko umyję ręce. Weź ten makowiec.

Kiedy wrócił, rzuciłam mu swój fartuszek z truskawką wyszytą na wielkiej kieszeni.

– Włóż, bo będziesz cały w mące.

Roześmiał się, ale nie oponował.

– A co u Agaty? – zapytał ostrożnie.

– Co ma być? Czeka. Piątego stycznia leci do Houston. Robak sprzedał mieszkanie i przy pomocy fundacji oraz koncertu jakoś uzbierali na pierwszą ratę. Podejrzewam, że na resztę pójda pod młotek obydwa samochody.

– No i pieniądze z naszej wystawy. Zgłosiło się całkiem dużo osób. Ludzie chcą pomagać. Ale czy to nie przykre, że po życie trzeba udać się do innego kraju i jeszcze słono za to zapłacić?

– Nie będę tego komentować. Chce mi się wyć. Ale jak widzisz, pieniądze nie mają najmniejszego znaczenia, jeżeli trzeba ratować kogoś, kogo się kocha. Robak pozbył się wszystkich cennych rzeczy, żeby odzyskać Agatę.

– Wiem. Postąpiłbym tak samo, gdyby potrzebowała tego Paula.

– Naprawdę?

Juliusz zastanowił się przez moment.

– Tak. Na pewno – powiedział z przekonaniem.

– Juliusz, bardzo boję się o Agatę. Nie czuje się dobrze. A najgorsze jest to, że ona nie wierzy, wiesz? Nie wierzy, że jej się uda. Udaje tylko przede mną, ale ja to widzę, wiem... – powiedziałam i głos mi się załamał. Natychmiast pojawiła się Amelia, która usiłowała objąć mnie drobnymi rączkami.

– Amelio, zostaw teraz Jagodę, nie przeszkadzaj jej.

– Nie przeszkadzam! – zawołała oburzona. – Ja jej pomagam płakać.

Przytuliłam małą i rozplakałam się na dobre. Dymitr zajrzał do kuchni zaniepokojony. Widząc jednak wtuloną we mnie Amelię, łypnął tylko okiem na Juliusza i wycofał się do salonu. Nie przepadał za jego towarzystwem i nie w smak mu była ta wizyta.

Goście zasiedzieli się. Prawie wszystkie przygotowane uszka zjedliśmy więc

na kolację.

Nazajutrz była Wigilia. Z samego rana zadzwoniła mama i musiałam długo ją uspokajać, że nie wyszłam za męża i w najbliższym czasie tego nie zrobię. Potem pojechałam do Agaty z życzeniami. W prezencie kupiłam jej uroczą peruczkę z prawdziwych włosów. Były w jej naturalnym kolorze, przypuszczałam więc, że chętnie zamieni tę swoją okropną czarną chustkę, która zaostrzała tylko rysy twarzy i uwydatniała bladość skóry. Prezent odpakowała bez emocji, podniosła do góry perukę i przyjrzała jej się z zastanowieniem.

– Nie chcę – powiedziała w końcu. – Przepraszam cię, Jagoda, ale znasz mnie. Nigdy nie starałam się grać kogoś innego. Nie mam włosów i nie zamierzam udawać, że mam. Wolę swoją chustkę, przynajmniej jest prawdziwa.

– Przyniosę ci kolorową. Mam taką w domu. Trochę cię ożywi.

– Nie chcę, żeby chustka udawała za mnie cokolwiek, rozumiesz? – podniosła głos. – Powiedziałam, że moja czarna chustka jest prawdziwa. I zabierz tę perukę, może uda ci się zwrócić ją w sklepie. Nie gniewaj się – dodała łagodniej.

– Nie gniewam się, Agata. Uwierz mi, że naprawdę cię rozumiem, mimo że uważasz inaczej. Ja przeżywam to wszystko nie mniej boleśnie niż ty. I boję się tak samo, jak ty. Tak bardzo bym chciała, żebyś wreszcie poczuła się bezpiecznie.

– W twoich myślach jestem bezpieczna. I w myślach Robaka. Wiem, że robicie wszystko, co w waszej mocy. Dziękuję – powiedziała tak cicho, że zdołałam odczytać to słowo tylko z ruchu jej warg. Potem przymknęła oczy, a za chwilę już spała. Przykryłam ją cienkim kocem leżącym na wersalce i na palcach wymknęłam się z pokoju. Wracając do domu, wstąpiłam do dziadka. Zamierzałam zabrać go do siebie na kolację, ale mimo głośnego pukania nikt nie otworzył. Pomyślałam, że Zygmunt zabrał go do Warszawy.

Mama znowu zadzwoniła, jeszcze zanim zdążyliśmy usiąść z Dymitrem do stołu. Widocznie miała wyrzuty sumienia, że nie spędzamy tego wieczoru razem. Ponieważ nie zamierzałam dzielić się z nią moimi zmartwieniami, odpowiadałam półgębkiem, w końcu złożyłam jej świąteczne życzenia i zakończyłyśmy rozmowę.

– A ty nie zadzwonisz do swojej rodziny? – zapytałam Dymitra.

– Nie, brak tam zasięgu. A zwykły telefon jest na akumulator, trzeba jeździć daleko, żeby go naładować. Dzwonimy tylko w najpilniejszych sprawach. Nie możesz przyzwyczaić się do myśli, że tam jest całkiem inaczej?

– Nie wiem, jak tam jest, bo nie byłam – zirytowałam się. – Dlatego pytam.

– Kiedyś pojedziemy – rzekł nagle z entuzjazmem. – Przedstawię cię mojej matce. Poznasz moich braci, chcesz?

– Pewnie, że chcę – zapaliłam się. – To będzie piękna wycieczka! Niech tylko Agata wyzdrowieje!

Święta były dziwne. Siedzieliśmy we dwójkę i choć staraliśmy się ożywić atmosferę, każde z nas regularnie zatapiało się we własnych myślach. Jedliśmy

makowiec od Juliusza, gapiliśmy się w telewizor i nawet na miłość nie mieliśmy ochoty.

W sylwestrowe popołudnie Dymitr pojechał na próbę przed koncertem. Siedziałam sama w domu, gdy nagle zadzwonił telefon.

– Juliusz! – zawołałam, zanim zdążył się odezwać. – Zamiast dzwonić z życzeniami, zabierz Amelię i przyjedź do mnie. Siedzę sama, bo Dymitr na koncercie, a Agata nie chce się nadwerężyć przed wyjazdem. Zostało jej pięć dni, musi nabrać sił przed podróżą.

– Wszystkiego dobrego, Jagoda – powiedział nieswoim głosem, gdy wreszcie dopuściłam go do głosu. – Ja nie w tej sprawie, to znaczy, tak, oczywiście, życzenia... – plątał się. – Ale chcę ci powiedzieć... Jagoda, Paula połamano się na nartach. Muszę tam pojechać.

– Po co? Przecież ona jest ze swoim facetem.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Czemu nic nie mówisz? Zostawił ją taką połamano i prysnął? – nie mogłam uwierzyć.

– Nie. Spadli z jakiejś skały. On też się potrzaskał. Ale pal go liczo. Paula jest w ciężkim stanie.

– Matko Boska...

– Trafiła do szpitala, muszę ją zabrać. Nie wiem, czy nadaje się do transportu. Nie znam się na tym wszystkim.

– Dzwoniła do ciebie?

– Nie ona, tylko jej znajoma, która z nimi poleciała.

– A co z Amelią?

– Zostawię u mojej matki. Dlatego dzwonię, bo wiesz, jaka jest Amelia. U ciebie bardziej jej się podoba.

– Wiem – powiedziałam i uśmiechnęłam się do siebie. W końcu Amelia wносиła dużo radości do naszego domu. – Nie broń jej przychodzić do nas.

– Dziękuję – powiedział z ulgą i się rozłączył.

Los, cyniczny szuler. Tasuje dni, patrząc nam w oczy z taką intensywnością, że przestajemy być sobą. Uzurpuje sobie prawo do naszych myśli, decyzji, uczuć. Stajemy się nieracjonalni, odarci ze zdrowego rozsądku. Wystarczy, że kogoś pokochamy.

Juliusz wrócił na tarczy. Uszkodzenie rdzenia kręgowego po upadku spowodowało u Pauli paraliż kończyn. Jego żona nigdy już nie będzie chodzić. Jej nogi i ręce będą bezużyteczne. Niemieccy lekarze postawili tę okrutną diagnozę i rozłożyli bezradnie ręce. Co powinien zrobić facet chwilę przed rozwodem, którego żona w jednakowym stopniu potrzebuje i nienawidzi?

Pochłonięta chorobą Agaty, kłopotami Juliusza, dziadkiem, którego chore serce można porównać do tykającej bomby, przestałam zauważać, jakie karty podaje los mnie samej. A miał sporo tych asów w rękawie.

Dymitr obrastał w piórka. Sukces i rosnąca popularność skutecznie skrywały niebezpieczeństwo czające się w ich blasku. Elwira spoglądała łaskawszym okiem na jaśniejącą gwiazdę. Dymitr przestał narzekać. Wręcz przeciwnie, utwierdził się na mocnej i pewnej pozycji, a tym samym uspił moją czujność. Miałam zresztą inne zmartwienia.

Piątego stycznia towarzyszyłam Agacie i Robakowi w drodze na lotnisko. Robak był podekscytowany, Agata dość obojętna. Patrzyłam na nią z niepokojem, bo przecież najdrobniejsze przejawy wiary w to, że będzie dobrze, lepsze są od obojętności.

– Myślę, że Agata oswoiła chorobę, przyzwyczaiła się do niej – powiedział do mnie cicho Robak, zerkając kątem oka na jej mizerniutką twarz.

– Bzdura – mruknęła Agata, która doskonale wszystko słyszała. – Mroźek powiedział kiedyś, że „najbardziej przyzwyczajony jest trup”. Choroby nie można oswoić, zwłaszcza takiej, która wprowadza cię do celi śmierci. Przynajmniej ja nie potrafię.

– Już niedługo, kochanie – odezwał się do niej ciepło Robak i pogłaskał ją po czarnej chustce. – Zostaniesz uniewinniona.

– Idź już, Jagoda – zwróciła się do mnie Agata. – Nie stercz tutaj, bo patrzysz na mnie, jakbyś chciała mnie już oplakiwać. I weź tę chustkę. Mam zamiar wrócić z włosami.

Ucałowałam ją serdecznie i odwróciłam szybko głowę, żeby nie zauważyła łez cisnących mi się do oczu. Wręcz pobiegłam w kierunku wyjścia. W garści ścisnęłam chustkę Agaty, jakbym chciała zadusić dręczyciela mojej przyjaciółki.

– Nie rycz, Jagoda! – dobiegło mnie jeszcze jej wołanie, które zaraz wtopiło się w ogólny gwar lotniska.

Nieznośną ciszę panującą w mieszkaniu zagłuszyłam meksykańską muzyką.

Wyrzuciłam wszystkie farby ze skrzyni i, tworząc na palecie niespotykane barwy, narzucałam je z furią na płótno, odzwierciedlające w tej chwili moją wizję wnętrza Agaty. Nie jej głowy, wypełnionej panoszącym się intruzem, tylko całej Agaty właśnie. A może jej duszy, tej dziury wyżłobionej w istnieniu, żeby uwolnić je od bólu i strachu. Zatopiona w meksykańskich dźwiękach nie słyszałam, kiedy wrócił Dymitr. Stał w progu pracowni i przyglądał mi się z zastanowieniem. Chwiał się na nogach. Odłożyłam pędzel i, minawszy go bez słowa, poszłam wyłączyć płytę.

– Znowu piłeś – zauważyłam.

– Życie jest zbyt zwyczajne, kiedy się nie pije. A ja chcę, żeby było wyjątkowe. Teksty pisane bez wódki też są mdłe i bez wyrazu. Zauważyłaś to? Nie? Pewnie, że nie, bo mnie już też nie doszcz... dostrz... dostrzegasz – wymówił z trudem i osunął się po futrynie na podłogę. Bawiąc się brelokiem od klucza, perorował dalej. – Jestem jak żagiel na wietrze. Kiedy nie wieje, wędnę i czepiam się maszsztu... A kto jest moim masztem? Nie wiesz? Ty, kochana. Ty jesteś moim masztem i trzymam się ciebie obiema rękami...

– Przestań pleść – obruszyłam się.

– Nie, ja nie plotę, to prawda. Zabrałaś moją wolność, przywiązałaś do siebie jak do słupa. I dlatego piję, rozumiesz? Żeby nie pamiętać, jak końska grzywa omiata twarz, gdy galopuje się przez stepy, nie słyszeć, jak w oddali wyją dzikie psy...

– Gubisz się w zeznaniach. Przed chwilą twierdziłaś, że picie pomaga ci w pisaniu. Poza tym nie rozumiem, dlaczego, skoro tak tęsknisz za galopowaniem po stepie, nie wrócisz do tej swojej Mongolii – rzuciłam ze złością.

– Nie wrócę, bo cię kocham – wyznał i czknał głośno.

– Idź się prześpij – rzekłam, z trudem powstrzymując niesmak. Zdałam sobie sprawę, jakie obrzydzenie budzili we mnie pijani faceci.

– Żadne tam prześpij się. Zobaczysz, jaką piosenkę napiszę. Idę.

Z trudem wstał, przytrzymując się futryny. Pokręciłam głową i westchnęłam głośno. Obejrzał się i roześmiał nieprzyjemnie.

– Zobaczysz – dorzucił, wznosząc do góry wskazujący palec. Gdyby mógł, pomachałby mi nim przed nosem.

Zanim skończył pisać, wychylił ćwierć butelki wódki. Co do jednego miał rację. Tekst był świetny i jeśli udałoby mu się napisać równie dobrą muzykę, piosenka miałaby szansę zdobyć dużą popularność. Sprzątając farby, słyszałam, jak zamęcza gitarę pierwszymi próbami. Wiedziałam, że nie odpuści.

Wieczorem zadzwonił Robak.

– No i co?! – krzyknęłam w słuchawkę. – Mów!

– Nie polecieliśmy – powiedział przygnębiony. – Agata zasłała na lotnisku. Zabrali ją karetką do kliniki. Jest źle. Przepraszam, nie mogę... – dodał i rozłączył się.



Mój wzrok padł na porzuconą w kącie chustkę Agaty. Zacisnęłam pięści i stałam bez ruchu, gapiąc się na ten kawałek czarnej szmatki, którą Agata zdjęła tylko dlatego, że wreszcie uwierzyła w życie.

– Cholera – zaklęłam. – Boże, dlaczego jej to robisz?

Potem wsiadłam w samochód i udałam się do szpitala. Było późno i nie chcieli mnie wpuścić. Lekarz pełniący dyżur nie zgodził się na udzielenie mi jakichkolwiek informacji, bo nie należałam do rodziny. Przy łóżku siedział Robak i płakał. Agata przestała mówić.

Dymitr nasiąkał artystycznym światkiem jak gąbka wodą. I chociaż Elwira była wymagająca i nie pozwalała na bylejakość, jego piosenki przyjmowała bez szemrania. Corba nagrywała płytę, kariera zespołu nabierała tempa. Dymitr powoli stawał się gwiazdą i przyznać muszę, że nie miałam z nim łatwego życia. W sobotę obudził mnie jego zirytowany głos.

– Jagoda, nie widziałaś mojej koszuli?

– Której koszuli? – mruknęłam, ziewając szeroko.

– Jak to której? Tej, w której zwykle śpiewam.

– Nie widziałam. Może jest w koszu na pranie.

– Jak to w koszu? To nie wiedziałaś, że dzisiaj wyjeżdżam do Katowic?

Zdenerwował mnie tak, że poderwałam się z łóżka i błyskawicznie stanęłam naprzeciw niego.

– A ty nie wiedziałeś, że wyjeżdżasz? – warknęłam.

– Nie mam czasu zajmować się takimi drobiazgami – odparł wyniośle i obrażony zaczął grzebać w szufladzie.

Odwróciłam się na pięcie i wróciłam do łóżka.

– Chociaż teraz mogłabyś mi pomóc – rzucił zdenerwowany.

– W czym mam ci pomóc?

– Trzeba wyprasować koszulę, śpieszę się!

– Powinieneś mieć niańkę – burknęłam, wysuwając nogę spod kołdry.

– Dziwne, że dla starego dziada i zniewieściałego Juliusza zawsze znajdziesz czas – zauważył ze złością.

– Życzę ci, żebyś był starym dziadem, dla którego nikt nie ma czasu – powiedziałam spokojnie i schowałam nogę z powrotem.

Przez chwilę trzaskał szufladami, w końcu skapitulował.

– Jagoda, proszę... Naprawdę się śpieszę.

– Widzisz? Mogłeś tak grzecznie zacząć. Nie byłoby tej całej kłótni.

– I pomyśleć, że chciałem, żebyś była moją żoną – wyrwało mu się.

– I pomyśleć, że sprowadziłam cię pod swój dach – odgryzłam się.

Łypnął na mnie okiem i nic nie powiedział. Podłączyłam żelazko i rozstawiłam deskę do prasowania. Wszystko we mnie kipiało. Nie odzywałam się tylko dlatego, że Dymitr się śpieszył i nie było czasu na sensowną wymianę zdań.

Możliwa była jedynie zaciekle kłótnia, a tego nie chciałam. Nie popatrzył mi w oczy, gdy podawałam mu jeszcze ciepłą koszulę.

– Dziękuję – mruknął, wrzucił koszulę do walizki i już go nie było.

Rozbudzona, nie miałam ochoty wracać pod kołdrę. Postanowiłam zająć się porządkami, skoro miałam dzień tylko dla siebie. Dawno ich nie robiłam i kurz przykrył siwym kożuchem wszystkie kąty.

Za biurkiem, przy którym pracował Dymitr, znalazłam pustą butelkę po wódce. Potem jeszcze jedną. Podniosłam je i dłuższą chwilę trzymałam z zastanowieniem. Pił więcej, niż myślałam. Sprzątałam do zmierzchu. Potem usiłowałam splukać w gorącej kąpieli czarne myśli, które oblażyły mnie jak usunięty brud mieszkania. Niestety, nie potrafiłam się od nich uwolnić. Zadzwoiłam do matki.

– Nie dzwoń do nas, kochanie, bo dużo zapłacisz – ofuknęła mnie na wstępie.

– Mamo, tęsknię za wami – poskarżyłam się łzawo, ale wcale nie spotkałam się z jej zrozumieniem.

– Hm... Właściwie mogłaś z nami pojechać. Wylegiwałabyś się teraz w hamaku, zamiast taplać się w śniegowym błocie. A jak tam twój narzeczony? Nadal się kochacie? – próbowała zażartować.

– Nie mówmy o tym – bąknęłam. Nie chciałam wtajemniczać matki w swoje sprawy, które nie wyglądały najlepiej. Sama już nie wiedziałam, czy będzie jakikolwiek ślub.

– Jasne. A jak twoja praca? Masz zamówienia?

– Trochę – kręciłam, bo od dwóch tygodni nie miałam ani jednego. Gdyby nie Dymitr, który zarabiał teraz nieźle, byłoby naprawdę krucho.

– To świetnie. Dobrze się czujesz?

– Znakomicie – powiedziałam, siląc się na pogodny ton. Nie chciałam tej rozmowy. Chciałam się do niej przytulić, to wszystko.

Niedzielę spędziłam na oczekiwaniu na Dymitra. Początkowo półświadomym. Jednak w miarę jak zbliżał się wieczór, czułam rosnący niepokój. Zegar cykał coraz głośniejsze wskazówki potykały się o kolejno upływające godziny, schody milczały. Wczorajsze słowa, wypowiedziane w złości, dusiły mnie. Czułam rozpaczliwą chęć ich odwołania. Podnosiłam telefon i odkładałam. Tysiące przemierzonych od ściany do ściany kroków obrastało żalem, złością, lękiem i nadzieją. Tak bardzo chciałam, żeby Dymitr już tu był, że puściłam w niepamięć przykre słowa, a nawet puste butelki, które znalazłam za biurkiem. Niechby tylko był blisko, niechby uśpił we mnie wszystkie zmartwienia, które spadały mi na głowę – myślałam. Z trudem docierało do mnie to, że te nieszczęścia wcale nie są moje. Dotyczą bliskich mi ludzi, ale nie są moje. Żyłam gasnącym życiem Agaty, skomplikowanym Juliusza, zapitym Dymitra, nawet starym życiem dziadka, ale nie

własnym. Mimo że czas, który miałam do dyspozycji, też miał przecież swoje granice.

Dymitr przyjechał nad ranem, kiedy bezskutecznie przewracałam się z boku na bok, usiłując zasnąć. Śmierdział wódką, swoją nową kochanką. Opadł ciężko na wolną stronę łóżka, zrzucając tylko buty. Zabrałam poduszkę i przeniosłam się do salonu, zamykając za sobą drzwi. Ulga spowodowana jego powrotem mieszała się ze złością – na niego, na siebie, wreszcie na los, który mi go podarował. Już nie chciałam, żeby mnie tulił i pocieszał. To nie był ten sam Dymitr. I naprawdę nie musiałam z nim być. Przygarnęłam go jednak, oswoiłam i, cholera, pokochałam. A od tej miłości nie potrafiłam się teraz uwolnić.

Kiedy się obudziłam, on jeszcze spał, rozwalony w poprzek łóżka. Ubrałam się i wyszłam na ulicę, żeby pozbierać myśli. Był rześki, styczniowy poranek. Lekki wiatr potrzącał nagie gałęzie. W obliczu siniejącego od północy nieba nawet słońce stawało się powściągliwe, onieśmiałe wzbierającymi śniegiem chmurami. Stałam przed domem, zastanawiając się, dokąd pójść. Nie chciałam teraz rozmawiać z Dymitrem. Prócz wyrzutów nie miałam mu nic do powiedzenia. Ruszyłam w kierunku Rynku. Widok snujących się turystów, białych powozów, cierpliwych koni i sprzedawców obwarzanków zawsze mnie uspokajał. Chciałam pobyć wśród ludzi, z którymi nic mnie nie wiąże, z którymi nie muszę rozmawiać, wyrażać opinii ani odpowiadać na pytania. Zwolniłam kroku i przyglądając się nieznanym twarzom, okrążałam dziedziniec. Nagle zobaczyłam Kariokę. Szła prosto w moją stronę. Chciałam ją minąć niezauważona, niestety, już mnie dostrzegła.

– Jesteś jeszcze z Dymitrem? – zapytała, nie przywitawszy się nawet.

Zmierzyłam ją wzrokiem i odpowiedziałam wzruszeniem ramion. Nie lubiłam Karioki. Od początku działała mi na nerwy.

– Jak ty z nim wytrzymujesz? – dodała i, nieprzyjemnie się śmiejąc, pokręciła głową.

Muszę przyznać, że wytrąciła mnie z równowagi. Była zazdrosna o jego talent, to oczywiste. Śpiewał lepiej niż ona i to ją bolało. Zrobiłam krok do przodu, by zostawić ją tam bez słowa. Wtedy złapała mnie za ramię.

– Jagoda, zaczekaj.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Uważaj na niego – ostrzegła. – Dymitr nie zawsze jest w porządku.

– Skąd możesz to wiedzieć? – obruszyłam się.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Wiem – rzuciła krótko i mrugnęła filuternie. – Znam go trochę. – Nagle zmieniła ton. – To świnią – rzuciła.

Strząsnęłam z ramienia jej rękę i poszłam dalej. Tylko że nie miałam już ochoty przebywać wśród ludzi. Nawet tych nieznanomych. Czułam się osaczona,

nieszczęśliwa. Odnosiłam wrażenie, że wszelkie zdarzenia krążą w pobliżu, ocierają się o innych ludzi, aż wreszcie spadają na moje barki, zamieniając się w zło. Jeszcze niedawno życie podsuwało mi jak na tacy co lepsze kąski. Obecnie wszystko przyprawione było goryczą. Los stopniowo odbierał mi poczucie szczęście, którym tak szczodrnie mnie dotąd obdarzał. Postanowiłam rozmówić się z Dymitrem. Kiedy wróciłam, leczył się w kuchni kawą z kroplą soku z cytryny.

– Dymitr – zagałam. – Czy ty jesteś w stanie przeżyć bez tej cholernej wódki? – zapytałam, demonstrując puste butelki.

Zerknął na mnie spode łba.

– Przestań mi zadawać takie pytania. Nie jestem jakimś alkoholikiem. Mogę nie pić.

– To nie pij.

– Jasne. Nie będę. Słowo – powiedział na odczepnego i czknął głośno.

– Boże... – jęknęłam i wywróciłam oczami.

– Mówię przecież, że nie będę.

– A co łączy cię z Karioką? – zapytałam, korzystając z okazji, że spotulniał.

– Z ta dziwką? Daj spokój.

– Z dziwką? Spałeś z nią? – zaatakowałam. Kipiałam z zazdrości.

– Boże broń! Przestań, co cię napadło? Karioka nawet nie jest ładna.

– Bo ty akurat w pijanym zwidzie wiesz, która jest ładna, a która nie! – zawołałam z wściekłością.

Natychmiast spowaźniał.

– Jagoda – powiedział, wyraźnie siląc się na spokój. – Nigdy więcej tak do mnie nie mów. Może piłem ostatnio zbyt dużo, ale do ciężkiej cholery, nigdy cię nie zdradziłem. Może też nie okazuję ci tego jak należy, ale kocham cię. Naprawdę cię kocham.

Patrzyłam na niego, łudząc się, że mówi prawdę. Tak bardzo chciałam w to uwierzyć. Ale nie ufałam mu w pełni. Nie tak, jak wtedy, gdy był zagubiony i potrzebował mnie do kochania, do życia.

– Wybacz mi, że ostatnio tak między nami było. No wiesz... Nie najlepiej – usprawiedliwiał się z pokorą. – Tak już nie będzie, poprawię się... Jagoda, no, Jagódka... Przepraszam...

Wziął mnie w objęcia i tulił mocno, aż skruszałam, zwiotczałam w silnym uścisku jego ramion. Teraz byłam skłonna uwierzyć we wszystko. Nawet w to, że nie będzie już pił.

Po południu pojechaliśmy razem do kliniki. Agata leżała z twarzą zwróconą do ściany. Przy łóżku siedział Robak i czytał półgłosem książkę. Na nasz widok zamknął ją i dał znak, że nie chce rozmawiać przy Agacie. Wyszliśmy na korytarz.

– Czytam jej. Nawet nie wiem, czy słucha... – powiedział półgłosem.

– Wciąż nie mówi? – zapytałam z troską.

– Nie mówi. Czasem myślę, że tak naprawdę może mówić, tylko nie chce. Że zapiekła się w swojej goryczy, rezygnacji. Lekarze nie chcą jej wypuścić, chociaż w Houston miejsce na nią czeka. Mówią, że jest za słaba. A ja się boję, że będzie za późno. Nie wiem, jak to się skończy.

– Za dziewięć dni w Warszawie jest ta wystawa, wiesz...

– Wiem, zbierajcie. Nie można tracić nadziei. Żeby tylko ją stąd wreszcie wypuścili, żebyśmy mogli polecieć! Boże, dlaczego ją to spotkało?! – szepnął, głos mu się załamał.

Ścisnęłam go za ramię, ponieważ zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Ona i tak nie będzie chciała was widzieć. Nikogo nie chce widzieć, nawet matki. Mnie jakoś toleruje, tylko dlatego, że uparłam się jak wół.

– Trzymaj się. Jakby coś się zmieniło, daj mi znać. Po wystawie przekażę ci pieniądze... Aha... Powiedz jej, jeśli zechce słuchać, powiedz, że ją kocham. Powiedz jej to, pamiętaj!

– Powiem, Jagoda. Idźcie.

Twarz miał stężoną bólem. Wydawało się, że nie potrafił już się śmiać ani nawet płakać. Nic, tylko ta rozpacz. Kochał ją bardziej niż ja. Kochał ją ponad wszystko.

– Wiesz – powiedział Dymitr, kiedy opuściliśmy szpital – zrobimy jeszcze jeden koncert dla Agaty. Nie mogę na to patrzeć. I ten Robak... Pogadam z Elwirą.

– Kocham cię – szepnęłam i przytuliłam się do jego ramienia.

Juliusza nie było na wystawie. Nie miałam mu tego za złe, pochłonięty był Paulą. Pojechałam więc sama. To nie był żaden konkurs. Wszystkie obrazy wystawione były na sprzedaż. Przy każdym wisiała informacja, na co przekazane będą pieniądze. Kręciłam się po wystawowym salonie, obserwując nie tyle obrazy, co oglądających je gości. Brakowało mi Agaty, która potrafiła dostrzec w każdej pracy coś, czego nie widziało mniej wprawne oko. Nawet ja nie zawsze dawałam sobie z tym radę. Ale ona zawsze była we wszystkim lepsza ode mnie. Ludzie spacerowali między pracami, półgłosem wymieniali wrażenia, czasami zatrzymywali się na dłużej przy którymś dziele. Nagle rozległ się okrzyk, który zburzył ten nastrój spokojnego skupienia.

– Mój Boże!

Elegancko ubrana kobieta, trzymająca pod rękę szpakowatego pana patrzyła w zdumieniu na jeden z obrazów i znacznie już ciszej dzieliła się wrażeniami ze swoim towarzyszem. Dość szybko zorientowałam się, że stoją przy moim Lotniku. Nie miałam pojęcia, co mogło ją tak zdumieć. Kobieta rozejrzała się po salonie, a wypatrywszy jednego z organizatorów, bez wahania ruszyła w jego kierunku. Podążyłam za nią i, ustawivszy się w pobliżu, tuż przy akwarelach, starałam się usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Czy pan wie, kto namalował ten obraz? Ten portret, proszę spojrzeć – wskazała dłonią Lotnika.

– Zaraz sprawdzę – powiedział i zajrzał do katalogu. – Jagoda Czajewska. To „Portret Lotnika”. Podoba się pani?

– Nie o to chodzi. Tak, podoba się, oczywiście. Ale wie pan... Co za zbieg okoliczności! Znamy tego pana z portretu! Dziś już tak nie wygląda, ale to on. Na pewno on!

Nie wytrzymałam.

– To ja namalowałam ten obraz – odezwałam się, podchodząc bliżej, a głos drżał mi się z przejęcia.

– Naprawdę? – kobieta odwróciła się do mnie i spojrzała z ciekawością. – Przecież pani taka młoda...

– Malowałam, wzorując się na fotografii – wyjaśniłam.

– Ach! No chyba, że tak. Zna pani Krzysztofa?

– Krzysztofa? – wyjąkałam i nogi się pode mną ugięły, choć zdawałam sobie sprawę, że tamten Krzysztof nie żyje. Poza tym nie jednemu psu Burek na imię. – Jakiego Krzysztofa?

– Tego, z portretu! – zawołała, jakby to było oczywiste.

– Nie. Malowałam ze zdjęcia, które ktoś mi pożyczył.

Lusia! *Dla najdroższej mojej Lusi.* Tak było tam napisane, na medalionie.

– Proszę pani, możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? – zwróciłam się do niej.

– Oczywiście. Co za historia! Przejdźmy tam, do stolików, gdzie jest kawiarenka. Chodź, Zbysiu – zwróciła się do towarzysza i pociągnęła go za rękaw.

Usiedliśmy w kącie i zamówiliśmy herbatę. Przez chwilę zbierałam myśli.

– Kto to jest Lusia? – zaczęłam, bo wydawało mi się, że po nitce dojdę do kłębka.

– Żona Krzysztofa. A moja koleżanka ze szkoły. Znamy się jeszcze z podstawówki. Lucyna Zalewska.

Zalewska, nie Kowalska – pomyślałam i nieco się odprężyłam.

– Mieszkają w Warszawie?

– Tak, na Tamce. Lusia to rodowita Warszawianka. Jej ojciec zginął w powstaniu.

– A Krzysztof? Jej mąż?

– On przyjechał tu za nią, wcześniej mieszkał gdzieś na prowincji. Nie pamiętam... W Łodzi? Zbysiu, Krzysztof jest z Łodzi? – zapytała, szturchając męża.

– Nie wiem – mruknął tamten i zaczął siorbać gorącą herbatę. W ogóle był mało towarzyski.

– Chyba z Łodzi. A pani skąd ma jego zdjęcie?

– Pożyczył mi je starszy pan. Znalazł medalion i tam wklejone było to zdjęcie. Zainspirowało mnie. Nie znam ludzi, o których pani opowiada. Ale chętnie zwróciłabym medalion właścicielce. Mam nadzieję, że pan Wiesław nie będzie miał nic przeciwko temu, przecież dla niej to pamiątka.

– Pewno, że pamiątka! – zawołała z przejęciem. – Wie pani co? Ja ich tu jutro przyprowadzę. Pani z Warszawy?

– Z Krakowa.

– A... To pewnie pani chce wracać...

– Nie, skąd! Mogę gdzieś przenocować.

– Wobec tego, umówmy się na jutro. Zadzwońię do Lusi i powiem o tym obrazie. Pewnie będzie chciała kupić. Taka okazja!

– Dobrze. Będę tutaj o trzynastej. Może być?

– Może, może. Dla nas, emerytek każda godzina dobra – odparła z uśmiechem.

Rozstałyśmy się. Mimo że spędziłam tu jeszcze trochę czasu, nie mogłam przestać myśleć o tych Zalewskich i niesamowitym zrządzeniu losu.

Nazajutrz tuż przed trzynastą czyhałam przy wejściu na moich gości. Bardzo chciałam skonfrontować twarz pana Krzysztofa z Lotnikiem. Pewnie miał teraz z sześćdziesiąt lat, albo i więcej. Na zdjęciu mógł mieć dwadzieścia.

Przyszli z lekkim opóźnieniem. Kobieta, którą poznałam wczoraj, ulotniła

się zaraz po powitaniu, bo jak powiedziała, nie chciała przeszkadzać. Zalewskich zaprowadziłam do Lotnika. Kiedy oni patrzyli na obraz, ja dyskretnie spoglądałam na oryginał.

– Ach! – zawołała i klasnęła w ręce pani Lusia. – To wypisz wymaluj ty, Krzysiu! Co za talent! – zwróciła się do mnie. – Gratuluję! Z całego serca gratuluję. Można kupić?

– Czeka na panią – odpowiedziałam z uśmiechem. – Natomiast medalion jest w Krakowie.

– Skąd w Krakowie? – zdziwiła się. – Ostatnio byłam tam osiemnaście lat temu. A medalion zginął mi całkiem niedawno.

– Znalazł go pewien starszy pan z Krakowa. Jak pani widzi, przypadki chodzą po ludziach.

– Poproszę adres tego pana – wtrącił pan Krzysztof, sięgając do kieszeni po notes. – Chętnie napiszę do niego parę słów podziękowania.

– Na pewno się ucieszy – zgodziłam się. – Proszę pisać: Wiesław Kowalski...

– Zupełnie jak mój ojciec – zauważył pan Krzysztof z lekkim sarkazmem. – Też Wiesław Kowalski.

– Co takiego?! – jęknęłam, a serce zaczęło walić mi jak oszalałe.

– Może to on – zażartowała pani Lusia, a ja zaniemówiłam.

– On? Siedzi w Ameryce, jeśli jeszcze żyje – burknął jej mąż.

– Pan nie nazywa się Zalewski? – wyjąkałam.

– Nie – żywo zaprzeczyła jego żona. – To moje panięńskie nazwisko. My jesteśmy Kowalscy.

– A pańska matka... jak miała na imię? – zapytałam nieswoim głosem. To było niemożliwe, ale jednak chciałam sprawdzić, czy pan Krzysztof jest tym właśnie Krzysztofem Kowalskim. Skąd pochodzą informacje o jego śmierci na zapalenie płuc?

– Aniela – odparł z zawieszonym nad notesem długopisem.

– Boże drogi! – wyrwało mi się. – To pan! Pan jest synem Wiesława Kowalskiego! On wrócił z Ameryki i mieszka teraz w Krakowie. W domu, który budował kiedyś pański dziadek!

Zapadła cisza. Pan Krzysztof zdecydowanym ruchem wpakował notes z powrotem do kieszeni i wbił wzrok w żonę. Ta z kolei patrzyła na mnie.

– Pojedzie pan tam ze mną? – zapytałam cicho. – Pański ojciec... On chciał szukać pana, ale...

– Szukać! Teraz! – zachnął się. – Niech mi tu pani nie opowiada cikliwych historyjek. I po co niby miałbym tam jechać?

– Nie chce pan go poznać?

– Po jaką cholere? – zdenerwował się jeszcze bardziej. – Porzucił moją



matkę. Zrobił jej dziecko i uciekł z podwiniętym ogonem. Przez całe życie użerała się ze wszystkim sama.

– Panie Krzysztofie, niezupełnie było tak, jak pan mówi.

– A pani niby skąd o tym wie? Kim pani jest dla niego? Jakaś wnuczką z kociego związku? Wiadomo, ile on jeszcze tych dzieci machnął?

– Ciszej – upomniała go żona.

– Ciszej, ciszej – warknął. – Ciśnienie mi skoczyło, jak to usłyszałem. Sama bądź ciszej.

– Pan Wiesław nie ma więcej dzieci. Pan jest jego jedynym synem. On myślał, że pan nie żyje.

– Srutu-tutu! Akurat. Mówię: nie. Koniec. Chodźmy, Luśka – zwrócił się do żony. – Nie chcę już tego obrazu.

Za wszelką cenę chciałam ich zatrzymać. Gorączkowo zastanawiałam się, jak to zrobić.

– Panie Krzysztofie! – zawołałam za nim. – A zna pan Zygmunta?

Obejrzał się.

– Mało to Zygmuntów?

– Ale Zygmunta Kowalskiego, pańskiego kuzyna. Zna pan?

– A, tego... Trochę znam. Przyszedł raz do nas z żoną. Całkiem niedawno. Nie utrzymujemy z nimi kontaktu, żadna z nich rodzina.

– To on powiedział panu Wiesławowi, że pan nie żyje.

– Głodne kawałki. Niech pani nie usprawiedliwia mojego ojca. Mógł sam szukać, a nie słuchać jakichś bredni.

– Po co przyszli? Zygmunta z żoną. Po co do pana przyszli?

– A cholera ich wie! O ojca pytali. Powiedziałem, że siedzi w Stanach, więc się odczepili.

Puzzle składało się samo. Ja już wiedziałam. Teraz tylko musiałam przekonać Krzysztofa o swoich podejrzeniach.

– Ja rozumiem, że jest pan wzburzony, ale proszę jeszcze o chwilę uwagi.

Naburmuszył się, zerknął ostentacyjnie na zegarek, ale wrócił.

– To, co powiem, świadczy na pańską korzyść, nie pańskiego ojca, więc proszę się tak nie irytować – zauważyłam uszczypliwie. – Jestem osobą postronną i w gruncie rzeczy nie powinno mnie to wszystko obchodzić. Nie chce pan poznać ojca, pańska sprawa, ale uważam, że powinien pan poznać prawdę. Ja ją znam z opowiadań pańskiego ojca i wiem, że to, co pan mówi, jest krzywdzące. Czasem w życiu nie układa się tak, jakbyśmy chcieli. Ale to pozostawiam pańskiemu sumieniu. Domyślam się natomiast, skąd ta wizyta Zygmunta. On utrzymywał kontakt ze swoim wujem i doskonale wiedział o jego powrocie z Ameryki. Wiedział też o koncie w banku, z którego czerpał niemałe kwoty do czasu, aż wuj zamknął mu tę możliwość. Wtedy pozbył się go, odsyłając do Krakowa. Namówił

go na kupno domu od moich rodziców, stąd tak dokładnie znam tę historię. To nie był głupi plan, bo Zygmunt ma apetyt na majątek po pańskim ojcu. Nie, nie, niech pan nie przerywa – powstrzymałam go ruchem ręki. – Domyślałam się, że wizyta, którą panu złożył, nie była bez powodu. Pewnie chciał wybadać, ile pan wie o ojcu. Czy na przykład wie pan o jego powrocie do Polski. Rozumie pan, o czym mówię?

– Tak. Rozumiem – odparł i się zamyślił. – Tylko wie pani co? Mam to wszystko w dupie.

– Ciiii – mitygowała go Lusia, rozglądając się z zakłopotaniem po sali. – Nie krzycz tak, Krzysiu, nie wypada...

– Daj mi spokój! – obruszył się. – Gównu mnie to teraz obchodzi. Niech mu pani powie – zwrócił się do mnie – żeby zabrał to z sobą do grobu. Gdzie był wtedy, gdy go potrzebowaliśmy, ja i matka? Kiedy tułaliśmy się po wynajmowanych, obskurnych pokojach? Kiedy chorowałem, a matka nie mogła się mną zająć, bo musiała zarabiać na chleb? Gdzie, do cholery był wtedy? I dlaczego jej nie szukał, kiedy wrócił z tej swojej zsranej Ameryki?

– Krzysiu – jęknęła Lusia i obejrzała się na najbliższych stojących ludzi. – Bój się Boga...

– Panie Krzysztofie, nie szukał, ponieważ Aniela związała się z innym mężczyzną – wyjaśniłam, choć sama czułam, że takie tłumaczenie jest szyte grubymi nićmi.

– Akurat! – oburzył się. – Kto pani takich głupot naopowiadał? Z jakim mężczyzną? Całe życie była sama. Nigdy nie miała żadnego faceta, oprócz ojca. Kto to wymyślił?

– Zygmunt mu powiedział – odparłam niepewnie. – A pan Wiesław mu uwierzył i nie chciał burzyć spokoju Anieli.

– Nie będę tego komentował – mruknął. – Uważam, że gdyby chciał, sam ruszyłby dupę i sprawdził, co jest grane. Tak czy inaczej, nie pojedę do ojca, który nawet nie zasługuje na to miano... Dawno wrócił?

Uśmiechnęłam się pod wąsem. Jednak coś tam go obchodziło...

– Dość dawno. Nie wiem dokładnie. I niech pan powie o tym matce. Może ona chciałaby spotkać męża po tylu latach. Choćby po to, żeby mu powiedzieć o tym, co przeżyła.

Pan Krzysztof zamilkł i popatrzył na mnie z zastanowieniem.

– Rzeczywiście, obudził się – powiedział w końcu. – Matka od trzech lat kwiatki wacha. Ale niech go pani tu przywiezie, to sobie z nim pogadam. Ja do Krakowa nie pojedę.

A więc Anielcia nie żyje. Szkoda. Trzeba będzie o tym jakoś zakomunikować dziadkowi.

Nie spodziewałam się, że jadąc na wystawę, uda mi się załatwić coś jeszcze: że odnajdę Krzysztofa. I to bez żadnego wysiłku z mojej strony. To było

prawdziwe zrzącenie losu. Szkoda tylko, że wystawa nie przyniosła oczekiwanego efektu. Obrazów sprzedano bardzo mało i nadal będziemy musieli szukać innych źródeł finansowania dla Agaty. Teraz, wracając do Krakowa, układałam sobie w głowie plan działania. Spróbuję dotrzeć do mojej załamanej przyjaciółki, zmotywować ją do dźwignięcia się z marazmu, który ją dopadł, potem zajmę się dziadkiem i Krzysztofem.

Ale plan się nie powiódł.

Pod domem stał wóz straży pożarnej. Zebrani pod kamienicą ludzie zadzierali głowy i komentowali jakieś wydarzenie. Serce zabiło mi mocniej. Chciałam pobiec do domu, sprawdzić, co się stało, niestety, nie wpuszczono mnie do środka. Było wczesne popołudnie. Czekałam wraz z innymi, aż strażacy skończą swoją pracę, złożą sprzęt i odjadą. Ktoś przebąkiwał o podpaleniu, ktoś inny o porzuconym niedopałku. Tak naprawdę nikt nic nie wiedział. Jedyne pewnikiem były buchające kłęby dymu. Z mojego mieszkania. Klatka schodowa śmierdziała swądem. Serce łomotało mi w piersi, gdy biegłam po trzy stopnie naraz. Drzwi otwarto na oścież. Moja piękna kuchnia była zrujnowana. Nadpalone szafki pokryte pianą, potrząskane szkło, poczerniała podłoga, a nad tym wszystkim stopiony fragment żyrandola przedstawiały nad wyraz przygnębiający widok. Oberwało się również sofie i fotelowi z przylegającego salonu, zsuniętym teraz pod ścianę i przywalonym nadwątloną dębową ławą. Rozglądając się z rozpaczą po skutkach katastrofy, dostrzegłam Dymitra stojącego w drzwiach. Był niekompletnie ubrany, chociaż z klatki schodowej wiało lodowatym chłodem. Podbiegłam do niego i złapałam go za białą koszulkę, w której zwykle sypiał.

– Co tu się, do cholery, stało?! – zapytałam, trzęsąc się ze zdenerwowania.

– Nie wiem – wybąkał nieprzytomnie, ziejąc na mnie przetrawioną wodą. – Spałem...

– Dymitr, znowu piłeś! Znowu, chociaż obiecałeś, że już nie będziesz! – podniosłam głos.

– Nie piłem. Tylko trochę.

– Trochę! I w tym pijanym zwidzie zabrałeś się za kucharzenie! Mogłam się tego spodziewać. Wiesz co? – język plątał mi się zdenerwowania. – Mam już tego dość! Albo się natychmiast wyniesiesz, albo...

– Jagoda... Naprawię ci to wszystko. Odkupię. Zobacz... Nic takiego się nie stało. Nadpalone tylko... Straż przyjechała i szybko ugasiła. Wymieni się drzwiczki od szafek i będzie dobrze.

Myślałam, że szlag mnie trafi. Istotnie, wszystko było zaledwie muśnięte ogniem. Wyglądało jednak okropnie.

– Odkupisz. Sam wiesz, że nie o to chodzi. Nie chodzi mi o tę kuchnię, którą spaliłeś, tylko o zaufanie. Nie ufam ci już, rozumiesz?

– To też odbuduję, daj mi szansę – kajał się.

– Nie wierzę. W ani jedno twoje słowo już nie wierzę.  
– Kocham cię, Jagoda. To się zmieni, zobaczysz.  
– Ech, słowa... Dymitr, nie mam pieniędzy, żeby zrobić tu remont. Nie wiem, jak będziemy mieszkać w takiej ruinie.

– Zarobię. Nie martw się, kochana. Zobaczysz, że w ciągu miesiąca będziesz miała taką kuchnię jak przedtem. Odkupię też sofę, fotel, co tam chcesz.

– Dobra, nic już nie mów. Uwierzę ci, jeśli to wszystko zrobisz. Teraz trzeba tu trochę ogarnąć, kupić nową Kuchenkę, ta pewnie nie działa. A lodówka? A piekarnik? Wszystko zniszczone! Daj mi spokój. Chcę pobyć sama.

Wysłałam do pracowni i usiadłam na skrzyni. Przynajmniej tutaj ogień nie dotarł. Rzuciłam okiem na rozpoczęty obraz, zerknęłam w okno, za którym kołysały się nagie gałęzie akacji, podniosłam z podłogi porzucony ołówek. Z kuchni dobiegały dźwięki świadczące o tym, że Dymitr wziął się za porządki. Ale ja straciłam motywację do wszystkiego.

– Dymitr – zagadnęłam go, stając w drzwiach pracowni. – Przeniosę się z malowaniem do dziadka. Nie chcę, żeby mi tu ktoś przeszkadzał. Pojadę teraz do niego, żeby się umówić.

– Dobrze, kochanie – rzekł potulnie, odkręcając resztkę żyrandola. – Jedź. Ja tu posprzątam. A jak zarobię, to wiesz...

Dziadek przywitał mnie ciepło, chociaż po twarzy widziałam, że nie czuje się najlepiej. W takiej sytuacji wstrzymałam się z informacją o Anielci. Z uwagą wysłuchał, co mi się przytrafiło i z radością zgodził się na używanie przeze mnie dawnej pracowni.

– Przynajmniej będę cię codziennie widział – ucieszył się.

– Wobec tego pójdę tam trochę posprzątać – zapaliłam się. – Na pewno wszystko obrosło kurzem.

– Idź, idź, Jagódko. A potem napijemy się herbatki – zgodził się.

Poczułam się jak dawniej, kiedy szłam po drewnianych, skrzypiących schodach. Jak wtedy, gdy mieszkałam tu z rodzicami. Kiedy zbiegałam do nich z nowym szkicem albo ukończonym obrazem, a oni podziwiali każdy mój pomysł. Brakowało mi teraz tego wsparcia, dobrych rad, mimo że moi rodzice nie za bardzo znali się na malarstwie. Otworzyłam drzwi pracowni i zastygłam z wrażenia.

Na środku strychu stała trumna. Piękna, z dębowego drewna, ozdobiona białą koronką. Trumna była zamknięta i od razu zaczęłam się zastanawiać, co jest w środku. Gdyby jednak ktoś w niej leżał, w pomieszczeniu unosiłby się inny zapach. Tymczasem pachniało po prostu drewnem, jak zwykle. Kto ją tu przyniósł i po co? Pomyślałam, że to dziadek zabezpieczył się na wypadek śmierci i wybrał sobie trumnę według własnego gustu. Starsi ludzie czasem mają takie pomysły. I być może trwałabym w tym przekonaniu, gdyby nie kolorowa plastikowa torba leżąca obok na podłodze. Wiedziona ciekawością, wysypałam jej zawartość

i wzięłam do ręki pierwszy z wierzchu papier. Był to akt zgonu podpisany in blanco, z różową pieczętką lekarza. Wszystkie pozostałe papiery wyglądały tak samo. Lekarz nazywał się Ludwik Serociński i według pieczętki pracował w krakowskim szpitalu. Spakowałam dokumenty z powrotem do torby i trzymając się mocno poręczy, bo kolana odmawiały mi posłuszeństwa, wróciłam na dół.

– O, Jagódka! – ucieszył się dziadek. – Miło, że przyszłaś. A już myślałem, że zapomniałaś o starym.

Do domu wracałam okrężną drogą. I nie dlatego, że tak lubiłam podróże samochodem. Musiałam przemyśleć wiele spraw, poza tym nie chciało mi się wracać do na wpół spalonego mieszkania, śmierdzącego jak wędzarnia. Zwykle w takich momentach pędziłam do Agaty, ale teraz... Nie, nie wszystko naraz. Najpierw dziadek. Traci pamięć, więc muszę czym prędzej zawieźć go na spotkanie z synem. Poza tym ta trumna. To, że nie będę korzystać z pracowni, było oczywiste, ale czy nie powinnam zawiadomić policji? Z kim powinnam o tym porozmawiać? Może z Juliuszem? Nie, on ma teraz własny kłopot w postaci niepełnosprawnej żony. Z Dymitrem? Oni tam, w Mongolii rzucali ciała dzikim zwierzętom na pożarcie, czytałam o tym. Nie przywiązywali wagi do tego, co stanie się z ciałem po śmierci. Ważna była dusza. Komu mam powiedzieć o swoich obawach? Postanowiłam zadzwonić do pana Krzysztofa. Muszę się tylko przygotować do tej rozmowy. Ale powinnam się śpieszyć. Zdecydowanie.

Kiedy wróciłam do domu, Dymitr kończył porządki. Płakać mi się chciało na widok zrujnowanego mieszkania. W środku było przenikliwie zimno, bo Dymitr starał się usunąć nieprzyjemny zapach, otwierając na oścież okna. W styczniu nie był to najlepszy pomysł. Wieczorem zadzwonił Juliusz.

– Jagoda, jutro przywożą Paulę. Muszę się z tym trochę pozbierać, sama rozumiesz. Mogę podrzucić ci Amelię na jakieś dwa dni? Babcia się przeziębila, jak stała na mrozie, bo coś się paliło w kamienicy... Mogę?

– Juliusz, to moje mieszkanie się paliło.

– Ale już w porządku, prawda? Więc jutro, z samego rana. Gdzieś około dziewiątej...

– Juliusz...

– Zabiorę jej ulubione gry, żeby się nie nudziła. Zobaczysz, jakie fajne. Dymitr na pewno...

– Juliusz! – przerwałam z irytacją – mam spalone mieszkanie. Kuchnia niezdatna do użytku. Sofa do wyrzucenia. Czy ty rozumiesz, że nie tylko ty masz kłopoty? Nie mogę zająć się Amelią. Nawet nie mam gdzie położyć jej spać!

– O rany... To co ja mam zrobić?

– Nie wiem! Nie mam pojęcia, co masz zrobić. U mnie nie ma warunków.

– Dobra, zawiozę ją do babci. Najwyżej się zarazi – mruknął i się rozłączył.

Trzęśłam się ze złości.

Agata przyśniła mi się piękna jak dawniej. Z długimi, rudymi włosami, w wielkim filcowym kapeluszu i długiej sukience koloru rdzy. Biegła pustą szosą, na której czekałam z rozłożonymi ramionami, jakbym chciała złapać ją w locie, przytulić i okręcić dookoła. Tak się zwykle witałyśmy po jej długiej nieobecności. Czekałam, ale ona minęła mnie w biegu. Potem wznosiła się do góry, coraz wyżej i wyżej. Śmiała się przy tym i machała ramionami jak skrzydłami. Rankiem ubrałam się i z sercem wypełnionym lękiem pojechałam do szpitala. Nie wiedziałam, co tam zastanę.

Pielęgniarki szybkim krokiem przemierzały szpitalne korytarze, pacjenci snuli się blisko ścian, jakby od ich dużych, silnych płaszczyzn oczekiwali mocy uzdrowienia. Matki, córki, synowie i ojcowie zaglądali chyłkiem do sal pacjentów, czasem z przyklepionym do twarzy pocieszającym uśmiechem, czasem z lękiem przed tym, co zobaczą. Bo nigdzie tak jak tu nie zdarzały się tak często opustoszałe nagle łóżka, przygotowane dla następnego cierpienia. Stałam pod drzwiami Agaty i modliłam się w duchu, żeby zechciała na mnie spojrzeć, pozwoliła wziąć się za rękę, żeby tam była. Bałam się jej milczenia, tak samo, jak bałam się słów, które mogłabym usłyszeć. Pielęgniarka, która podeszła, uśmiechnęła się do mnie z sympatią.

– Do Agatki? – zapytała i otworzyła drzwi. – Proszę, jest dzisiaj w niezłej formie.

Weszłam nieśmiało. Agata leżała na wznak i gapiła się w sufit. W pierwszej chwili mnie nie zauważyła. Ale kiedy nasze oczy się spotkały, nie było już czasu na odwrócenie się plecami, zamknięcie oczu i udawanie snu.

– Cześć – powiedziałam cicho, podchodząc bliżej.

Nie odpowiedziała, ale nie zauważyłam w jej oczach wrogości czy niechęci. Wyciągnęła rękę i sięgnęła po moją.

– Przyniosłam ci sok z marchewki – szepnęłam. Szept był bezpieczny, przynajmniej głos się nie łamał.

– Nareszcie – odpowiedziała i uśmiechnęła się szelmowsko. – Już myślałam, że nie chce ci się go wyciskać.

– Agata, ty mówisz? – zdumiałam się.

– Jak mam o czym, to mówię – odparła w swoim stylu i dźwignęła się, żeby oprzeć się o poduszkę. – Pracowałam nad tym z psychologiem.

– Dzięki Ci, Boże – westchnęłam i sięgnęłam po biały taboret, wsunięty pod łóżko.

– Jagoda, podreperowali mnie trochę. Jak tak dalej pójdzie, w przyszłym tygodniu polecę do Houston. Robię wszystko, co mi każą, byle się udało.

– Jezu, nareszcie! – ucieszyłam się i oczy zaszkliły mi się ze szczęścia. – Wystawa się nie udała, zebrali niewiele.

– Wiem, Robak mi mówił. On jest z tym wszystkim na bieżąco.

– Ale w lutym Corba da drugi koncert. Na pewno coś zbiorą.  
– Dziękuję, Jagoda. Mam nadzieję, że kasa nie pójdzie na marne.  
– Jeśli będziesz w takiej formie jak teraz, na pewno nie.  
– Dość tego zamartwiania się. Powiem szczerze, że uodporniłam się na śmierć. Tyle jej tutaj... Nie sposób o niej myśleć inaczej niż o czymś wpisanym w życiorys, to jest część życia. Teraz niech lekarze się martwią. W końcu płacą im za to – roześmiała się z lekką ironią.

– Masz tu dobrego psychologa – zauważyłam, nalewając do kubeczka sok z marchewki.

– Jest niezły. A nie było łatwo. A co u ciebie?

Boże, kiedy ostatnio Agata zadała mi to pytanie? Jeszcze przed chorobą. Potem już tylko rozmawiałyśmy o niej. O jej chorobie. Milczałam, bo chciałam opowiedzieć o czymś miłym, a nic takiego ostatnio się nie zdarzyło. Poza...

– Moja przyjaciółka ma się lepiej – odparłam i podałam jej kubek z sokiem.

– Nic innego ostatnio się nie zdarzyło.

– Nie wierzę. Jak Dymitr?

– Artysta pełną gębą. Dziewczyny mdleją na jego widok.

– Nic dziwnego, przystojniak jakich mało. I ten jego głos. A jak on się z tym czuje? Nie zadziera nosa?

– Nawet nie... Trochę za dużo pije.

– Nie pozwól mu. W tym zawodzie może się rozpić. Wpadnie w nałóg i będziesz miała kłopot.

Już wpadł – pomyślałam, ale głośno powiedziałam tylko:

– Pracuję nad tym. Ale porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Nie chcę się denerwować.

– Wiesz, jak wrócę, zabiorę cię na wieś, do mojej ciotki na Warmię, do Bredynek – rozmarzyła się Agata. – Tam jest taka rozległa łąka. Latem faluje jak morze. Mam ochotę po niej pobiegać. Boże, jak bardzo chce mi się po niej biegać! Poczucie chłód trawy na gołych łydkach. I ten zapach! A potem usiądziemy i będziemy ją malować. We wszystkich odcieniach zieleni, upstrzoną stokrotkami, żółtymi mleciami i koniczyną. A nad tą łąką zawiesimy niebo. Ale nie takie cukierkowo lazurowe, tylko chmurne, posiniałe, jak przed burzą. Uwielbiam burzę.

– Pojedziemy, Agata. Będziemy biegać do utraty tchu. Ja na tej łące domaluję jeszcze bociany. Tak, bociany! Na długich patykowatych nogach, z czerwonymi dziobami.

– Ależ to będzie kiczowate! – zawołała Agata i klasnęła w ręce. – Cudownie kiczowate. Zawsze wystrzegałam się takich landszaftów, ale teraz uświadomiłam sobie, że nasz krajobraz często jest jarmarczny. Na przykład takie łabędzie na stawie albo jelenie na rykowisku. Sama natura.

– Pojedziemy. A potem zwiedzimy pół świata. Sycylię, Marsylię i Tokio.

I jeszcze Madryt i Lizbonę, i Luksemburg!

– Nie chcę – skrzywiła się Agata. – Nie chcę tam jeździć. Niedawno uświadomiłam sobie, że nie znam co najmniej połowy Polski. A życie jest krótkie. Chcę poznać Polskę od wschodu do zachodu i od morza aż po góry. Potem możemy pojechać na Sycylię czy gdzie tam chcesz. Ale najpierw do Bredynek, na łąkę.

– Dobrze, do Bredynek.

– Tam jest tyle kolorów! Chce mi się kolorów. Dużo kolorów!

Pomyślałam o jej czarnej chustce, spoczywającej do dziś na oparciu krzesła w pracowni, i o zmianie, jaka nastąpiła w Agacie.

Dzięki Ci, Boże – pomyślałam i uściskałam ją mocno.

Amelia przyczłapała w za dużych kapciach swojej babci. Była tak stęskniona, że nie potrafiłam jej powiedzieć, żeby sobie poszła. Spalona kuchnia nie robiła na niej wrażenia. Zapytała tylko:

– Czy ogień trawi jak żołądek?

– A jak trawi żołądek? – nie byłam pewna, jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

– Mogę dzisiaj spać u ciebie? – zapytała i zerknęła na nadwątloną ogniem sofę. – Babcia strasznie głośno chrapie.

– Jak widzisz, nie bardzo jest na czym.

– Będę spała z tobą.

– Ale ze mną śpi Dymitr – broniłam się dzielnie.

– A Dymitr chrapie?

– Tak, bardzo chrapie.

– To niech idzie spać do babci.

– No cóż. Jeśli się zgodzi – powiedziałam na odczepnego. – Zapytaj go.

– Dobrze – odparła Amelia i usiadła przy oknie w oczekiwaniu na Dymitra.

Wrócił niebawem, w kwaśnym humorze. Elwira, dzieląc pieniądze po ostatnim koncercie, obcięła mu wypłatę za spóźnienie. To miało go przywołać do porządku. Obecność Amelii wcale nie poprawiła mu nastroju.

– Cholera, miałem kupić nową kuchenkę, teraz nam nie wystarczy – denerwował się.

Amelia dołała oliwy do ognia.

– Jagoda powiedziała, że dzisiaj będziesz spał z moją babcią – rzuciła spod okna.

Dymitr na chwilę zaniemówił.

– Dobrze, proszę bardzo – nie krył wściekłości. Mogę spać z samym diabłem. Róbcie tu sobie co chcecie.

Potem trzasnął drzwiami i wyszedł.

– Nie wziął piżamki – jęknęła zawiedziona dziewczynka i spojrzała na mnie



wielkimi oczami.

Nie odezwałam się tylko dlatego, że to, co miałam do powiedzenia, nie nadawało się dla uszu dziecka. Domyślałam się natomiast, że Dymitr wykorzysta okazję, żeby się napić. Nie chciałam, by w takim stanie zobaczyła go Amelia. Odprowadziłam opierające się dziecko na górę. Po powrocie przejrzałam rachunki do zapłacenia. Sytuacja wyglądała źle. Ostatnio nie miałam żadnych zleceń i żyliśmy jedynie z tego, co przyniósł Dymitr. Z dzisiejszą wypłatą mogłam się pożegnać, przepije ją z kumplami. Nie pozostało mi nic innego, jak szukać pomocy u Konrada. Zaczęłam rozumieć artystów wystawiających swoje obrazy gdzie popadnie, byle tylko je sprzedać. Teraz będę musiała pójść ich śladem, chociaż profesorowie na uczelni przestrzegali przed podobnym traktowaniem sztuki. Twierdzili, że takie postawy kształtują niski poziom malarstwa, bo artyści w pogoni za zarobkiem idą na ilość, nie jakość. Sztuka z pieniędzmi nie ma nic wspólnego i wymaga cierpliwości i pracy. Ale co zrobić, jeśli trzeba zarobić na chleb? Jedyne prace, jakie miałam to te, które wróciły z wystawy na rzecz Agaty. Może uda mi się je gdzieś sprzedać? Malowanie obrazów zajmowało sporo czasu. To nie był szybki zarobek. Wpadłam w popłoch. Nigdy dotąd nie byłam w takiej sytuacji. Jeszcze tego brakowało, żeby wyłączyli nam prąd. Zdeterminowana zadzwoniłam do Konrada.

– Wiesz, Jagoda – westchnął. – Ostatnio odmówiłaś ilustrowania książki. Wziął ktoś inny. Na razie nic nie mam. Jak coś będzie, dam ci znać.

Tak jak myślałam, Dymitr wrócił pijany i praktycznie bez grosza. Konto pozostawione przez rodziców od dawna świeciło pustkami. Byłam bezradna. Z sypialni dobiegały chrapliwe dźwięki. Przy ich akompaniamencie malowałam całą noc. Rano zamazałam wszystko na czarno i położyłam się obok Dymitra. W tej chwili nienawidziłam tego człowieka.

- Halo, dzień dobry, panie Krzysztofie.
- Słucham – rozległ się oschły głos po drugiej stronie słuchawki.
- Mówi Jagoda Czajewska. Pamięta mnie pan? Wystawa... Portret Lotnika.

Pamięta pan?

- Oczywiście, że panią pamiętam. O co chodzi?
  - Pański ojciec nie czuje się najlepiej.
  - Skoro jest pani opiekunką, to chyba wie pani, co robić. Niech pani wezwie pogotowie – powiedział zniecierpliwiony.
  - Nie jestem żadną opiekunką – zdenerwowałam się. – Zaglądam do pańskiego ojca z dobrej woli. To pan jest jego synem.
  - Jaki ojciec, taki syn. Nie interesowałem go przez całe życie. Dlaczego mam się nim teraz zajmować?
  - Pan Wiesław traci pamięć. Uważam, że to ostatni dzwonek na spotkanie z rodziną. Potem może niczego nie kojarzyć.
  - Żadna strata.
  - Panie Krzysztofie, tak nie można – ofuknęłam go.
  - Nie można, nie można – burczał. – To niech go pani przywiezie.
  - Proszę wybaczyć. Teraz nie mogę. A sprawa jest pilna.
  - Umawialiśmy się inaczej. To pani miała tu z nim przyjechać.
  - Wiem, ale chwilowo mam kłopoty finansowe.
  - Nie pali się. W końcu z dnia na dzień nic się nie stanie.
  - Nie jestem pewna. Jest coś jeszcze.
  - Co znowu? – rzekł nieco opryskliwie i mogłabym przysiąc, że spojrzał na zegarek.
  - Na strychu ktoś postawił trumnę.
  - Kto? – zainteresował się.
  - Skąd mam wiedzieć?
- W słuchawce przez chwilę trwała cisza.
- Ojciec jest w takim wieku, że pewnie sam pomyślał o pochówku – powiedział schrypniętym głosem.
  - Nie sądzę. Przy trumnie znalazłam plik aktów zgonu podpisanych in blanco.
  - Niech mnie pani w to nie miesza. Co mnie to wszystko obchodzi?
  - Jak można być tak bezdusznym! – podniosłam głos. – Ktoś czyha na życie pańskiego ojca. Naprawdę nic to pana nie obchodzi?
  - Niechże pani nie histeryzuje. Kto miałby czyhać na jego życie? Po co?
  - Pan Wiesław ma pokaźne konto w banku i dom w Krakowie. To nic nie znaczy według pana?

Znowu zamilkł. Słyszałam jego oddech.

- Przyjadę w piątek – powiedział w końcu.
- Proszę zabrać swoją żonę, Lusię.
- Po co?
- Myślę, że pański ojciec chętnie poznałby synową.
- Głupi pomysł. Jedna sprawa...
- Tak?
- Chcę, żeby pani tam była. Spotkamy się wcześniej.
- Dobrze – zgodziłam się.

Gdy odłożyłam słuchawkę, wyjęłam obrazy z za szafy i ustawiłam je wzdłuż ściany w salonie. Było ich zaledwie pięć. W dodatku każdy inny. Różniły się tematem, kolorystyką i techniką wykonania. Nie były też najwyższych lotów, więc sprzedaż mogła się nie powieść. Zadzwoiłam do Konrada.

- Potrzebuję pieniędzy, chcę sprzedać obrazy.
- Mam zorganizować ci kolejkę? – zapytał zgryźliwie.
- Myślałam, że możesz mi pomóc – byłam zawiedziona.
- Sam mam kilka obrazów, które chciałbym komuś opchnąć. To nie takie

proste.

- A wystawa?
- Wystawa?
- No... jakbym zorganizowała sobie wystawę, może coś by poszło.
- Teoretycznie zwiększa się szansa, żeby coś sprzedać. Nie wiadomo tylko, czy zwrócą ci się koszty.

– Jakie koszty? Agata mówiła kiedyś, że niektóre biblioteki albo ośrodki kultury zgadzają się udostępnić miejsce za darmo.

– Szukaj. Ale nie zapominaj o kilku szczegółach, takich jak wynajem sztalug, wino, kieliszki, przekąski... To wszystko kosztuje. Ile masz obrazów?

– Pięć.

– Pięć? – w jego głosie zabrzmiała kpina. – Nie żartuj. Chcesz wystawić pięć obrazów?

– Mógłbyś dołożyć swoje, a koszty ponieśliśmy wspólnie.

– Nie, w żadnym wypadku. Nie jestem jeszcze gotów. Poza tym mam zupełnie inny styl. I wolałbym samodzielną wystawę. Nie lubię się dzielić.

– To co mam zrobić?

– Trzeba było wziąć te ilustracje. Teraz możesz tylko malować ślubne portrety na zamówienie.

– Zwariowałaś? Ślubne portrety?

– Ze zdjęć. Na jednym można zarobić tysiąka. Na twoim miejscu nie marudziłbym. W międzyczasie może znajdziesz coś lepszego. W tej chwili nie mam innego pomysłu.

– Szkoda. Zawsze mi pomagałeś.

– A ty zawsze przyjmowałaś to, co ci proponowałem. Odkąd masz tego...  
Jak mu tam...

– Przestań. Nie czepiaj się Dymitra. Poradzę sobie, cześć.

Rozłączyłam się i zacisnęłam pięści. Ślubne portrety, rzeczywiście. Trudno, zacisnę zęby i zrobię tę wystawę. Muszę tylko domalować kilka obrazów.

Nie zdawałam sobie sprawy z własnej naiwności, dopóki nie zajrzałam do skrzyni. Na jej dnie walały się wyschnięte tubki z resztką farby, wśród nich kilka zużytych do połowy. Przede wszystkim powinnam uzupełnić te braki. Bez farb nie mogłam namalować nawet ślubnego portretu. Ręce mi opadły. Najbliższy koncert Dymitra wypada w sobotę. To jeszcze cztery dni. Lodówka świeci pustkami. Co robić? Może pożyczyć od dziadka?

Ubrałam się i poszłam na parking. Toyoty nie było.

– Niech to szlag! – zakląłam na głos i rozejrzałam się dookoła, zastanawiając się, czy na pewno zostawiłam ją w tym miejscu. – Nie wierzę, cholera, nie wierzę!  
– Stałam w gąszczu schlapanych pośniegowym błotem samochodów i wyteżałam wzrok w nadziei, że gdzieś zobaczę szarą Toyotę należącą do mojego ojca. Los doświadczał mnie na każdym kroku. Wszystko wokół mnie niszczył, palił, ograbiał, wreszcie zabijał. A dłoń, której powinnam się trzymać jako ostatniej deski ratunku, usuwała się, szukając oparcia w butelce wódki. Brodząc w topniejącym brudnym śniegu, dotarłam do głównej ulicy. Nawet nie chciałam myśleć o powrocie do zniszczonego mieszkania, gdzie prócz trosk nic mnie nie czekało. Wspomnienie staroświeckiego apartamentu babci, pełnego pamiątkowych bibelotów, uświadomiło mi czasy beztroski i dobrobytu. Widocznie nie potrafiłam kierować własnym życiem, psułam wszystko, czym szczerze mnie obdarzyło. Teraz powinnam iść na posterunek policji i zgłosić kradzież, ale byłam tak rozdygotana, że nie potrafiłam sklecić jednego sensownego zdania. Szłam więc przed siebie, bez celu, nawet nie czując przenikliwie zimnej wilgoci unoszącej się w powietrzu. Latarnie mdłym światłem rozmywały zapadający zmierzch, który wykradzał się chyłkiem z ponurych zakamarków miasta. Przez wystawowe okna zaglądałam do przytulnych sklepów pełnych niedostępnego dziś dla mnie towaru, do restauracji, w których siedziały wytworne panie i eleganccy panowie. Uświadomiłam sobie, że nie jadłam nic od śniadania i poczułam, że za chwilę mój żołądek pochłonie sam siebie. Przeanalizowałam stan oszpeconych spalenizną kuchennych szafek i postanowiłam usmażyć naleśniki, bo miałam potrzebne do nich produkty. Ta myśl dodała mi sił. Zawróciłam i energicznym krokiem ruszyłam w kierunku domu. Jakież było moje zdziwienie, gdy pod bramą ujrzałam Toyotę. Podeszłam bliżej, zgarnęłam dłonią błoto z tablicy rejestracyjnej i upewniłam się, że to nie jest pomyłka. Zajrzałam do torebki, w której zwykle nosiłam kluczyki od samochodu i dowód rejestracyjny. Nie było tam żadnej z tych rzeczy. Wbiegłam po

dwa schodki naraz, by po chwili stanąć twarzą w twarz z Dymitrem.

– Wziąłeś bez pytania samochód! – zawołałam oskarżycielsko od samych drzwi.

Dymitr siedział w podkoszulku na sofie i opychał się chlebem z masłem.

– Spałaś, nie chciałem cię budzić – odparł z pełnymi ustami, wywołując we mnie uczucie odrazy.

– Mogłeś zadzwonić. Martwiłam się przez cały dzień – dodałam z wyrzutem.

– Nie mogłem. Wyłączyli mi telefon.

– Poza tym grzebałeś w mojej torebce – dodałam, ignorując problem telefonu.

– Szukałem kluczyków. Mogłaś zostawić je na wierzchu.

– Na wierzchu? Nie umawialiśmy się, że weźmiesz samochód. Mogłam go potrzebować.

– Śpieszyłem się. Przepraszam.

– Nigdy więcej tego nie rób.

– Dobrze, dobrze. Nic takiego się nie stało.

– Dymitr, to nie było w porządku. Stało się. Nie masz prawa zaglądać do mojej torebki i brać bez pytania moich rzeczy. Mam dość problemów. Nie chcę dodatkowo ponosić konsekwencji twoich pomysłów.

– Przesadzasz – mruknął. – Jakie ty masz problemy?

– Różne. Dziwię się, że nie wiesz, mieszkając ze mną pod jednym dachem.

Nie mamy pieniędzy.

– Dziś ich nie ma, jutro będą. Pieniądze to rzecz nabyta. W sobotę mam koncert, dostanę kasę.

– Na to liczę – westchnęłam. – W kuchni nie ma prądu.

– Będą pieniądze, będzie prąd. Na razie masz przedłużacz.

– Dymitr...

– No?

– Co myślisz o moich obrazach?

– O twoich obrazach? – powtórzył i spojrzał na wystawę utworzoną pod ścianą w salonie. – Nie znam się na tym.

– Powiedz chociaż, czy ci się podobają.

– Nie wiem. Są... trudne.

– Trudne? Co znaczy trudne?

– Nie wiesz, o co na nich chodzi na pierwszy rzut oka. Musisz się przyjrzeć i zastanowić.

– Kupiłbyś je?

– Ja? Po co mi twoje obrazy?

– Nie rozumiesz. Gdybyś był klientem i chciał kupić jakiś obraz, wybrałbyś któryś z nich?

- Nie.
- Do licha! Naprawdę nie?
- Nie. One mnie denerwują.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Nie umiem ci tego wytłumaczyć. One jakby nie mieszczą się w ramach. Jest im za ciasno. Poza tym nie rozumiem ich.
- Bo one nie są do rozumienia. Mają pobudzić twoją wyobraźnię i otworzyć oczy.
- Właśnie dlatego ich nie lubię. Ja muszę mieć czarno na białym.
- Dymitr, to jest sztuka...
- Sztuka. Sztuka to „Mona Lisa”. Siedzi baba, uśmiecha się i wszystko jasne.

A tutaj?

- Po pierwsze wcale nie jest jasne. Nie wiemy, dlaczego się uśmiecha. A po drugie tutaj też siedzi baba, Dymitr! – zirytowałam się i wskazałam na jedno z malowideł. – Tylko, że ona się nie uśmiecha.
- To? Myślałam, że to pajęczyna.
- Pajęczyna. Co ty wiesz o sztuce?
- Przecież mówiłem, że się nie znam.
- Chciałabym sprzedać choć jeden obraz. Nie mam za co kupić farb.
- Już niedługo. W sobotę mam koncert w Gdańsku. Będą pieniądze.

W głosie Dymitra wyczułam zniecierpliwienie. Podniósł się z sofy, zajrzał do barku, gdzie zwykle trzymaliśmy wino, potem przeszedł do kuchni i zaczął trzaskać drzwiczkami otwieranych po kolei szafek. Następnie ubrał się, złapał gitarę, z którą nigdy się nie rozstawał, i rzuciwszy coś niewyraźnie przez ramię, wyszedł z domu. Nie ulegało wątpliwości, czego szukał. Westchnęłam, schowałam płótna i usiadłam na brzegu skrzyni. Powoli dojrzewała we mnie myśl, żeby rozstać się z Dymitrem. Czułam przez skórę, że ten związek nie przyniesie mi niczego dobrego.

Wrócił wieczorem. Położył na stole zwiniętą czapkę i powiedział:

- Zajrzyj tam, kochana. To dla ciebie na farby. Zarobiłem pod Sukiennicami. Był trzeźwy.

Przyznam, że mnie wzruszył. Po miłości spodziewamy się zwykle czegoś wielkiego. Nie wierzymy w nią, uznając, że odeszła ze średniowiecznymi rycerzami, albo oczekujemy wyrzeczeń i poświęceń. Miłość Dymitra przycupnęła z gitarą pod Sukiennicami i objawiła się troską o mnie. Jeszcze niedawno myślałam o rozstaniu. Teraz gorący rumieniec oblał moje policzki. Było mi wstyd.

- Kochanie, dziękuję – szepnęłam, ciesząc się zarówno z pieniędzy, jak i z faktu, że ich nie przepił.

W piątek zadzwonił Krzysztof Kowalski.

- Jestem w Krakowie – powiedział. – Jak się umawiamy?

– Proszę jechać do ojca. Zaraz tam będę – odparłam, zerkając przez okno pracowni. Jak przystało na luty, sypał śnieg, okrywając puszystą pierzynką gałęzie akacji.

Pan Krzysztof czekał przy swoim samochodzie w pewnej odległości od domu dziadka. Zdecydowanie nie chciał ujawniać się przed moim przybyciem. W środku siedziała Lusia. Była zaniepokojona i wyraźnie onieśmielona czekającym ją spotkaniem. Pan Krzysztof otworzył drzwi samochodu i pomógł żonie wysiąść.

– Dzień dobry – ukloniłam się uprzejmie.

– Dzień dobry – odparła z sympatią. – Kupiłam ten obraz, wie pani? Krzysztof się zdecydował. Przywieźliśmy ojcu.

Zaskoczona spojrzałam na Krzysztofa, który tylko przewrócił oczami.

– Prezent dla pana Wiesława? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Wiesława, tak – odparła i spojrzała z miłością na męża.

Jeśli ona go tak kocha – pomyślałam z ulgą – to nie może być taki zły.

– Możesz nie gadać tyle z opiekunką? – zirytował się Krzysztof Kowalski i popchnął mnie lekko przed sobą. – Idziemy, szkoda czasu – mruknął.

– Nie jestem żadną opiekunką – syknęłam. – Mówiłam to już panu.

– Co za różnica – burknął. – Odbętnijmy to wreszcie, chcę wracać do domu.

– Pański ojciec nic nie wie o wizycie. Nie wie o panu. Będzie zaskoczony, może nawet w szoku. Proszę ostrożnie zakomunikować mu, kim pan jest. Ma chore serce, może...

– Dobra, dobra – przerwał mi. – Niech się pani nie martwi.

Ścieżka wiodąca od furtki zasypana była świeżym śniegiem. Nacisnęłam brzęczyk dzwonka i już po chwili usłyszeliśmy kroki. Drzwi uchyliły się, a twarz, która się za nimi pojawiła, wyrażała ciekawość i obawę jednocześnie.

– Jagódka! Chodź, dziecko do środka – zawołał dziadek i otworzył szerzej drzwi. Wtedy dostrzegł Lusię i Krzysztofa. – A to kto? – zapytał zmieszany. Był w samych kalesonach i to go trochę speszyciło.

Skinęłam na moich towarzyszy i bez słowa, pewnie ruszyłam do przodu.

– A kogo mi tu prowadzisz, co? – ponowił pytanie, rozglądając się za spodniami.

Ponieważ nadal nie odpowiadałam, zmrużył oczy i wnikliwie zaczął przyglądać się gościom. Potem wyciągnął rękę w kierunku Krzysztofa.

– Jakbym go gdzieś widział, Jagódka... Ale to nie Zygmus przecież...

Krzysztof zachnął się, a Lusia wypaliła:

– Nie żaden tam Zygmus, tylko Krzysztof, syn.

– Boże ty mój... Boże... Nie może być. Przecież jego nie ma – szepnął dziadek i zaczął się trząść na całym ciele. Przestraszyłam się, że znów będę musiała go reanimować. – To Krzyś? Ty żyjesz, chłopaku? Żyjesz? Tyle lat, Jezusie! Tyle

lat!

Dziadek nie zważał już na niestosowny strój, tylko drobnym kroczkiem podążył w kierunku syna.

Pan Krzysztof chrząkał skonsternowany i nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Stał jak kawałek drewna, gdy ojciec niepewnie, jakby miał do czynienia z duchem, dotykał jego rąk i twarzy.

– A to? Kto to jest? – zapytał, wskazując Lusię.

– Ja jestem Lusia, żona Krzysia – pośpieszyła z odpowiedzią.

– Lusia? Lusia... – powtórzył, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. Potem podszedł do biurka i otworzył szufladę. Długo patrzył w jej wnętrze, w końcu sięgnął ręką i zaczął przebierać wśród papierów, spod których wydobyl medalion.

– A to twoje chyba, Lusi? – zapytał, podając jej srebrny naszyjnik.

– Tak, moje! – Ucieszyła się. – Skąd to u... – Nie dokończyła, nie wiedząc pewnie jak ma zwracać się do swojego dopiero co poznanego teścia.

– Zygmuśowi skradłem – zachichotał dziadek szelmowsko. – Tak myślałem, że to może być Krzysio, chciałem choć pamiątkę po nim mieć. Ale skoro mam go żywego, to tej błyskotki już nie potrzebuję.

Przez chwilę patrzyłam na Krzysztofa, który przyglądał się uważnie ojcu. Mimo szorstkiego sposobu bycia, dostrzegłam błysk ciepła w jego oczach.

– Pójdę zrobić herbaty – powiedziała lekko wzruszona i wyszłam do kuchni.

Kiedy stawiałam tacę z filiżankami, sytuacja była już mniej więcej opanowana. Cała trójka siedziała przy stole i popatrywała na siebie niepewnie.

– Mizernie dziadek wygląda – zauważyłam, by przerwać ciszę. – Pani Grażyna już nie przychodzi?

– Przychodzi, przychodzi. Zupę przynosi. Nie bardzo mi smakuje, to nie jem. Ale nic nie mówię, żeby przykrości kobiecie nie robić. Wylewam, myję garnuszek i wszystko jest w porządku.

– To może ja coś ugotuję? – wtrąciła Lusia i zerwała się z miejsca.

– Siedź – mruknął Krzysztof.

– Dlaczego dziadkowi nie smakuje? – zagadałam szybko. – Kiedy smażyliście razem racuchy, to dziadek jadł i chwalił.

– Racuchy były dobre, a zupę raz zjadłem, to jeszcze kilka dni po tym mnie mdliło. Aż oczy krwią mi nabiegły, tak wymiotowałem. Niedługo przyniesie, to sama zobaczysz. Octem śmierdzi.

Dyskretnie skinęłam na pana Krzysztofa. Podniósł się niechętnie i poszedł za mną na strych. Zanim otworzyłam drzwi byłej pracowni, powiedziałam szeptem:

– Coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Co ona dodaje do tych zup? Może go truje?

Spojrzał na mnie, jakbym cierpiała na zaburzenia maniakalne.



– Bez przesady. Niech pani otwiera ten strych.

Trumna stała tam, gdzie ją ostatnio widziałam. Pan Krzysztof obszedł ją dookoła i poklepał ręką wieko.

– Dupek – mruknął do siebie. – Wystarczyłaby sosnowa.

Nie wierzyłam własnym uszom. Spiorunowałam go wzrokiem, zostawiłam sam na sam z trumną i zbiegłam na dół.

Dziadek coś opowiadał, a jego synowa śmiała się serdecznie. Kiedy zszedł Krzysztof, pan Wiesław spoważniał i zwrócił się do niego:

– A matka?

Zapadła cisza. Spojrzałam na Krzysztofa w obawie, że za chwilę twardo poinformuje ojca o jej śmierci i jeszcze dorzuci coś nieprzyjemnego. Ale tak się nie stało. Krzysztof milczał z głupią miną.

– Mamusia już trzy lata nie żyje – westchnęła Lusia i położyła dłoń na pomarszczonej ręce dziadka.

– Nie zdążyłem... Nie zdążyłem – szepnął dziadek i pokiwał głową. – Mój Boże... Niech ona mi tam w niebie wybaczy.

Krzysztof nabrał powietrza, ale na szczęście nadal się nie odzywał.

Pan Wiesław otarł chustką oczy, wstał i z szafki biurka wyjął spore tekturowe pudełko.

– Weź, to dla ciebie – zwrócił się do syna.

Pan Krzysztof obrzucił ojca wzrokiem naburmuszonego buldoga i wyciągnął rękę po pudełko.

– Cieszę się, że mogę ci to dać. Pamiątka.

Krzysztof wziął pudełko i zajrzał do niego z ciekawością.

– Zdjęcia? – zapytał i wydał wargi.

– Tak, z czasów jak byłem z twoją matką. Weź to sobie.

Krzysztof zamknął pudełko i wrzucił ramionami. Widoczna przykrość odbiła się na twarzy dziadka.

– Nie obruszaj się, synu. Kochałem twoją matkę, a ty przecież z tej miłości jesteś – rzekł wzruszony i pokiwał głową. Krzysztof poczerwieniał i już chciał coś powiedzieć, ale znów się powstrzymał, za to pan Wiesław dodał: – Mam coś jeszcze, ale po to do banku ojca zawieziesz, dobrze?

Krzysztof chrząknął i nic nie powiedział, tylko poruszył się niespokojnie.

Niedługo potem ktoś zadzwonił do drzwi. Ruchem ręki powstrzymałam dziadka i poszłam je otworzyć.

– Przyniosłam zupę – oznajmiła pani Grażyna i podniosła do góry mały, zielony rondel. – Dla Wiesia – dodała i cofnęła rondel, gdy chciałam go wziąć.

– Proszę mi dać, nie zjem przecież – zapewniłam ze śmiechem.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu podała mi naczynie.

– Niech zje, póki ciepła.

– Dobrze, zje na pewno. Dziękuję.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i się wycofała. Podniosłam pokrywkę i powąchałam zupę. Zapachniało ogórkową, nawet apetycznie. Poszłam do kuchni i przelałam zawartość rondla do słoika. Zakręciłam szczelnie i schowałam do torebki stojącej w przedpokoju. Krzysztof rzucił na mnie szybkie spojrzenie, wydawałoby się, zawstydzone.

– Przepraszam – mruknął. – Chciałbym już jechać. Muszę to wszystko... – Chrząknął, jakby ość utkwiała mu w gardle. – Muszę to przemyśleć.

Uznałam, że na mnie też czas.

– Ty zostań jeszcze, Jagódka – poprosił dziadek. – Jakoś tak markotno samemu zostać po tym... Po tym wszystkim.

– Dobrze – zgodziłam się. – Odprowadzę tylko gości do samochodu.

Krzysztof sięgnął po kurtkę. – No cóż – powiedział, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz. – Dopięła pani swego.

Potem machnął ręką, otworzył drzwi żonie i sam wsiadł do auta.

– Cieszę się ze względu na pana Wiesława. Czekał na pana. Całe życie czekał – powiedziałam.

– Szczerze? Nie zrobił wszystkiego, co mógł, a właściwie nic nie zrobił, ale szkoda o tym mówić.

– Mam do pana jeszcze prośbę – rzekłam i wyjęłam z torebki słoik z zupą, na widok której wytrzeszczył oczy. – Nie, nie musi pan tego jeść – uspokołam. – Proszę tylko o zlecenie badania w sanepidzie. Dla mojego spokoju. Zrobiłabym to sama, ale nie mam w tej chwili pieniędzy, a to trochę kosztuje. Proszę mnie zawiadomić o wynikach.

Skrzywił się, ale zabrał słoik i schował go za pazuchą.

– Ale pani uparta – mruknął. – Dobrze, zadzwonię, gdy będę coś wiedział, choć uważam to za dziwactwo.

– Dziękuję – powiedziałam i zawróciłam do domu dziadka.

Dymitr był w Gdańsku, więc postanowiłam wykorzystać tę sobotę na wizytę u Agaty. Zachęcona jej znacznie lepszym samopoczuciem, wyłuskałam ostatnie pieniądze na dorodną marchewkę i ze świeżo wyciśniętym sokiem wybrałam się do szpitala. Pewnym krokiem przemierzałam korytarze. Po drodze ćwiczyłam czarujący uśmiech, by za chwilę ją nim przywitać. Otworzyłam białe drzwi z numerem osiemnaście i struchlałam. Na łóżku Agaty leżała obca kobieta. Jako jedna z nielicznych, mogła się jeszcze poszczycić ciemnymi lokami. Stałam jak wryta, wpatrując się w nią z przerażeniem.

– Pani kogoś szuka? – zapytała z lekkim niepokojem.

Bałam się odezwać, żeby nie usłyszeć straszliwej, nieuniknionej prawdy: Agata umarła. Nie ma jej. Nigdy nie będzie. Odwróciłam się na pięcie i ze ściśniętym gardłem pobiegłam do dyżurki. Jedna z pielęgniarek wypełniała jakieś karty, druga rozkładała leki do maleńkich kieliszków. Obie podniosły gwałtownie głowy, gdy ledwie nad sobą panując, zapytałam:

– Przepraszam, gdzie jest Agata?

– Która Agata? – zapytała ta od kart. – Z osiemnastki?

– Tak, ta z osiemnastki – potwierdziłam roztrzęsionym głosem.

– Wczoraj została wypisana – poinformowała mnie druga.

– Do domu? – zapytałam z nadzieją. Serce waliło jak oszalałe. – Zdrowa?

Spojrzały najpierw po sobie, potem na mnie.

– Zdrowa? Proszę pani... – pielęgniarka od leków przybrała nieco ironiczny ton. – Czasem szpital nie może więcej pomóc.

– To znaczy, że... że co?

– Proszę zapytać lekarza. My nie jesteśmy od udzielania informacji – ucięła krótko pierwsza i pochyliła się nad biurkiem.

– Gdzie znajdę lekarza?

– Nie wiem. Jeśli nie ma w dyżurce, to pewnie gdzieś krąży.

Krążył. I był tak zajęty, że nie chciał ze mną rozmawiać.

– Pani jest kim? Siostrą? – rzucił przez ramię, nie zwolniwszy nawet kroku.

– Nie...

– Kimś z rodziny?

– Przyjaciółką.

– To niech sobie pani do niej zadzwoni. Do widzenia – rzekł opryskliwie i odszedł.

Stałam przez chwilę oszołomiona, potem wydobyłam z torebki telefon i, zmierzając w kierunku wyjścia, wybrałam numer Agaty. Nie dzwoniłam do niej, odkąd dowiedziałam się o chorobie. Trzęsły mi się ręce. W słuchawce usłyszałam długi sygnał. Trwał w nieskończoność. Nie udało mi się skontaktować również

z Robakiem. Po krótkim zastanowieniu udałam się do rodziców Agaty. Pies w mieszkaniu rozszczękał się jak oszalały. W przerwach węszył pod drzwiami, które wciąż były zamknięte. Uchyliły się dopiero, gdy byłam już przy windzie.

– Kto tam? – Usłyszałam głos matki Agaty. – A, to ty, Jagoda... Przepraszam, zasnęłam jak kamień. Miałam ciężką noc. Wyprawiałam Agatkę do Houston.

– Naprawdę? – ucieszyłam się. – Poleciała?

– Cóż. Nasi lekarze rozkładają bezradnie ręce.

– W Houston się uda. Zobaczysz pani, wszystko się uda! – zawołałam pełna otuchy.

– Niczego bardziej nie pragnę. Ale boję się o tym myśleć. Pojawił się nowy guz...

Do domu wracałam bardzo przygnębiona. Upragniony wyjazd Agaty do Houston przynosił zaledwie iskierkę nadziei. Trzeba czekać.

Koncert Corby w Gdańsku wzniosł nas finansowo do poziomu utrzymującego na powierzchni, bez obawy o dzień powszedni. Mogłam pozwolić sobie na spłacenie rachunków i kupno dobrych farb. Widmo malowania ślubnych portretów lub wystawiania z obrazem pod pachą na Rynku, by go sprzedać, odsunęło się na dalszy plan. W perspektywie ujrzałam wystawę moich obrazów, nad którymi zamierzałam teraz pracować. Pełna zapału zagruntowałam płótno i układałam w myślach plan tego, co chcę namalować. Do głowy przychodził mi jednak tylko mózg Agaty zainfekowany śmiercią.

Krzysztof Kowalski zadzwonił we wtorek przed południem.

– Jak czuje się ojciec? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wypalił: – A z tym słoikiem to miała pani rację. W próbce tej cholernej zupy wykryto spore ślady bromadiolonu.

– Co to jest? – zapytałam z przejęciem.

– Substancja, która wchodzi w skład trutki na szczury. Działa z kilkudniowym opóźnieniem. Pewnie po to, żeby ojciec nie kojarzył złego samopoczucia z jedzeniem. Być może nie każda porcja zupy była nią nafaszerowana.

– Boże... – jęknęłam. – I co teraz?

– Nic. Zgłosiłem na policję. Podałem również pani nazwisko, jako świadka. Mogą panią wezwać.

– Dobrze. Jakie to szczęście, że pański ojciec tego świństwa nie jadł.

– Pewnie nie zatrąłby się od razu, bo dawka nie była aż tak duża, ale prędzej czy później... Wie pani... Kaput!

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym, jak to wszystko mogło się skończyć. Prawdę mówiąc, byłam z siebie dumna, jak detektyw, który wpada na genialny pomysł, no i wdzięczna Krzysztofowi, że załatwił sprawę z sanepidem jak należy.

W ostatnich dniach lutego powietrze pachniało już przedwiośnią. Po śniegu nie było śladu i miasto wydawało się brudne. Po raz kolejny pozazdrościłam rodzicom pobytu nad Atlantykiem w ciepłym, równikowym klimacie. Na szczęście przebywają teraz w południowej części kraju, gdzie jest bardziej sucho niż w pozostałych rejonach. Za oknem pracowni na gałązkach akacji wróble urządziły sobie zbiórkę, kłócąc się świergotliwie. Przyglądałam się temu z uśmiechem. Te ptaki zawsze wprawiały mnie w dobry nastrój. Moje radosne obserwacje przerwał dzwonek. Odłożyłam pędzel, którego nie zdążyłam nawet zamoczyć w farbie, i poszłam otworzyć drzwi. W progu stał Juliusz. Nie widziałam go od czasu wypadku jego żony. Strapiony wyraz twarzy świadczył o tym, że nie wszystko układało się najlepiej. Rozejrzałam się za Amelią. Tęskniłam trochę za tym uroczym dzieckiem.

– Amelia u babci – odpowiedział na moje niezadane pytanie. – Masz chwilę czasu? Muszę z kimś pogadać. Z kimś normalnym.

– Tak, jasne. Wejdz. Czy coś się stało?

– Stało? Nie. To się dzieje.

Pokiwałam głową, choć nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli, i poszłam do kuchni zrobić kawę.

– Widzę, że Dymitr nie naprawił jeszcze szkód – mruknął Juliusz, lustrując zniszczoną kuchnię.

– Nie możemy wyjść na prostą, brakuje nam finansów – usprawiedliwiałam go.

– Mógłby chociaż pomalować ścianę, cała jest osmalona – pokręcił nosem.

– Zrobi to w najbliższym czasie. Usiądź w fotelu, nie będziesz musiał na nią patrzeć. Ja już się przyzwyczałam.

– Zdziwiałam się, że do pewnych rzeczy można się przyzwyczaić. I chociaż w pierwszej chwili wywołują szok, po jakimś czasie przestajemy je zauważać. Przy tym zarówno piękno, jak i brzydota przestają robić wrażenie. Zauważyłaś to?

– Nie zastanawiałam się nad tym. Ale może masz rację. Jak twoja żona? – zmieniłam temat.

– No właśnie – westchnął i zamilkł.

Nie ciągnęłam go za język. Może potrzebował chwili, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Przyniosłam kawę i usadowiłam się naprzeciw niego. Przed oczami miałam poczerniałą ścianę, która znowu zaczęła mnie drażnić.

– Myślałem, że miłość jest bezwarunkowa – odezwał się Juliusz i popatrzył na mnie tak, jakbym to ja go o tym przekonywała.

– Chyba czasami jest – powiedziałam ostrożnie. – Własne dziecko czy rodziców kochasz bezwarunkowo.

– Owszem, zdarza się, chociaż i dziecko potrafi dopiec tak, że zaczynasz je nienawidzić.

- Nienawidzisz i kochasz. Taka miłość nie dostrzega wad. Jest ponad to.
- Możliwe, ale mówię tu raczej o miłości w małżeństwie albo partnerskiej, jak wolisz.
- Uważam, że tutaj też można kochać bezwarunkowo. Pewne rzeczy trzeba wybaczyć i już.
- Chyba niewiele o tym wiesz.
- Oczywiście możesz twierdzić inaczej. Ale moim zdaniem albo nie kochasz prawdziwie, albo kochasz tak, że po kolejnych zawodach będziesz chciał wyrwać sobie serce.
- Może w takim razie nie Kocham prawdziwie.

Zamyślił się. Mieszałam bezwiednie łyżeczką kawę i zastanawiałam się nad własnym uczuciem do Dymitra. Tyle razy obiecałam sobie, że nigdy więcej mu nie wybaczę. I wystarcza jeden gest, dotyk, słowo... Wybaczam. Zawsze.

– Nie wytrzymuję ze swoją żoną – odezwał się wreszcie Juliusz. – Miałem nadzieję, że kiedy zabiorę ją do domu, wszystko się ułoży. Ona mnie nie cierpi, Jagoda. Im bardziej mnie potrzebuje, tym więcej w niej nienawiści. Tak, jakby obarczała mnie winą za to, czego już nie może mieć: pracy, podróży, kochanka... Kiedy wchodzę do pokoju, w którym leży, krzyczy, żebym się wynosił, że nie może na mnie patrzeć. A ja przecież zajmuję się nią tak, jak kiedyś Amelią. Myję, karmię, ubieram... W nocy pracuję, żeby zarobić.

– W takim razie to nie ty z nią nie wytrzymujesz, tylko ona z tobą. Jeśli robisz to wszystko, to chyba w imię miłości.

– Nieprawda. Myślałem tak na początku i naprawdę się starałem. Teraz obsługuję ją, bo się tego podjąłem. I nie robię niczego z miłością, tylko z niechęcią, a nawet z obrzydzeniem. Nie wiem, co dalej. Czasem siedzę w swoim gabinecie i szarpię się sam ze sobą. Wiem, że muszę do niej pójść, zrobić to, co do mnie należy, ale w niej nie ma za grosz pokory, wdzięczności, niczego prócz nienawiści. A Amelia...

– Co Amelia?

– Ona z kolei nie chce wychodzić z pokoju matki. A Paula tylko na nią patrzy i nic nie mówi. Serce mi się kroi, gdy dziecko tuli się do niej, a ona ręki nawet nie może podnieść, żeby ją pogłaskać. Gdyby nie Amelia, która jej nie odstępował, to... Nie wiem.

– Musisz chyba zatrudnić kogoś do opieki. Sam nie dasz rady. A... ten kochanek?

– Nawet nie zadzwonił. Myślę, że ona była bardziej zaangażowana w ten związek. Teraz wszystko straciła.

– Nie wszystko. Ma jeszcze miłość córki... Juliusz, pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Agacie i Robaku? Powiedziałeś wtedy, że dla Pauli też zrobiłbyś wszystko, gdyby tego potrzebowała.

– Pamiętam. I wierz mi, byłem pewien, że tak jest naprawdę. Ale to nie zależy tylko od jednej osoby.

– Nie od osoby. To zależy od miłości. Od jej mocy.

– Agata i Robak to co innego. Oni kochają się nawzajem. Agata nie pastwi się psychicznie nad Robakiem.

– Nie wiesz, jak było. Nie chciała wpuścić go do mieszkania. Krzyczała, żeby dał jej spokój i poszukał sobie kogoś innego. Siedział przy niej tygodniami w szpitalu, a ona nie odezwała się do niego przez ten czas ani jednym słowem. Też nie potrafiła pogodzić się z chorobą. Ale on przetrwał to wszystko.

– Widocznie kocha ją bardziej, niż ja Paulę.

– Nie można kochać bardziej. Kocha się albo nie.

– Poddaję się Jagoda. Nie mam sił.

– Co zrobisz?

– Nie wiem jeszcze, ale tak nie sposób żyć. Dobrze, że tu przyszedłem. Dzięki tobie uświadomiłem sobie coś, czego nie byłem do końca pewien. Moja miłość wypaliła się chyba dawno temu. Został popiół, z którego nie wskrzesi się już nawet iskra. Przynajmniej wiem, na czym stoję. Pomyślę, jak to rozwiązać. W każdym razie odpada walka o opiekę nad Amelią. Nikt nie powierzy dziecka kalekiej matce. Dzięki za kawę.

– Juliusz... Spróbuj jeszcze.

– Nie.

Wstał i wyszedł. Nie zdążyłam jeszcze posprzątać filiżanek, gdy z pokoju wynurzył się Dymitr. Odsypiał ostatni koncert. I nie tylko. Odsypiał nocne pijaństwo.

– Wstałeś? – zapytałam oschle, patrząc na niego z niechęcią.

– Nie zwiedzisz mnie. Słyszałem twoją rozmowę z tym bubkiem. I tak mi wybaczysz, prawda, kochanie? – podszedł do mnie i przygarnął do siebie. Śmierdział przetrwoną wódką.

– Och, odejź! – warknęłam. – Nie myśl, że jesteś taki bezkarny.

– I odpuść nam winy, jako i my odpuszczamy... Tak się modlicie, prawda?

– Daj spokój, Dymitr. Modlimy się. Wy też się jakoś modlicie do swojego Boga. I co z tego? Obiecałeś, że nie będziesz pił.

– Nie piję przecież na co dzień. Ale czasami się nie da. No po prostu nie da! Nie gniewaj się, kochanie. No już... Nie dąsaj się. Chodź, zobacz, ile zarobiłem.

– Nie przekupisz mnie.

– Wcale nie mam takiego zamiaru. I wiesz co? Kupię farbę i pomaluję ścianę w kuchni. Słyszałem, że się temu płacziwemu bubkowi nie podoba.

– Nie mów tak o nim. Nie ma łatwego życia.

– A kto ma łatwe? Ty masz łatwe?

– Z tobą, nie.

Dymitr wznosił się na szczyt. Zapadał coraz głębiej w swoje granie i środowisko, któremu muzyka wypełniała świat. Po każdym koncercie, który był eksplozją odbierającą energię, wypełniony po brzegi adrenaliną, wędrował z podobnymi sobie od knajpy do knajpy, żeby odreagować godziny spędzone na scenie. Miejsce powoli wypuszczanego powietrza zajmowały drinki i nie tylko. Pojawiła się trawka, a potem coś mocniejszego, o czym nie chciał mówić, a czego coraz bardziej potrzebował. Koncert po koncercie, nieświadomy spustoszenia własnego organizmu, znęcał się nad sobą, poniewierając się różnymi substancjami i niedosypiając. Podejrzywałam, że nie raz mnie zdradził w pijanym amoku, chociaż nie miałam na to żadnych dowodów. Jednak reakcja damskiej części publiczności, kiedy pojawiał się na scenie, mówiła sama za siebie. Dziewczyny szalały za Dymitrem.

– Jagoda – mówił – muszę być z nimi, rozumiesz? Muszę krakać jak oni. Inaczej zostanę sam. A wiesz, co to oznacza? Śmierć. Umrze we mnie artysta. Będę siedział pod Sukiennicami i brzdąkał jakieś sentymentalne kawałki. To już nie dla mnie. Za późno.

Elwira przymykała na wszystko oko. Dymitr pojawiał się na scenie, publiczność była zachwycona, a płyty sprzedawały się dobrze. Nie oczekiwała niczego więcej, a życie prywatne członków Corby niewiele ją obchodziło.

W środę dostałam wezwanie na przesłuchanie na komisariacie. Wiedziałam, czego dotyczy, więc pojechałam bez stresu. Oficer był sympatyczny, chociaż urodą nie grzeszył. Rzadkie, rude włosy zawijały się nad uszami w drobne loczki, co skutecznie ujmowało mu powagi. Musiałam przedstawić okoliczności poznania Wiesława Kowalskiego, powody, dla których u niego bywałam, a także wszystko, co wiedziałam o pani Grażynie. Długo i szczegółowo wypytywał też o trumnę stojącą na strychu. Kiedy skończyłam, podziękował i odesłał, nie informując o niczym. Wiedziona ciekawością, zadzwoniłam do pana Krzysztofa.

– Coś z ojcem? – zapytał natychmiast, a w jego głosie zabrzmiał niepokój. A więc jednak – pomyślałam. – Uczucia rodzinne coraz mocniej w nim buzują.

– U niego wszystko w porządku. Byłam na przesłuchaniu.

– Jadę właśnie do Krakowa, możemy porozmawiać. Nie chciałbym przez telefon. Licho nie śpi – powiedział.

Zaszyliśmy się w kącie małej kafejki. Pan Krzysztof rozejrzał się dyskretnie, a nie dostrzegłszy nikogo podejrzanego, powiedział:

– Ciągłe wydaje mi się, że jakaś łajza mi depcze po piętach. Ale pewnie dlatego, że się boję. Miałem telefon z pogrozkami.

– Od kogo?

– Diabli wiedzą. Pani myśli, że oni są tacy uprzejmi, żeby się przedstawić? Podejrzewam, że mógł dzwonić ten cwaniaczek, Zygmunt. Ale kto ich tam wie? To, zdaje się jakaś większa szajka.



– Czego pan się dowiedział?

– Grażyna, wie pani, ta sąsiadka od zupy, była już przesłuchiwana. Przyznała się, że ją przekupili i obiecali po wszystkim odpalić jakąś dołę. Tylko cymbały źle się za to zabrali – zarechotał, a potem rozejrzał się bojaźliwie i zniżył głos. – Trutka na szczury to nie najlepszy pomysł.

– Ale kto przekupił?

– Jak to kto? Te łachudry, Zygmunt i jego syn. Chodzi o kasę. Są komuś dłużni sporą sumę. Ten tam oficerek nie chciał ujawnić komu, ale oni wiedzą. Powiedział tylko, że to jakaś grubsza sprawa. Ten idiota Zygmunt nie przypuszczał, że ja i ojciec kiedykolwiek się spotkamy, skoro napłócił mu bzdur, że umarłem, więc liczył na spadek. Teraz policja mnie ostrzega, żebym na siebie uważał. A ja ostrzegam panią. Niech się pani więcej w to nie miesza. Diabli wiedzą, kto za nimi stoi.

– A co z medalionem? Jakim cudem znalazł się u dziadka?

– Zygmunt był raz u nas ze swoją żoną. Mówiłem kiedyś o tym. Pamięta pani?

– Rzeczywiście.

– Wtedy musieli go zabrać. Lepkie widać mają ręce, złodzieje. A ojciec na szczęście znalazł i dmuchnął cacko. Powiedział, że zobaczył je u nich na kredensie w salonie. Im dłużej przyglądał się fotografii, tym większe widział podobieństwo do siebie. W końcu zaczął podejrzewać, kto może być na tym zdjęciu. Schował ukradkiem do walizki i przywiózł do Krakowa.

– Co za zbieg okoliczności! Gdyby on nie zabrał tego medalionu, a ja nie namalowałabym Lotnika, nigdy byśmy się nie spotkali – pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– To się nazywa zrządzenie losu... Nie powinniśmy tutaj tak długo siedzieć. Chodźmy stąd. A pani, jak mówiłem, niech uważa na siebie.

– Bardzo się pan zmienił, panie Krzysztofie – powiedziałam z uśmiechem.

– Nie ja się zmieniłem, tylko okoliczności – odparł. – Zawsze był ze mnie raczej miły facet.

Do domu wracałam z mieszanymi uczuciami. Pan Krzysztof trochę mnie przestraszył. Miałam jednak nadzieję, iż przesadza z tą ostrożnością. Nie spodziewałam się, że za chwilę to wszystko przestanie być ważne.

Telefon zadzwonił, gdy byłam już pod domem. Odebrałam, nie patrząc nawet na wyświetlacz. W słuchawce coś straszliwie trzeszczało.

– Halo! – zawołałam i potrząsnęłam telefonem, jakbym chciała wysypać na ziemię ukryte w nim słowa.

– Jagoda... – odezwał się zniekształcony, daleki głos.

– Halo, kto mówi?

– Jagoda – zabełkotał.

– Co? Halo! Halo! Kto tam jest?

Tym razem zabrzmiało trochę wyraźniej, ale usłyszałam tylko: „Śpi, Jagoda”.

– Chryste! Robak? To ty, Robak?! – krzyknęłam zduszonym głosem, bo serce podeszło mi do gardła.

– Tak... – nie rozróżniałam słów. – Boże, Agata... – znowu niezrozumiały bełkot.

– Halo! Co z Agatą?! Mów! Robak, mów! Agata nie żyje? Robak!

Nie usłyszałam nic więcej. Ręka ze słuchawką opadła na dół, a ja nie zważając na zimno, osunęłam się na próg przed drzwiami. Był początek marca.

Stało się. To, czego podświadomie bałam się każdego dnia, odkąd dowiedziałam się o chorobie Agaty.

– Proszę pani – jakaś starsza kobieta pochyliła się nade mną. – Źle się pani czuje?

– Nie, nie... – odparłam.

– Nie potrzebuje pani pomocy?

– Dziękuję – powiedziałam i strząsnęłam jej rękę uczeponą mojego ramienia.

Odeszła, a ja patrzyłam za nią długo, nie bardzo wiedząc, czego ode mnie chciała. W mojej głowie pojawiła się wielka czarna dziura, zagarniając wszystkie uczucia. Nie byłam zdolna do rozpacz, bólu ani łez. Pojawił się tylko cień myśli, że muszę pojechać do Bredynek, na łąkę. Tam, gdzie fruwały motyle i kwitną stokrotki. Tam, gdzie pragnęła pojechać Agata. Wstałam powoli i rozejrzałam się z niedowierzaniem. A więc świat istnieje, a po ulicy chodzą ludzie. Przypomniały mi się słowa piosenki Dymitra. Włokąc się po schodach, nuciłam półgłosem w kółko, jak mantrę:

*Nienawidzę tulipanów*

*wiosny*

*tego wszystkiego*

*czego nie zobaczysz.*

Oczy miałam wciąż suche. Drzwi mieszkania otworzyłam z trudem, były ciężkie, jak jakieś żelazne wrota. Uderzył mnie zapach farby. Stałam w progu salonu. Dymitr z wielkim pędzlem w ręku zmagął się z kuchenną ścianą.

– Zdejmij to, słyszysz? – zawołałam nagle i rzuciłam się na niego z furją. – Natychmiast zdejmij to z głowy! – krzyczałam, zdzierając z niego czarną chustkę Agaty. – Nigdy więcej tego nie ruszaj, rozumiesz?!

– Dobra, rozumiem – mruknął zaskoczony. – Uspokój się, wariatko. Nie chciałem pochłapać farbą włosów, a to było pod ręką.

– Agata umarła, a ty zabierasz jej chustkę i zakładasz ją sobie na łeb, jakby nic się nie stało!

– Jezu, nie wiedziałem...

– Nie ma Agaty – puściły mi nerwy, dotąd znieczulone wiadomością, która spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, i teraz szlochałam we flanelową koszulę Dymitra.

Starł się mnie uspokoić, głaszcząc po włosach i zapłakanych policzkach.

– Nie płacz, Jagoda, nie płacz, to nic nie da. A śmierć... Śmierć nie jest niczym złym.

Powiedział to w taki sposób, że nieco się uspokoiłam i spojrzałam na niego mokrymi oczami.

– Co ty mówisz, Dymitr?

– Śmierć nie jest zła. To tylko przejście w inny wymiar, rozumiesz? Przygotowanie duszy do odrodzenia.

– Do jakiego odrodzenia?

– W innym ciele. Ludzie nie umierają na zawsze. Wcześniej czy później każdego z nas czeka przejście przez bramę śmierci. Dlatego trzeba zbierać zasługi, żeby być ciągle lepszym. To się nigdy nie kończy.

– Wierzysz w to?

– Tak.

– I starasz się być lepszym?

– Czasem się staram, a czasem nie.

– Naprawdę tak jest, jak mówisz?

– Naprawdę.

Nie pójdę na jej pogrzeb. Nie chcę tego widzieć. Poczekam, aż się odrodzi – postanowiłam, po czym tuląc chustkę do twarzy, rozplakałam się jeszcze bardziej.

Malowałam śmierć. Śmierć w różnych odsłonach. Jeden obraz po drugim. Nie potrafiłam się uwolnić od tej wizji. Czasem była małym punktem w przestrzeni, czasem wielkim cieniem ze skrzydłami tkanymi pajęczą nicią, rozpościerającymi się nad rozświetlonym latarniami miastem, czasem aniołem o wielu twarzach, które nosiły rysy Agaty. Chciałam tej wystawy przez pamięć dla niej. I tylko ta myśl pomagała mi ujarzmić ból po jej stracie. Malowałam z furją, wściekła na los, że mi ją odebrał. Może właśnie przez to, albo raczej dzięki temu, prace były pełne wyrazu i nawet Dymitr zatrzymywał się przy nich z zainteresowaniem. Wyłączony telefon wrzuciłam do najgłębszego zakamarka szuflady, nie chciałam rozmawiać nawet z rodzicami. Dopiero wezwanie, które przyszło pocztą z komisariatu, wyrwało mnie z twórczego amoku. Przyjął mnie ten sam rudy policjant, który prowadził przesłuchanie w sprawie dziadka.

– Kiedy ostatnio była pani u Wiesława Kowalskiego? – zapytał i pochylił się nad klawiaturą komputera.

– Dawno, chyba miesiąc temu – odparłam, szukając w pamięci konkretnej daty.

– Czy po tej wizycie widziała się pani z Krzysztofem Kowalskim?

– Tak, raz. W kawiarni. Na początku marca.

– Krzysztofa Kowalskiego potrącił samochód. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku.

– Boże, kiedy?

Policjant zajrzał do dokumentów złożonych równo na biurku.

– Tydzień temu. Teraz przebywa w szpitalu. Nikt do pani nie dzwonił w tej sprawie?

– Nie. Mam wyłączony telefon.

– Proszę o ostrożność. Mamy do czynienia z kilkusobową narkotykową szajką. Zygmunt Kowalski został zatrzymany. Przyznał się do handlu narkotykami. Zresztą znaleźliśmy je przy nim. Trumna, którą pani znalazła na strychu, nie jest przeznaczona dla żadnego nieboszczyka, tylko do przemywania towaru. Przesłuchaliśmy też lekarza, do którego należała pieczętka widniejąca na aktach zgonu. Twierdzi, że nie jest w to zamieszany. Pieczętka zginęła mu dawno temu. Rzeczywiście, mieliśmy takie zgłoszenie. Zygmunt Kowalski jest winien pieniądze komuś, kto przemycał towar z Rosji. Pan Wiesław Kowalski, czyli brat jego ojca, ma pieniądze i stał się łatwą ofiarą. Paweł, syn Zygmunta, gdzieś się zaszył, nie możemy go namierzyć. I na niego powinna pani najbardziej uważać. Nie twierdzę, że coś pani grozi, ale niech pani będzie ostrożna. Proszę nie chodzić samej wieczorami i nie odpowiadać na zaczepki. Nie odbierać telefonów od nieznanymi numerów i spoglądać przez wizjer, zanim otworzy pani drzwi.

– Dlaczego? Co ja mam z tym wspólnego?

– Bardzo wiele. To pani znalazła Krzysztofa i pokrzyżowała im plany spadkowe. I to pani pierwsza miała podejrzenia w związku z trucizną. Poza tym Krzysztof Kowalski omal nie zginął. Podejrzewamy, że to nie był przypadek. Nie wiemy jeszcze, ilu ich jest w tej szajce. Zatrzymany nie jest skłonny do zwierzeń.

– A pan Wiesław? Nic mu już nie grozi?

– Staramy się, żeby był bezpieczny – powiedział oględnie. – Dziękuję, to wszystko. Gdyby zauważyła pani coś niepokojącego, proszę nas zawiadomić.

Zanim wsiadłam do samochodu, rozejrzałam się wokół, czy ktoś mnie nie śledzi. W każdym mężczyźnie widziałam teraz czyhającego na mnie bandytę. Ten lęk rozrastał się i momentami przeradzał w obsesję. Nawet do sklepu wychodziłam w asyście Dymitra, oczywiście wtedy, gdy nadawał się do wyjścia. Właśnie na niego czekałam, malując obraz w pracowni, w której szczelnie zasłoniłam okna, udając, że nie ma mnie w domu. Nasłuchiwałam kroków na schodach, obawiając się jednocześnie, że mogą być nie tymi, na które czekam. Wrócił przed północą i widziałam wyraźnie, że coś z nim nie tak. Podeszłam bliżej, ale nie czułam zapachu wódki.

– Co brałeś? – zapytałam, wściekła, że dał się wciągnąć, że to powtarza się coraz częściej.

– Nic – burknął i nagle roześmiał się głośno.

– Z czego się śmiejesz? – oburzyłam się, choć wiedziałam, że nie mam szans na racjonalną rozmowę. Nie dzisiaj.

– Co brałeś? Co brałeś? – przedrzeźniał mnie, patrząc trochę nieprzytomnym wzrokiem. – Skąd mam wiedzieć, co brałem? Elwira zna różne sztuczki, kiedy chce, żebym coś napisał.

– Elwira? To ona daje ci te świństwa?

– Elwira, bogini... Kocham ją, wiesz? Kocham Elwirę! Kocham! – zawołał na całe gardło i roześmiał się jeszcze głośniejsze.

Wypchnęłam go z pracowni i rozkazałam nieznoszącym sprzeciwu tonem:

– Do łóżka! Wyśpij się, idioto! Cholerny ćpun!

– Wyśpij się! Wyśpię się w niebie, a teraz muszę pisać. Pisać! Co ty tam wiesz... Bazgrolisz te swoje obrazki. Gdyby nie ja, żarłabyś tynk ze ściany.

– Zamknij się! Jeszcze się przekonasz, ile znaczą moje obrazy!

– Wiesz, ile znaczą? – odepchnął mnie, wtargnął do pracowni i scyzorykiem, który błysnął w jego ręce, przeciął prawie dokończone płótno na krzyż. – O, tyle znaczą!

Stałam zmartwiała, wpatrując się w śmierć, której suknia wisiała w smętnych strzępach.

– Co ty zrobiłeś, Dymitr... – szepnęłam bezgłośnie. – Dlaczego mi to robisz? Jak śmiesz?

Zbliżyłam się do niego, ledwie się powstrzymując przed uderzeniem go w twarz.

– Wynoś się z mojego domu – wycodziłam przez zęby. – Wynoś się. Natychmiast.

Wysłałam do przedpokoju i otworzyłam na oścież drzwi. Potem zdjęłam jego kurtkę z wieszaka i rzuciłam na schody.

– Idź! Już! Nie waż się pokazywać tu więcej.

Spoważniał, minął mnie bez słowa, podniósł kurtkę i zbiegł ze schodów. Czekałam, aż na dole trzasną drzwi.

Nie umiałam znaleźć sobie miejsca. Ludzie odchodzili w ten czy inny sposób, zostawiając po sobie otwarte rany, które potrzebowały wielu obrotów ziemi, żeby się zabliznić. Trzeba było odsuwać myśli, zajmować się czymś ważnym, czymś, co pochłaniałoby mnie bez reszty. Pozbawiona towarzystwa, szukałam sobie zajęcia, żeby nie oszaleć. Ale nie mogłam nawet malować. Gapiłam się bezmyślnie w telewizor, co dotąd zdarzało mi się niezwykle rzadko. Ale trafiłam nawet na program, który mnie naprawdę poruszył.

– *Dlaczego pani go zabiła?*

– *Nie wiem... Nie umiałam już tak żyć.*

– *A gdyby zdarzył się cud, cofnął się czas...*

– *Zrobiłabym to jeszcze raz.*

Oglądałam to przez dłuższą chwilę, potem zirytowana wyłączyłam odbiornik. Obraz z ekranu znieruchomiał i zawisł w powietrzu, jakby miał pozostać tak na zawsze. Twarz obcej kobiety utrwaliła się w mojej pamięci, wyolbrzymiła, kazała o sobie myśleć. Nie pojmowałam, dlaczego tamta uciekła do najbardziej drastycznych rozwiązań, gdy przestała radzić sobie z emocjami. Mogła uwolnić się inaczej. Po prostu odejść. Głupia. Zaczęłam gardzić słabością. Od tygodnia, gdy nie było przy mnie Dymitra, zmuszałam się, by być silna. I teraz myślałam, jak wiele jest sposobów na naprostowanie niewygodnych sytuacji. Trzeba tylko racjonalnie myśleć. Stworzyć wokół siebie nieprzekraczalną aurę, która pozostawiałaby prawo do godnego życia. Wtedy zdawało mi się, że mam swoją aurę. Bardzo chciałam ją mieć. Nie mogłam się poddawać.

Podeszłam do okna i zapatrzyłam się w drżące, prześwietlone wiosennym słońcem powietrze. Z kuchni dobiegał dźwięk ekspresu do kawy i aromat tych nielicznych chwil, które pozwalały mi na oddawanie się tanim przyjemnościom. Byłam teraz sama i pewnie dlatego z dnia na dzień ujawniały się we mnie introwertyczne zachowania. Unikałam wspomnień, w których pojawiały się ostre szpileczki sprawiające ból, ale mimo to powracały uporczywie w niechcianych odślonach. Nie umiałam nie myśleć o Agacie, lecz jej obraz w miarę upływu czasu rozmazywał się i można było manipulować wspomnieniem, by widzieć tylko to, co przywodziło na twarz rzewny uśmiech. Z Dymitrem było inaczej. On nie dotykał

jedynie zmysłów. Czułam go pod skórą, w każdej tkance. Wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki nie wyrzucę go z pamięci i nie zobojętnięję wobec niego na zawsze.

Kwiecień wybuchł całą feerią wiosennych barw i świergotem ptaków. Przez okno widziałam gałązki akacji pokrytej drobnymi pączkami rozwijających się liści. Nigdy nie witałam wiosny z taką obojętnością na jej starania, by każdemu źdźbłu trawy podarować należną mu porcję świeżości. Świadomość, że zostałam skrzywdzona, wywoływała we mnie złość i poczucie żalu. Ale nie bolałoby może tak bardzo, gdyby nie fakt, że zranił mnie Dymitr, któremu zaufałam i którego obdarzyłam miłością. Dymitr, składający setki obietnic, których nie dotrzymywał. Moje wyobrażenie o nim mijало się z rzeczywistością. On był Ochirem, nie Dymitrem, nie był mężczyzną, którego stworzyłam na miarę własnych oczekiwań.

Po najdłuższym tygodniu w moim życiu, ktoś zapukał do drzwi. Skradałam się do nich jak kot zbliżający się do dziury z myszą. W pamięci miałam przestrogę rudego policjanta. Wyjrzałam przez wizjer. Za drzwiami czekała Karioka, niecierpliwie przebierając nogami. Nie chciałam jej widzieć, ale ciekawość zwyciężyła. Przekręciłam klucz w zamku.

– Nareszcie – przywitała mnie niezbyt grzecznie.

Patrzyłam wyczekująco, nie kwapiąc się z wpuszczeniem jej do środka. Odkąd Dymitr zniszczył mieszkanie, wstydziłam się jego wnętrza.

– Można wejść? – zapytała Karioka i zapuściła żurawia do środka.

– Proszę – mruknęłam. – Co cię sprowadza?

– Jesteś gorszą żoną, niż myślałam – zaatakowała mnie bez ogródek.

– O co ci chodzi? – nie rozumiałam.

– O Dymitra. Wyrzuciłaś go z domu.

– Miałam powód. Co cię to obchodzi? – obruszyłam się.

– Obchodzi, bo jest w Corbie. Śpi w klubie. I niech sobie tam śpi, to nikomu nie przeszkadza. Ale on co dzień pije jak świnia. Praktycznie nie trzeźwieje. Wieczorem mamy koncert. Boimy się, że znowu zaleje się w trupa i nie będzie mógł wystąpić. Wygląda jak wrak. Elwira podtyka mu jakieś prochy, żeby funkcjonował. Jeszcze chwila i nie będzie mógł się bez tego obejść. A to wszystko przez ciebie.

– Jak to przeze mnie? – oburzyłam się. – Wybacz, ale nie pozwolę obarczać się winą za coś, czego nie zrobiłam.

– Nie będę się z tobą kłócić. Ty wiesz swoje, my swoje. Przyszłam cię prosić, żebyś mu pomogła. On tylko ciebie posłucha. Nawet Elwirę ma gdzieś. A ciebie kocha, jak jakiś idiota. Nigdy nie widziałam tak zakochanego faceta.

– Co ty chrzanisz? Wiesz, co on mi zrobił?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Za to widzę, jak się zachowuje. Proszę cię w imieniu całej Corby, przyjedź i zabierz go, bo będziesz go miała na sumieniu.

– Na sumieniu? Ja?

– Proszę cię, Jagoda! – Karioka podniosła głos i widać było, że nie ustąpi, jeśli w tej chwili nie ubiorę się i nie wyjdę razem z nią.

– Dobrze – skapitulowałam. – Jedźmy. Zobaczę, ile jest prawdy w tym, co mówisz.

Samochód był zakurzony. Nie używałam go od kilku dni.

Do klubu wchodziłam z bijącym sercem. Widok, który roztoczyła przede mną Karioka, nie był zachęcający. Rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Dymitr był zarośnięty i brudny. Spał, zwinięty w kłębek na dmuchanym materacu, który ktoś mu tu litościwie przyniósł.

– Dymitr – szarpnęłam lekko jego ramię.

Chrapnął przez sen i nawet nie otworzył oczu.

– Dymitr, wstawaj!

– Co? – mruknął i zwinął się jeszcze bardziej.

– Obudź się wreszcie! – podniosłam głos i szarpnęłam go mocniej.

Podniósł powieki i popatrzył półprzytomnie.

– Jagoda? – zdziwił się.

– Wstawaj. Jedziemy do domu – powiedziałam stanowczo.

Podniósł się niezgrabnie, zachwiał na nogach. Musiałam go przytrzymać, żeby nie upadł.

– Doprowadź go do porządku – mruknęła Karioka, wciskając mi do ręki jego kurtkę. – Pamiętaj, że dzisiaj jest koncert.

– Wiem, że jest koncert – burknęłam opryskliwie. To nie ja przecież doprowadziłam go do takiego stanu. Gdyby był w domu, nie dopuściłabym do tego.

Do występu miał jeszcze osiem godzin. Wzięłam się za niego ostro. Najpierw przysnic, potem mocna kawa. Wystygły obiad, który niemal siłą wepchnęłam mu do gardła, i krótka drzemka. I znowu kawa. Kiedy nadawał się wreszcie do życia, oznajmił:

– Muszę wyjść na świeże powietrze. Jest rześko, dobrze mi to robi.

Do koncertu brakowało trzech godzin.

– Dobrze, piętnaście minut i ani chwili dłużej – zgodziłam się. – Tylko weź zegarek.

Wrócił po dwóch godzinach. Pijany, ledwo trzymał się na nogach.

– Idiota! Za godzinę śpiewasz! – krzyknęłam w panice.

– Mam to gdzieś – oświadczył bełkotliwie i padł na sofę, mrużąc coś pod nosem.

– Wstawaj, do diabła! Jedziemy! – szarpałam go, usiłując podnieść do pozycji pionowej.

– Jedziemy. Oczywiście, że jedziemy – zgodził się chętnie i spojrzał na mnie zdziwiony. – A dokąd jedziemy, księżniczko?



- Jasna cholera, rusz się!
- Już, już... Przecież się ruszam.
- Niech to szlag! Ależ z ciebie kretyn...

Wlałam w niego kolejny kubek kawy, wcisnęłam na nogi buty i niemal na plecach zawlokłam do samochodu.

– Dymitr, zmobilizuj się jakoś. Do licha, Elwira cię zabije. I będzie miała rację.

Sala koncertowa była pełna. Elwira na widok pijanego Dymitra omal nie dostała apopleksji.

- Miałaś go pilnować! – syknęła.
- Odczep się, nie jestem jego niańką – odgryzłam się.
- Posadź go tu, na krzesło. Najpierw damy Kariokę, zaśpiewa ze trzy piosenki, może on w tym czasie trochę wytrzeźwieje.

Karioka śpiewała pod rząd cztery utwory. W przerwach publiczność domagała się swojego idola, który w tej chwili przysypiał błogo na krzesło. Co pewien czas Elwira klepała go po twarzy i wlewała w niego hektolitry wody z cytryną.

– Przestań – mitygowałam ją. – Chcesz, żeby porzygał się na scenie?

– Nie możemy dłużej czekać. Publiczność się wścieknie. Dymitr, na scenę! – zakomenderowała, gdy Karioka skończyła śpiewać.

Dymitr wstał, uśmiechnął się szeroko do ściany, poklepał wieszak i wymamrotał:

- Będzie dobrze, koleś. Nie?
- A niech cię! – warknęła Elwira i wypchnęła go przed kurtynę.

Obserwowałyśmy go przez szparę. Dwoma długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od mikrofonu. Uczępił się go jak maszty podczas sztormu. Bartek podał mu niepewnie gitarę i nie spuszczał z niego oka, czujny na każdy ruch. Dymitr rozstawił szeroko nogi dla utrzymania równowagi i ryknął do mikrofonu:

– Będzie dobrze, nie?

Publiczność zawyła i zaczęła klaskać. Zaintonował pierwsze dźwięki i zaśpiewał swoim urzekającym głosem:

*Ustawiam w szpaler*

*wszystkie moje cienie*

*w równych odstępach*

*włoką się jak hieny*

*w ostatnią fazę*

*ostatnie zaćmienie*

*zapadam się*

*bo czas zejść ze sceny...*

Pomyślałam o Agacie. Jęknęłam i zacisnęłam pięści. Elwira spojrzała na mnie złośliwie.

– Sentymentalna lala – burknęła.

Nagle wydarzyło się coś, czego nie przewidziałam w najgorszych scenariuszach. Dymitr zachwiał się, złapał za gardło i zanim wybiegł ze sceny, udekorował ją imponującą, kolorową plamą. Odwrócił się jeszcze i zawołał:

– To dla was!

Na widowni zawrzało. Skonsternowani członkowie zespołu próbowali zatuszować incydent. Saksofon zapłakał rzewnie, a na scenie pojawiła się Karioka. Służby porządkowe dyskretnie uprzątnęły ślady kompromitacji. Elwira otwartą dłonią wymierzyła Dymitrowi policzek, dając upust swojej złości. Złapał się za miejsce, na którym pozostał czerwony ślad, i roześmiał się jej w twarz.

– Więcej mnie nie zobaczysz – zarechotał, po czym objął mnie ramieniem. – Chodź, idziemy.

Oszołomiona tym, co się stało, dałam się wyprowadzić tylnymi drzwiami. Wracaliśmy w milczeniu, bo nie byłam w stanie wyartykułować swoich myśli, a do Dymitra chyba dopiero zaczęło wszystko docierać. Siedział przygnębiony i tylko od czasu do czasu kręcił głową i uderzał pięścią w drzwi samochodu. W domu wyciągnął butelkę wódki i nalał do dwóch kieliszków. Nawet nie protestowałam.

– Jagoda, jestem przegrany – powiedział, pocierając dłonią czoło. – Nie mam po co tam wracać, skompromitowałem się.

– Zapomną – skwitowałam, chociaż nie sądziłam, by Elwira wybaczyła Dymitrowi.

– Oni może tak, ja nie.

– Masz nauczkę.

– Więc co? Mam chodzić teraz i przeproszać?

– Zostaw to. Czas wszystko załatwi. Wróc na scenę, jakby nigdy nic.

– Muszę stąd wyjechać.

– Wyjechać? Przecież znają cię w całej Polsce.

– Nie mówię o Polsce.

– A o czym?

– Nie mówię o Polsce – powtórzył z naciskiem.



Wnętrze człowieka bywa zagadką, tajemnicą. Można się nią dzielić, potrzebować innych do odbioru siebie. Można narzekać i krzywić się, mając niewiele do zaoferowania, albo też gromadzić w sobie całe bogactwo duszy i tylko duszy, materialnie nie posiadając nic. I uśmiechać się. Wtedy ludzie mówią – idiota. I z czego on się tak cieszy? A on wie. I odchodzi, zabierając swoje *ja* ze sobą. Z Dymitrem było jeszcze inaczej. Uzurpował sobie prawo wyłączności do siebie. Uzbrojony w kolczastą skorupę, wypowiedział sobie wojnę, podejmując walkę uczuć z honorem. Tylko on wiedział, o czym milczy, nie dopuszczając mnie do jaskini pełnej wijących się myśli. A właściwie koncepcji i wyborów, bo nie był w stanie podjąć ostatecznej decyzji. Chciał opuścić to miejsce, ale nie potrafił rozstać się ze mną. Propozycja, bym wyjechała razem z nim, nie przechodziła mu przez gardło. Tego wszystkiego mogłam się jedynie domyślać, wnioskując z ponurego wyrazu twarzy i ciężkich westchnień na mój widok.

Malowałam drogę. Suchą, piaszczystą, między pustką a pustką. Na drodze kilka kamieni. Nasze życie. Moje wnętrze ujawniało się zwykle paletą barw na płótnie, dlatego nie puchłam od nadmiaru emocji. Gdyby Dymitr potrafił czytać obrazy, wiedziałby, czego chcę.

Był majowy wieczór. Zmierzch ulotnił się nie wiadomo kiedy. Podglądałam z pracowni, jak noc stroi niebo, wpina gwiazdne pinezki, odsłania księżyc. Chłodny wiatr zbudził liście drzew, wpadł przez otwarte okno, przemknął po plecach. Ciemność powoli pożerała śmietnik, akację, sąsiedni dom. Gdyby zechciała wchłonąć mnie z całym ciężarem codziennych zmagań, odzyskałabym fascynację życiem. Teraz zazdrościłam Agacie. Naprawdę jej zazdrościłam.

Dymitr nie chciał grać pod Sukiennicami. Nie wrócił też do Corby. W akcie desperacji zaczęłam malować ślubne portrety, chociaż nienawidziłam tej roboty. Ale nie miałam wyboru, jeśli tylko ta praca zaspokajała nasze podstawowe potrzeby. Zdawałam sobie sprawę z tego, że obecność Dymitra zwiększa moje wydatki i ogranicza pole działania. Za szafą kurzyły się obrazy, nie mogłam jednak pozwolić sobie teraz na zorganizowanie wystawy. Żyjąc obok siebie, jak w jakimś zamkniętym kręgu, klepaliśmy biedę. Jediną korzyścią był brak wódki i Dymitr – chcąc, nie chcąc – przechodził odwyk. Nie było mi z tym łatwo, ale znosiłam w milczeniu jego nastroje. Zadziwiające, jak mało obchodziły mnie teraz sprawy, które do niedawna pochłaniały mnie do reszty. Dziadek, Juliusz... Nie odbierałam nawet telefonów od Robaka. Kojarzenie z nim Agaty za bardzo bolało. Tej majowej nocy Dymitr wreszcie dojrzał do rozmowy ze mną. Zabierał się do niej przez cały wieczór.

– Jagoda, wyjedź ze mną do matki – powiedział. – Do Mongolii. Na miesiąc, dwa...

Spodziewałam się tej propozycji, ale postawiona przed faktem, nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrzyłam tylko na niego, a on uśmiechnął się i burknął:

– Wiedziałem, że się nie zgodzisz. Nie chcę cię szantażować, ale gdybyś mnie kochała...

– Przestań – przerwałam mu.

– Zobaczysz, będę tam zupełnie innym człowiekiem. Nabiorę sił i dystansu do tego wszystkiego. Zrozum, tam jest mój dom, tam się urodziłem. Ty też potrzebujesz...

– Wiem, czego potrzebuję i doskonale cię rozumiem. Ale za pięć miesięcy wrócą moi rodzice. Muszę się pozbierać, wyremontować mieszkanie, znaleźć sobie jakieś zajęcie.

– Przecież wrócimy, zdążysz.

– Nie mamy pieniędzy, za co chcesz wyjechać?

– Myślałem o tym. Wynajmiemy mieszkanie.

– To mieszkanie? Takie zniszczone?

– E tam, zniszczone. Można w nim żyć. Jak będzie tanio, ktoś się skusi. Jest w dobrym miejscu. Poszukam kogoś, kto zechce zapłacić za dwa miesiące z góry.

– Za dwa miesiące? Wystarczy na samolot?

– Nie wiem, możemy to sprawdzić.

Kiedy zmaterializowało się słowo, zapaliłam się do tej podróży. W Internecie wyszukaliśmy tanie linie lotnicze. Najtańsze bilety dla dwóch osób kosztowały prawie pięć tysięcy w jedną stronę.

– Nic z tego – powiedziałam zrezygnowana. – Nikt tyle nie zapłaci, nawet za dwa miesiące.

– Sprzedajmy mieszkanie.

– Zwariowałeś? Gdzie będziemy mieszkać po powrocie?

– No to wynajmijmy za kaucją. Odbierzemy po powrocie. Rozmawiałem z takim jednym gościem, jest chętny! – wyrwało mu się.

– Jak to rozmawiałeś? Kiedy?

– Zaraz po tym, jak przestałem śpiewać w Corbie... – przyznał się.

– Przecież to prawie miesiąc temu. Nawet mnie nie zapytałeś.

– Bo to było takie tylko gadanie.

– Ale myślałeś o tym?

– No... tak.

– I dobrze wiedziałeś, ile kosztuje bilet!

– Wiedziałem, Jagoda. Ale nie wiedziałem, czy się na to zgodzisz. A ty jesteś taka cudowna! Teraz wierzę, że mnie kochasz. Naprawdę w to wierzę.

– Na moje nieszczęście cię kocham – mruknęłam.

– Ja też cię kocham, skarbie – wyznał i przytulił mnie niezgrabnie. Na nowo

uczył się czułości. – Tak bardzo nie chciałem się z tobą rozstawać. Zobacysz, jak nam będzie cudownie! Stepy i rozgwieżdżone noce! I będę śpiewał tylko dla ciebie.

Te wyznania wydały mi się podejrzone. Dymitr nigdy nie był zbyt wylewny.

– Jak chcesz na to zarobić? Przecież wydamy pieniądze na podróż. Za co odbierzemy mieszkanie?

– Ojciec nam pomoże. Ma pieniądze. Nie martw się. I ja też będę tam pracował. Poza tym mam braci, w razie czego pomogą nam. Przecież za mieszkanie weźmiemy grosze. Ot tyle, żeby na bilet starczyło. To i grosze trzeba będzie oddać. Wyobraź sobie, jak będzie cudownie! To będzie niezapomniana podróż! Jedźmy, Jagoda. Należy nam się urlop. Zwłaszcza tobie. Tyle przeszłaś... Wrócisz odmieniona, zobacysz! Załatwię sprawy z mieszkaniem, pozwól mi.

– Sama nie wiem... A jeśli się nie uda?

– Dlaczego ma się nie udać? Wszystko się uda! Zaufaj mi!

Nie było łatwo zaufać Dymitrowi, tym bardziej, że nie jeden raz zawiodłam się na jego obietnicach. Tym razem jednak bardzo chciałam zaufać. I chciałam tej podróży. Od tej pory zaczęłam o niej marzyć.

Dwa tygodnie później bezdomna, ale z Dymitrem u boku i biletem do Ułan Bator, wsiadałam na pokład samolotu.

Był koniec maja.

*c.d.n.*